

# Krzysztof Koziółek

## Święta Tajemnica

Żonie, za miłość...

Prolog

Dzień 1 (środa)

- Zamordowałem niewinne dziecko. Ale najpierw zrobiłem mu coś złego. Coś naprawdę bardzo złego - na dźwięk tych słów ksiądz Sambor ocknął się z drzemki, w którą zapadł zaledwie ułamek sekundy wcześniej. Szybko przetarł wierzchem dłoni zasnęłą twarz, szczególnie mocno pocierając oczy. Bezwiednie ziewając, odwrócił głowę, by nieprzytomnym wzrokiem spojrzeć na kratkę konfesjonału oddzielającą go od penitenta. - O, przepraszam księdza, dawno nie byłem u spowiedzi i zapomniałem już, jak leci ta regułka. Może spróbuję jeszcze raz?

- Bardzo proszę - kolejne ziewnięcie wikarego. - Najmocniej przepraszam, ale chyba nie dosłyszałem, co mówiłeś, synu. Obawiam się, że zdarzyło mi się przysnąć.

- Szczęść Boże - zaczął mężczyzna ponownie.

- Daj Boże.

- Pobłogosław mi Ojczy, bo zgrzeszyłem. Zabiłem dziecko.

- Co? - para buchnęła księdzu z ust. Gdy sens wypowiedzianych przed chwilą słów dotarł do niego, poczuł, że robi mu się gorąco. I to mimo przejmującego zimna, jakie panowało w kościele. Chciał coś powiedzieć, spytać penitenta, czy może się przesłyszał, ale nie mógł wydusić z siebie nawet pół słowa. Głos uwiązł mu w gardle, a brewiarz trzymany w prawej dłoni upadł na podłogę. Zerknął na niego, jakby zastanawiając się, czy go podnieść, machinalnie wykonał nawet ruch ciałem, by to zrobić, powstrzymał się jednak i spojrzał w stronę drewnianej kratki oddzielającej go od mężczyzny. Zobaczył, iż ten przybliży twarz.

7

- Przecież powiedziałem wyraźnie: zabiłem dziecko - wycedził tonem, od którego cierpła skóra na plecach. I do tego ten spokój, z jakim to powiedział. - A potem je poćwiartowałem. Chce ksiądz zobaczyć główkę? Mam ją przy sobie, jest tutaj w torbie - mężczyzna podniósł mały dziecięcy plecaczek i zbliżył go do kratki.

- Słodki Jezu... - ksiądz Sambor odwrócił głowę, czując skurcz żołądka i żółć wlewającą się do przełyku, odruchowo przyłożył lewą dłoń do ust, aby nie z wymiotować.

- Jezus tu nic nie pomoże, proszę księdza.

Przez kolejnych kilkanaście wolno upływających sekund

ksiądz Sambor głęboko oddychał, walcząc z odruchem wymiotnym. Nagle poczuł falę gorąca przewalającą się przez jego ciało. Oczy zaszyły mgłą, chwilę potem zrobiło mu się słabo. I to tak bardzo, że musiał przytrzymać się półki konfesjonau, na której zwykł kłaść brewiarz, aby nie zsunąć się z siedzenia. Wziął kolejny głęboki wdech, próbując opanować drżenie ciała. - Może to jakiś czubek? - pomyślał z nadzieją. - Sądzi ksiądz, że jestem wariatem? - przerwał mu chłodny głos mężczyzny.

-Nie...

- Słyszał ksiądz o zaginięciu małego Adrianka? - spytał.

- Musiał ksiądz słyszeć. Całe miasto nie mówi o niczym innym.

Wikary nic nie odpowiedział.

- Chce ksiądz wiedzieć, co się stało z tym chłopcem? - zachichotał mężczyzna. - Mogę opowiedzieć ze szczegółami, co mu robiłem przez ostatnie godziny jego małego, kruchego życia. To jak, chce ksiądz?! - powtórzył pytanie, tym razem głosem pełnym agresji, niemal krzycząc.

Wikary wciąż milczał.

8

- To jak? - głos mężczyzny znów był miły, jakby należał do kelnera w ekskluzywnej restauracji, liczącego na suty napiwek. - Nic ksiądz nie powie? To co to jest za spowiedź?! - warknął.

Odpowiedziała mu cisza.

Ksiądz Sambor nabrał powietrza w płuca, głęboko odechnął, próbując podjąć decyzję, co robić. - O Adrianku słyszał już każdy, media mówiły o poszukiwaniach chłopca od wczorajszego popołudnia. Nie był to żaden dowód, że facet miał z tym coś wspólnego - myślał gorączkowo. - Więc...

- Ty popaprańcu! Zachciało ci się dowcipów? - wikary zerwał się na równe nogi, jednym ruchem ręki otwierając drzwiczki konfesjonau, aż te uderzyły o ścianę, wyskoczył na zewnątrz. Błyskawicznie odsłonił kotarę, za którą spodziewał się zobaczyć żartownisia.

W środku, w miejscu przeznaczonym dla penitenta, nie było nikogo. Rozejrzył się nerwowym ruchem wokół siebie, lustrując wszystkie trzy nawy kościoła. Żywej duszy. Ruszył w stronę głównych drzwi, jedynych, które były otwierane przed poranną mszą w tygodniu. Trzema szybkimi susami dotarł do nich, otworzył je, stawiając lewą nogę na pierwszym stopniu i w tym momencie stracił równowagę na oblodzonym schodzie. Fiknął w górę tak wysoko, że sutanna aż zakryła mu twarz. Spadając uderzył głową o stopień, momentalnie tracąc przytomność.

Kwadrans później, wciąż leżącego na stopniach przed wejściem do kościoła, znalazła go parafianka idąca na mszę. Wezwała pogotowie, które zabrało księdza Sambora do szpitala.

- Jestem w niebie? - wybelkotał, mrużąc powieki w odruchu obronnym. Prosto w twarz świeciła mu wielka lampa, ostre światło wwiercało się w oczy.

9

- Jeszcze nie - pielęgniarka uśmiechnęła się, kończąc owijanie głowy bandażem.

- Ale niewiele brakowało. Kilka centymetrów wyżej - stojący obok lekarz pokazał palcem na własnej głowie, które miejsce ma na myśli, drugą ręką wyłączając jednocześnie lampę - i trafiłby ksiądz do nieba.

Wikary, patrząc na medyka, bezwiednie dotknął palcami miejsca, w które się uderzył. - Sss... - westchnął, poczuwszy ból.

- Może tak boleć jeszcze przez kilka dni. Wyrznął ksiądz potylicą tak mocno w ten betonowy stopień, że to właściwie cud, iż skończyło się tylko na wstrząśnięciu mózgu - lekarz aż cmoknął.

- Wstrząśnieniu? - powtórzył wikary, wciąż będąc oszołomionym i rozglądając się niepewnie.

- To właśnie stąd te krasnoludki piłujące drewno w księdza głowie. Będą tam jeszcze długo siedzieć. Dlatego radzę leżeć spokojnie i zanadto się nie ruszać - powiedział.

- Leżeć? Przecież ja muszę do szkoły - podniósł się, próbując wstać. Zrobił to jednak za gwałtownie. Efekt był taki, że zrobiło mu się ciemno przed oczami, zachwiał się i gdyby nie pomoc pielęgniarki, jak nic runąłby na podłogę.

- Pan doktor powiedział wyraźnie: leżeć spokojnie. Za chwilę przewieziemy księdza na oddział - powiedziała z uśmiechem, kładąc go z powrotem na łóżku. Nachyliła się nad pacjentem, próbując poprawić poduszkę.

- Ale ja nie mogę leżeć. Ja muszę do szkoły... - próbował protestować, kątem oka mimowolnie zerkając w dekolt jej fartucha. Niby niewielki, ale wystarczająco duży, aby jego oczom ukazał się rowek między dwiema pełnymi piersiami.

- Do szkoły... - westchnął.

- Przepisowo powinienem zostawić księdza na oddziale na trzydniową obserwację - lekarz wtrącił się do rozmowy, do-  
10

konując jednocześnie zamaszystego wpisu do karty pacjenta. - Ale umówmy się tak: podam teraz księdzu mieszankę środka przeciwbólowego i nasennego, po której ksiądz zaśnie i obudzi się za siedem, osiem godzin. Jeśli do tego czasu krasnoludki przestaną piłować, puszczę księdza do domu.

- A jeśli nie przestaną? - zmarszczył brwi.

- To zatrzymam tu księdza co najmniej do jutra - lekarz rozłożył ręce w geście bezradności. - Jakoś ksiądz to wytrzyma. Zresztą, dziś dyżuruje siostra Barbara - wskazał palcem na pielęgniarkę - której obecność ma niewiarygodnie leczniczy wpływ na naszych pacjentów. Przynajmniej jeśli chodzi o jej męską część - uśmiechnął się szeroko. - Jak do tej pory

gronu lekarskiemu naszego szpitala nie udało się ustalić, jakimi środkami farmakologicznymi siostra Barbara to robi. Niedawno kolega anestezjolog ogłosił śmiałą koncepcję, kładącą nacisk na pewne prymitywne formy męskiej aktywności - uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. - Można ją nawet spróbować wyjaśnić naukowo, aczkolwiek wprawdzie musielibyśmy udokumentować poszczególne przypadki błyskawicznego powrotu do zdrowia pacjentów. A na to, niestety, sama zainteresowana nie wyraziła zgody - mrugnął znacząco, uchylając się przed kuksańcem ze strony pielęgniarki.

Tego jednak wikary już nie widział, zasnawszy kilka sekund wcześniej.

Część pierwsza

Wyznanie

Rozdział 1

Środek nasenny działał dłużej niż zapowiedział lekarz.

Kiedy ksiądz Sambor się obudził, dochodziła 18.00. Zbadany przez innego medyka, który zmienił poprzedniego na wieczornym dyżurze, solidnie zaopatrzonej medycznie przez siostrę Barbarę - czyli z głową obandażowaną co najmniej tak mocno, jakby miała się za chwilę urwać z szyi i potoczyć na podłogę - został zwolniony do domu. Zadzwoił z telefonu komórkowego do swojego kolegi księdza z sąsiedniej parafii i poprosił o podwiezienie. Gdy znalazł się na plebanii, było już po 20.00. Porozmawiał chwilę z proboszczem, ten spytał o stan jego zdrowia, ale mimo zapewnień wikarego, że czuje się już dobrze, nakazał mu, aby nazajutrz rano pospał dłużej i nie wstawał na poranną mszę. Obiecawszy to solennie zarówno proboszczowi, jak i samemu sobie, skierował się do swojego pokoju i, nie biorąc prysznic, położył się spać.

Dzień 2 (czwartek)

Nazajutrz obudził go budzik w telefonie i piłujące głowę krasnoludki, które najwyraźniej nie zamierzały dać mu spokoju. Podniósł się, spojrzął na zegarek, dochodziła 7.00. Sięgnął po buteleczkę z tabletkami przeciwbólowymi otrzymanymi od siostry Barbary. Łyknął jedną, potem drugą, uśmiechając się pod nosem na wspomnienie pielęgniarki i jej kształtnych piersi.

Pół godziny później był już ogolony i po śniadaniu. Zabrał

14  
teczkę i rażnym krokiem ruszył do oddalonego o kilka minut drogi liceum, w którym uczuł religii. Zdążył zaledwie wyjść na chodnik i zrobić kilka kroków, gdy pierwsza z napotkanych osób powitała go lekkim skinieniem głowy i szerokim uśmiechem. Takim samym jak kolejnych kilkunastu przechodniów. Zastanawiając się, co znaczą owe uśmieszki, zatrzymał się przed światłami na ulicy Westerplatte. Kiedy zapaliło się zielone, szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę. Idąc obok okien wystawowych dopiero co wybudo-

wanej galerii handlowej, spojrzął przelotnie na jedno z nich. W szybie zauważył dziwnie wyglądającego gościa: w długiej czarnej sukni i z białym turbanem na głowie. Zdumiony obejrzał się za siebie, szukając wzrokiem zauważonej przed momentem postaci. Nikogo nie spostrzegł. Odwrócił się i dopiero wtedy dotarło do niego, iż właścicielem lustrzanego odbicia jest on sam.

- To stąd te uśmieszki - westchnął. - Nieźle się ten dzień zaczyna...

Gdyby wiedział, co go czeka w szkole, jak nic wzięłby wolne.

Klasa trzecia o profilu humanistycznym - krócej mówiąc: trzecia „C” - należała do najlepszych w liceum. Nie bez przyczyny. Cała osiemnastka chodzących do niej uczennic i uczniów wykazywała nadprzeciętne umiejętności. Większość legitymowała się ilorazem inteligencji grubo ponad średnią. Każdy, bez wyjątku, wiedział doskonale, czego oczekuje od życia, a co ważniejsze, dysponował także wiedzą, jak to osiągnąć. I to zaledwie w wieku dziewiętnastu lat! Ale czy mogłoby być inaczej, skoro do tej szkoły dostawali się tylko najlepsi z najlepszych w całym województwie?

Niestety, dla księdza Sambora, i nauczycieli innych przedmiotów zresztą też, uczniowie tej szkoły tak jak wykazywali

15  
się w nauce, tak też byli mocni w gębie. A klasa trzecia „c” należała do ścisłej czołówki, jeśli chodzi o wygadanie. Dlatego na religii z ich udziałem przerobienie materiału należało do rzadkości.

- Są pytania? - wikary zaczął lekcję w typowy dla siebie sposób, tuż po sprawdzeniu listy obecności.

- Skąd ksiądz wie, że Bóg istnieje? Nigdy nie miał ksiądz wątpliwości co do tego?

- Paczkowska - spojrzął wymownie na uczennicę, która zadała pytanie - uczę was religii drugi rok. Przez te prawie dwa lata, na początku każdej lekcji, zadajesz mi te same dwa pytania - zerknął do notatnika, przez moment wertując kartki. - Dziś zrobiłaś to już dziewięćdziesiąty ósmy raz.

- Jeszcze dwa i będzie okrągły jubileusz! - rzucił ktoś z tyłu sali.

- Zadaję księdzu wciąż te same pytania, bo nigdy mi na nie ksiądz nie odpowiedział - zauważyła celnie Paczkowska.

- Jak to nie odpowiedziałem? - uniósł brwi w geście zdziwienia. - Tłumaczyłem ci sto razy, że wierzę w Boga i nigdy nie miałem co do tego nawet krzty wątpliwości - wycedził, szczególnie mocno akcentując ostatnie dwa słowa.

- Małe sprostowanie, proszę księdza - odezwał się ten sam głos z tyłu sali. - Tłumaczył to ksiądz Paczkowskiej dziewięćdziesiąt siedem razy, nie sto.

- Owszem, raczył ksiądz wspomnieć o tym, iż opiera swoją wiarę na dogmacie istnienia nadprzyrodzonego Stwórcy

- Paczkowska też zaakcentowała dwa ostatnie słowa. - Jednak pragnę zauważyć, że użył ksiądz argumentu opartego jedynie na wierze, czyli czynniku nie dającym się empirycznie potwierdzić. Tym samym trudno taką hipotezę uznać za dowiedzioną. Co oznacza ni mniej, ni więcej to, iż dla mnie księdza odpowiedź jest nic nie warta. Dowody. Żądam dowodów!

16

- Dowód to masz osobisty, w portfelu - syknął wikary  
- Czegoś takiego jak wiara naukowo udowodnić się nie da. To zupełnie tak jak z miłością dwojga ludzi. W tym przypadku też chciałabyś naukowo potwierdzonych dowodów? Inaczej w nią nie uwierzysz?  
- Proszę księdza - Paczkowska uśmiechnęła się ironicznie  
- naukowcy już dawno zajęli się miłością i rozłożyli ją na czynniki pierwsze. Miłość to nic innego, jak pewna reakcja chemiczna. Weźmy dla przykładu wymianę płynów ustrojowych...  
- Seks! - krzyknął ktoś. - Wreszcie zaczęliśmy rozmowę na konkretny temat. Paczkowska, ty już swoje nagadałaś, teraz kolej na normalne pytania.  
- Właśnie. Księża ślubują czystość, prawda? - spytał chłopak siedzący w trzeciej ławce, o nazwisku Jędzowaty.  
- Tak - odpowiedział ksiądz Sambor, wzdychając. Nie miał już żadnych wątpliwości, w jaką stronę zmierza dyskusja.  
- Czyli, że nie mogą, no... tego tam - Jędzowaty wykonał ruch dłońmi imitujący stosunek seksualny.  
- Nie mogą - odparł wikary.  
- A zanim ksiądz został księdzem, uprawiał seks? - Jędzowaty wyszczerzył zęby w uśmiechu.  
- To moja prywatna sprawa - obruszył się wikary. - Następne pytanie.  
- To może tak - Jędzowaty uśmiechnął się jeszcze szerzej.  
- Jest ksiądz kilka lat po święceniach, czyli, zgodnie ze ślubami czystości, przez długi czas nie uprawiał seksu. Nie brakuje tego księdzu?  
- A któremu facetowi tego nie brakuje? - odpowiedział wikary pytaniem na pytanie. - Ze mną jest tak, jak z każdym innym mężczyzną...  
- Gejem też? - wypalił Jędzowaty, wzbudzając wybuch śmiechu pozostałej części klasy.

17

- Z tego co mi wiadomo, to także geje uprawiają seks. Chyba że masz jakieś inne informacje, co, Jędzowaty? - spytał wikary ironicznie. - Wróćmy do tematu. Ksiądz, oprócz tego, że jest księdzem, jest też mężczyzną, który czasami odczuwa pociąg seksualny.  
- Czasami? W jakim ksiądz żyje świecie? - burknęła blondynka w drugiej ławce. - Większość mężczyzn nie potrafi myśleć o niczym innym. Gdyby mogli, wtykaliby swoje pe-

nisy w każdą dziurę.

- Byleby tylko była odpowiedniej wielkości - zachichotała jej koleżanka z ławki, po czym obie przybiły piątkę.

- Dziewczyny... Trochę oglądy - wikary spojrzął na nie gniewnym wzrokiem, marszcząc przy tym brwi. - Macie w sobie tyle subtelności, co zimowy kożuch latem.

- Nie odpowiedział ksiądz na pytanie! - naciskał ktoś z tylnych rzędów.

- A na czym skończyłem?

- Że ksiądz też jest mężczyzną, który odczuwa pociąg seksualny - przypomniał ktoś.

- Właśnie. Ksiądz jest normalnym mężczyzną, który odczuwa pociąg seksualny. Jest też jednak coś takiego jak silna wola, która sprawia, że nie każdą potrzebę musimy realizować. Napięcie seksualne można rozładować także na inne sposoby, niekoniecznie przez uprawianie seksu...

- Ręcznie! - po tej uwadze Jędzowatego wszyscy znowu wybuchli śmiechem.

- Jędzowaty? - spytał ksiądz.

-Tak?

- Z łaski swojej zachowaj te cenne uwagi na później, dobrze? - rzekł z naciskiem wikary.

- Ja tylko chciałem podać przykład sposobu na rozładowywanie napięcia seksualnego. Zresztą akurat ten jest powszechnie znany i masowo stosowany. Technika jest wy-

18  
bitnie prosta - Jędzowaty uśmiechnął się, wykonując prawą ręką wymowny gest, co oczywiście spotkało się z aplauzem męskiej części klasy.

- Jesteś obleśny - prychnęła blondynka, marszcząc nos.

- Jeśli wciąż będziecie mi przerywać, to nigdy nie odpowiem na to pytanie - wikary zawiesił głos. - Chciałem tylko powiedzieć, że napięcie seksualne można w doskonały sposób rozładować chociażby na siłowni.

- Najlepiej z instruktorką - padło z końca sali. Ksiądz spojrział groźnie w tamtą stronę, ale nikt nie przyznał się do autorstwa tej myśli.

- Siłownia to raz - mówił dalej wikary - Drugi sposób to codzienna modlitwa o silną wolę i umiejętność powstrzymania się od uciech cielesnych.

- No nie... Niech ksiądz nie opowiada głodnych kawałków - wypaliła koleżanka blondynki. - To nie jest podstawówka, a my nie jesteśmy gówniarzami. Może ujmę to tak: jest lato, niedzielna msza, ksiądz rozdaje komunię, nagle do stopnia ołtarza podchodzi ekstralaska z głębokim dekoltem. Gapi się ksiądz na jej falujące piersi. Staje księdzu czy nie?

Salą wstrząsnęły brawa, chłopcy zaczęli gwizdać. Wikary milczał.

- Czekamy na odpowiedź, proszę księdza - ponowiła niecierpliwie koleżanka blondynki.

Wikary wciąż się nie odzywał. Nagle przed jego oczami jak żywe pojawiły się pełne piersi siostry Barbary i rowek między nimi. Poczł, jak policzki oblewają mu rumieńce. W tym momencie rozległ się dzwonek.

- Koniec lekcji. Odpowiedź poznacie za tydzień - zapowiedział wikary z wyraźną ulgą.

- Niecee!!!

- Zawsze skrupulatnie przestrzegacie dzwonka na przerwę. Ostatnio nawet kolega Jędzowaty pokusił się o napisanie na 19

tablicy czegoś, co można by określić mianem manifestu klasowego. Jak to szło? „Dzwonek - rzecz święta. Przerwa między lekcjami to niezbywalne prawo każdej jednostki”. Jakoś tak, prawda? - wikary spojrzł na klasę. - Nie śmiem więc zabierać wam ani sekundy czasu wolnego, który jest przecież waszym niezbywalnym prawem jako jednostki. A propos. Zanim kolega Jędzowaty zdecyduje się na karierę polityczną, powinien sprawdzić w słowniku wyrazów trudnych słowo „niezbywalne”. Oznacza ono coś, czego nie można nikomu zabrać i czego on sam też się nie może zrzec. Tak więc widzimy się za tydzień. A teraz wynocha, zamykam klasę!

Choć niektórzy nadal protestowali, domagając się odpowiedzi na pytanie swojej koleżanki, większość ruszyła do drzwi, mrużąc przy okazji pod nosem. Wikary zabrał dziennik, przymknął jedyne uchylone okno, zgasił światło, zamknął drzwi na klucz i ruszył rażnym krokiem do pokoju nauczycielskiego. Lekcja z trzecią „c” niemal zawsze oznaczała wchodzenie na śliskie i trudne tematy. Ale był też plus: była najgorszą, jaką miał w czwartek. A to oznaczało, że każda kolejna tego dnia, w porównaniu do tej właśnie zakończonej, była niemal jak relaks w aquaparku.

Rozdział 2

Pozostałe zajęcia w szkole minęły jak z bicza strzelił. Wróciwszy na plebanię, zjadł obiad, po czym uciął sobie drzemkę. Kiedy się obudził, dochodziła 17.30, wieczorna msza zaczynała się za pół godziny. Był spóźniony. Zerwał się z łóżka, w tym momencie zakręciło mu się w głowie.

- Znowu te krasnoludki - potarł dłonią czoło, szukając tabletek przeciwbólowych. Gdy je znalazł, otworzył buteleczkę. W środku była tylko jedna pastylka. Połknął ją, zapiał sutannę i, masując palcami skronie, poszedł do kościoła.

Teoretycznie środek przeciwbólowy powinien zacząć działać po dwudziestu minutach, góra po pół godzinie.

Ale najwyraźniej tym razem teoria kolejny raz przegrywała z praktyką. Kiedy w kościele rozległ się dzwonek oznaczający rozpoczęcie mszy, głowa księdza Sambora niemal eksplodowała. Jedyne, nad czym mógł się skoncentrować, było to, jak opanować ból i odprawić mszę. Zrobił to więc w istic rekordowym czasie. Na całe szczęście wiernych nie było zbyt wielu, więc i rozdawanie komunii poszło błyska-



wicznie. Odprawienie mszy zajęło mu osiemnaście minut.  
Rekord.

Wracając na plebanię, wolno wchodził po schodach na drugie piętro, czuł, jak przy każdym kroku krew pulsuje mu w żyłach na skroniach, jeszcze bardziej potęgując doskwierający ból. Zanim wszedł do swojego pokoju, najpierw poszedł do kuchni. Z zamrażarki wyciągnął porcję kotletów schabowych, owinał w cienki ręcznik, tak przygotowany kompres położył na głowę. Po kwadransie kotlety się co prawda roztopiły, ale ból mocno zelżał. Położył kompres na stoliku, się-

27

gnął po komórkę, wybrał numer kolegi księdza, który dzień wcześniej zabrał go ze szpitala.

- To co, jedziemy na basenik? - zaczął. - Jacuzzi, sauna...

- Nie dam rady - padło z drugiej strony słuchawki.

- Co?! Przecież się umawialiśmy.

- Nie dam rady. Coś się dzisiaj wydarzyło w szkole.

- Co? - przerwał zły, że kolega najwyraźniej nie zechce mu towarzyszyć w wypadzie. - Wuefistka znowu się do ciebie dobierała? - zaśmiał się. Wuefistka miała sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, nikt nie wiedział, ile ważyła, ale patrząc na to, jak prezentowała się jej sylwetka, nie sposób było szacować wagi na mniej niż sto kilogramów. Do tego miała złamany nos i włosy pod pachami bujne jak amazońska dżungla.

- Zginęło dziecko.

- Dziecko? - powtórzył wikary bezwiednie.

- Musisz powtarzać co drugie moje słowo? - kolega zażrzytał zębami. - Zginęło dziecko, chłopiec z drugiej klasy. Kilka dni temu, pół kilometra od jego domu, policja znalazła tornister. Podejrzewali, że został porwany.

- Porwany?

- Porwany, do jasnej niespodziewanej! Przecież powiedziałem!

- Nie denerwuj się.

- Nie denerwuj? - niemal krzyknął. - Przez cały ten czas wszyscy mieli nadzieję, że porywacze się odezwą i zażądają okupu. Policja wręcz była pewna takiego finału sprawy, bo rodzice chłopca są zamożni.

- Czekaj, czekaj - zamyślił się. - Ja chyba słyszałem o tej sprawie w telewizji. Tylko nie mogę sobie przypomnieć, jak ten chłopiec ma na imię. Czekaj, czekaj. Ty powiedziałeś, że zginęło czy że zaginęło?

- Dwie godziny temu ktoś znalazł jego ciało. Było tak zmasakrowane, że policja nie dopuściła do niego rodziców.

22

- Boże święty...

- Samborze... Adrian chodził do drugiej „c”. Jutro mam z nimi lekcję. Co ja im powiem? Jak wytłumaczę to, co stało się z ich kolegą? - pytał łamiącym się głosem.

Ale wikary już tego nie słyszał. Gdy padło imię chłopca,

nagle przed oczami stanęła mu scena z konfesjonału. Przed oczami przesuwaly się obrazy: jak ocknął się z drzemki, zamazanej twarzy penitenta, swojej złości, tego jak wyskoczył z konfesjonału, szukając żartownisia, na koniec upadku, po którym stracił przytomność.

A więc to nie był głupi dowcip. To się stało naprawdę. Ktoś zamordował tego chłopca. A potem przyszedł do niego się z tego wyświadczać. Słodki Jezu!

„Jezus tu nic nie pomoże, proszę księdza” - te słowa dudniły mu w głowie niczym echo w studni.

Telefon wypadł mu z ręki i roztrzaskał się o podłogę.

Usiadł na tapczanie. Bezwiednym ruchem dłoni pozbiarał z podłogi rozrzucone części komórki, położył obok na kocu, tępo się w nie wpatrując. Zaczął dopasowywać poszczególne elementy, gdy nagle zdał sobie sprawę z bezcelowości tego, co robi.

„Słyszał ksiądz może o zaginięciu małego Adrianka? Musiał ksiądz słyszeć. Całe miasto nie mówi o niczym innym.” - dźwięczało mu w uszach. I co teraz? Co zrobić? Zagryzł palce, próbując opanować gonitwę myśli. Z tego wszystkiego zaczęła go na powrót boleć głowa.

- Muszę iść z tym na policję. Może uda się sporządzić portret pamięciowy. Kratka konfesjonału zasłaniała co prawda jego twarz, ale coś musiałem zobaczyć - myślał gorączkowo. Tak jest, trzeba jak najszybciej dać znać śledczym o wszystkim, co wie! To może naprowadzić ich na ślad mordercy.

23

W takich sprawach jak ta liczy się każda godzina. Musi natychmiast zadzwonić na policję. Rozejrzał się wokół, szukając komórki. Jego wzrok padł na koc i leżące na nim części rozbitego telefonu.

- Kratka konfesjonału? - ta myśl była jak błyskawica. Boże drogi, pójdzie na policję nie wchodzi w grę! To przecież była spowiedź, którą chronią tajemnica. Uświadomił sobie, że nie może policji powtórzyć nawet jednego słowa, które padło podczas tamtej rozmowy. Nie może zdradzić, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce. Ba, nie powinien sam o tym myśleć, roztrząsając, co mu ten człowiek powiedział. Zgodnie z prawem kanonicznym w momencie zakończenia spowiedzi należało przestać o niej myśleć.

- Muszę o tym zapomnieć, jakby tego nie było - westchnął głęboko, chowając głowę w dłoniach.

Im bardziej próbował nie myśleć o spowiedzi, tym trudniej mu to przychodziło. Czuł pulsujące skronie, ból głowy zaczynał promieniować na resztę ciała. Westchnął, biorąc głęboki wdech. Coś musi zrobić.

Podczas studiów w seminarium profesorowie dużo i chętnie mówili o spowiedzi. Pamiętał, jak któregoś dnia - za oknem padał wtedy gęsty śnieg - jeden z kolegów spytał wykładowcę, czy tajemnica spowiedzi obowiązuje księdza także

wtedy, gdy wysłucha mordercy.

- Bezwarunkowo - odpowiedział ksiądz profesor. - Każdy, kto przyjdzie do konfesjonału wyspowiadać się przed Panem ze swoich słabości i grzechów, ma niezbywalne prawo do tego, aby to, co powie kapłanowi, nigdy nie ujrzało światła dziennego. Tajemnica sakramentalna jest nienaruszalna, a to znaczy, że nikt nie może od niej dyspensować. Nikt, nawet sam Ojciec Święty.

24

- I nie ma tu znaczenia, jakiego okropnego czynu dokonał penitent? - padło kolejne pytanie.

- Nie. Tajemnica spowiedzi dotyczy zarówno tego, kto wezwał niepotrzebnie imienia Pana Boga; tego, kto zdradził żonę; jak i tego, kto zabił człowieka - odpowiedział wtedy ksiądz profesor. - Pamiętajcie też, że tajemnica ta dotyczy nie tylko grzechów, z których człowiek się spowiada, ale wszystkiego, co wam podczas tej spowiedzi powie. Wszystkiego. Przed oczami księdza Sambora pojawiały się kolejne wspomnienia z tamtego wykładu. Dyskusja była żarliwa jak rzadko kiedy. W pewnym momencie ksiądz profesor zaczął się nawet śmiać, zarzucając swoim słuchaczom, że próbują znaleźć wyjątek, którego nie ma i nie będzie.

- Każdy penitent ma prawo do zachowania tego, co wam powie w absolutnej tajemnicy. Co więcej, nie możecie nawet, spotykając go twarzą w twarz poza konfesjonalem, dać mu do zrozumienia w jakikolwiek, choćby najmniejszy sposób, że coś pamiętacie. - W uszach dźwięczały mu słowa wykładowcy. - Pamiętajcie, tajemnica spowiedzi jest absolutna! Wikary poczuł, jak po czole płynie mu strużka potu. Wytarł ją rękawem sutanny, zastanawiając się, co czynić dalej. Pierwsze, co zrobił, to sięgnął po Kodeks prawa kanonicznego. Postanowił jeszcze raz sprawdzić wytyczne dotyczące sakramentu. Ksiądz profesor mówił na zajęciach o mordercy, ale przecież nie wspominał o sytuacji, kiedy ktoś zabija dziecko. - Może to jest ten wyjątek, który tak próbowaliśmy wtedy znaleźć? - zamyślił się. Chwilę wertował spis treści, po czym znalazł interesujący go kanon 983, punkt 1, mówiący o tajemnicy spowiedzi.

„Tajemnica sakramentalna jest nienaruszalna; dlatego nie wolno spowiednikowi słowami lub w jakikolwiek inny sposób i dla jakiegokolwiek przyczyny w czymkolwiek zdradzić penitenta.” Dalej była mowa o tym, że tajemnica ta dotyczy

25

też tłumacza, a także każdego innego człowieka, który w jakikolwiek sposób zdobył ze spowiedzi wiadomości o grzechach. - Świetnie, coraz lepiej. Cały czas mam pod górkę - zagryzł wargi w poczuciu bezsilności. Ani słowa o mordercach dzieci. Westchnął głęboko, zatrzasnąwszy księgę, odłożył ją na półkę. Zaczął chodzić po pokoju, zastanawiając się, gdzie szukać potrzebnych informacji.

Internet! Że też wcześniej o tym nie pomyślał. Włączył komputer, otworzył przeglądarkę, wpisał „tajemnica spowiedzi.” Wynik wyszukiwania - prawie trzysta stron - napawał entuzjazmem.

Zaczął sprawdzać poszczególne domeny. Na większości informacje były krótkie i lakoniczne, z reguły zawierały cytaty z Prawa kanonicznego, który już dobrze znał. Po pół godziny surfowania wszedł na stronę archidiecezji wrocławskiej. Jego oczom ukazał się długi artykuł o sakramencie pokuty. Zaczął zjeżdżać kursorem w dół, rzucając okiem na wytłuszczone tytuły akapitów. „Bezwzględne zachowanie tajemnicy spowiedzi”.

- Jest! - aż krzyknął z radości. Przeczytanie tekstu zajęło mu minutę. Niedobrze. „Spowiednik nie może w żaden sposób korzystać z wiadomości, które zdobył z racji spowiedzi, powodujących uciążliwość dla penitenta, nawet jeśli wykluczy wszelkie niebezpieczeństwo wyjawienia osoby.” Dalej było o tym, że tajemnicy trzeba dotrzymać niezależnie od tego, czy ktoś otrzymał rozgrzeszenie, czy nie. I o czymś takim jak „pośrednia zdrada tajemnicy”, która miała miejsce, gdy po spowiedzi zmieniały się codzienne i osobiste relacje między spowiednikiem i penitentem. - I co jeszcze? - wzdrygnął się na myśl, że gdyby teraz morderca przyszedł do niego w odwiedziny, musiałby mu jakby nigdy nic... - Zapropionować herbatę? - walnął pięścią w stół.

26

Przeczytał artykuł jeszcze raz, wolniej. „Zobowiązanie do zachowania tajemnicy spowiedzi jest aktualne także po śmierci penitenta.” Nabrał głęboko powietrza w płuca, pozwolił wypuścić je, założywszy ręce za głowę i odchyliwszy się do tyłu.

Czyli nic z tego. Żadnej informacji, jaką zdobył podczas wizyty mordercy w konfesjonale, nie mógł wykorzystać. Ani teraz, ani potem.

Tego wieczora nie mógł zasnąć. Właściwie nawet się z tego powodu ucieszył, bo gdy tylko zamykał powieki, przed oczami stawała scena z konfesjonalu. Za każdym razem obraz był zamazany tak, że ledwie rozpoznawał znane sobie przedmioty. Najbardziej niewyraźna była postać penitenta. Po trzech godzinach rzucania się w łóżku, wypiciu czterech szklanek wody udało mu się zasnąć.

Po godzinie niespokojnego snu obudził się zlany potem.

Zmienił górę od piżamy, całą moką, sięgnął po szklankę stojącą, jak co noc, tuż obok na stoliku. Zrobił to jednak na tyle niezdarne, że zamiast chwycić ją w dłoń, trącił. Naczynie się przewróciło. Patrzył tępo w ciekącą wodę, jak zahipnotyzowany. Zdał sobie bowiem nagle sprawę z tego, że nawet gdyby nie obowiązywała go tajemnica spowiedzi, sytuacja byłaby tak samo beznadziejna. Słyszał bowiem tylko głos penitenta, nie widział jego sylwetki, nie mówiąc już o rysach twarzy.

Z tą świadomością, która sprawiła, że, paradoksalnie, było mu nieco lżej na duszy, gdyż zdał sobie sprawę z własnej bezsilności, położył się na powrót do łóżka i zasnął niemal natychmiast.

### Rozdział 3

#### Dzień 3 (piątek)

- Ksiądz to miał chyba ciężką noc. Ciekawe, kto księdza tak wymęczył? I jaka ta sutanna pognieciona - stwierdziła Beatrycze Stawska typowym dla siebie, na wskroś złośliwym tonem, gdy tylko wikary przekroczył próg pokoju nauczycielskiego.

Wydarzenia dnia poprzedniego tak go rozkojarzyły, że zapomniał o nastawieniu budzika. Efekt był taki, że zamiast wstać o 6.20, obudził się kwadrans przed ósmą. Nie zdążył zjeść śniadania, nie mówiąc o ogoleniu się. Chwycił tylko teczkę z konspektami dzisiejszych lekcji i wypadł z plebanii, zdecydowany biec, byle tylko nie spóźnić się na pierwszą lekcję. W drzwiach wejściowych zdążył się jeszcze natknąć na proboszcza, który słowem nie skomentował jego nieobecności na porannej mszy. Nie musiał, grymas zdobiący jego twarz mówił sam za siebie. Za to wikary wykorzystał spotkanie z proboszczem i spytał go o tajemnicę spowiedzi. Usłyszał dokładnie taką samą wykładnię, jaką znalazł dzień wcześniej w Internecie.

- Bo ja... - zaczął tłumaczyć ksiądz Sambor.

- Chociaż nie powiem, z tym dwudniowym zarostem jest księdzu o wiele bardziej do twarzy - przerwała mu Stawska, uśmiechając się szeroko.

- Pani znowu zaczyna z tymi swoimi grubiańskimi uwagami? Wstydzilaby się pani! - dopiero teraz wikary zauważył obecność Marii Piecuch, nauczycielki historii.

- A czego miałabym się wstydzić? - odcięła się Stawska

28

takim tonem, jakby faktycznie uwaga koleżanki była nie na miejscu. - Ksiądz to przecież mężczyzna jak każdy inny. Jeśli się nie mylę, to są pani słowa?

Policzki Piecuch oblał rumieniem, zaczerpnęła powietrza, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu.

- A może pani tego nie pamięta? - ciągnęła Stawska, wyraźnie upajając się sytuacją, w jakiej znalazła się historyczka.

- Była pani uprzejma podzielić się z gronem pedagogicznym tą cenną uwagą trzy tygodnie temu podczas integracyjnego wyjazdu w Góry Izerskie. Jeśli mnie pamięć nie myli, było to tuż po tym, jak nasza wuefistka wypowiedziała się w temacie pośladków księdza Sambora.

- Jak pani śmie w obecności księdza wikarego mówić o takich rzeczach! - Piecuch aż kipiała z gniewu.

- O jakich rzeczach? - Stawska udawała zdziwioną.

- O takich! - Piecuch tupnęła nogą.

- Mógłbym coś powiedzieć? - wtrącił nieśmiało wikary, speszony tematem toczącej się wymiany zdań.  
- W końcu panie, jeśli dobrze słyszę, wypowiadają się w kwestii bezpośrednio dotyczącej mojej osoby.  
- Oczywiście - odpowiedziała natychmiast Piecuch. - Ale zanim ksiądz to zrobi, chciałam księdza najmocniej przeprosić za zachowanie mojej koleżanki. Zachowanie kompletnie nieodpowiedzialne.  
- Wypraszam sobie - obruszyła się Stawska. - Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek przeproszał kogokolwiek w moim imieniu.  
- A więc pani chce sama przeprosić księdza wikarego za tę grubiańską uwagę? - zdziwiła się historyczka. - Jestem zaskoczona pani postawą, oczywiście pozytywnie. Ośmielam się niniejszym wyrazić moją absolutną aprobatę.

29

- Nie sędzę - burknęła Stawska. - Nie zamierzam księdza przeproszać, bo nie uważam, żebym powiedziała coś niestosownego. - Wzięła ze stołu dziennik lekcyjny, włożyła go pod pachę i wyszła z pokoju.

- Jak ona mogła? - spytała Piecuch ni to księdza, ni to siebie.

- Nie zaprzatajmy sobie tym głowy - machnął ręką. - Pani Mario, mam do pani pytanie.

- Tak, proszę księdza.

- Na pewno słyszała pani o tym potwornym morderstwie małego chłopca...

- Adrianka? - weszła mu w słowo.

- Tak - pokiwał głową. - Wie pani, chciałbym się dowiedzieć nieco więcej o tej zbrodni niż mówili w telewizji czy pisali w gazecie - myśl, aby spytać o to historyczkę przyszła w tej chwili. Nagły przebłysk podświadomości uświadomił mu, że o ile nie może nawet w myślach wracać do tamtej spowiedzi ani wykorzystywać żadnej z informacji zdobytej przy okazji wizyty penitenta w konfesjonale, o tyle może przecież dowiedzieć się nieco więcej o samym chłopcu i zbrodni, jaką na nim popełniono. Tego nikt mu nie mógł zabronić, a tajemnica spowiedzi nie miała tu żadnej siły sprawczej.

- Dlaczego chce ksiądz to wiedzieć? - spytała, ale nie odpowiedział. - Proszę księdza, dobrze się ksiądz czuje?

- Słucham? - ocknął się.

- Pytałam, czy się ksiądz dobrze czuje. Bo przez dłuższą chwilę był ksiądz jakby nieobecny.

- Zamyśliłem się. Mam ostatnio mnóstwo rzeczy na głowie

- westchnął. - Ale pani mnie o coś pytała, prawda?

- Pytałam, dlaczego jest ksiądz zainteresowany tym chłop-

30

cem. On nie chodził do naszej szkoły. Nie należał też do naszej parafii.

- To... - zawahał się na moment - uczeń księdza Damiana z sąsiedniej parafii, mojego dobrego kolegi. Bardzo przeżywa tę tragedię. Nie wiem, jak mógłbym mu pomóc. Pomyślałem, że jeśli dowiem się czegoś więcej o tym okropnym zdarzeniu, to...

- Najmocniej księdza przepraszam, że byłem taka obcesowa - Piecuch przyłożyła obie dłonie do policzków. - Nie powinnam pytać.

- Nic się nie stało, pani Mario. Nic się nie stało - uspokajał ją. - To jak, może mi pani pomóc?

- Chyba tak - zamyśliła się. - Mój kuzyn jest dziennikarzem śledczym w „Głosie Naszego Miasta”. Jeśli ktokolwiek będzie wiedział coś więcej na temat tego zabójstwa, to na pewno on.

- Ale ja już czytałem o tym morderstwie w gazetach. Artykuł pani kuzyna pewnie też - skrzywił się. - Mówiłem pani, że chciałem się dowiedzieć czegoś więcej niż pisali dziennikarze.

- Proszę księdza, to, że czytał ksiądz artykuł mojego kuzyna, w niczym nie przeszkadza. Bardzo rzadko zdarza się, aby dziennikarze wszystkie zdobyte przez siebie informacje opublikowali w pierwszym tekście. Z reguły trzymają niektóre co pikantniejsze szczegóły na później. A zdarza się nawet, że o niektórych nie piszą w ogóle, zachowując je w tajemnicy.

- Dlaczego?

- Bo mają taką umowę z policją, ze swoimi informatorami. Nie wszystko nadaje się do druku, proszę księdza.

- Myśli pani, że ten kuzyn mógłby mi powiedzieć coś więcej? - spytał zaciekawiony.

- Jeśli nie on, to na pewno żaden inny dziennikarz w tym mieście. Mój kuzyn jest tu najlepszy w branży.

31

Gdy tylko wrócił ze szkoły na plebanię i zjadł obiad, zadzwonił pod numer podany przez historyczkę. Niestety, telefon dziennikarza był wyłączony. W kolejnej godzinie próbował kilkakrotnie połączenia, aby za każdym razem usłyszeć: „Abonent ma wyłączony telefon lub przebywa poza zasięgiem sieci. Proszę się rozłączyć i spróbować później.”

Zrezygnowany wyłączył komórkę, zostawił ją na stoliku i poszedł do kościoła odprawić mszę. Wcześniej, jak zwykle, usiadł w konfesjonale, aby wysłuchać spowiedzi wiernych. W tygodniu, przed wieczorną mszą, z reguły nie było zbyt wielu chętnych, ale dwie, trzy osoby trafiały się niemal zawsze. Nie inaczej było i tego dnia. Jako pierwsza do sakramentu pokuty przystąpiła sześćdziesięcioletnia kobieta, której nie dawało spokoju to, iż nazwała swoją sąsiadkę, najlepszą przyjaciółkę, starą krową. I choć nie zrobiła tego w jej obecności, gryzły ją wyrzuty sumienia. Wikary zadał jej jako pokutę odmówienie pięciu różańców, a jako

zadośćuczynienie wyrządzonej krzywdzie nakazał pomóc sąsiadce w zrobieniu zakupów.

Kiedy zaczął spowiadać drugą osobę, okazało się, że za kratką konfesjonału zjawiała się owa sąsiadka, nazwana przez poprzednią penitentkę starą krową. Nawet by się w tym nie zorientował, gdyby nie to, że ta kobieta wyspowiadała się z identycznego grzechu. Z tym małym wyjątkiem, że przyjaciółkę wyzwalała w obecności swojego męża. Nakazał jej taką samą pokutę i, z uśmiechem na ustach, odprawił ją. Gdy zapukał trzy razy w ścianę konfesjonału, kobieta powiedziała „Bóg zapłać”, wstała i poszła do ławki, tej samej, w której siedziała jej przyjaciółka. Ponieważ do mszy zostało jeszcze kilka minut, obie wyciągnęły różan-

32  
ce i się modliły. Widząc to, ksiądz Sambor uśmiechnął się szeroko, nie zauważywszy, że miejsce po drugiej stronie kratki konfesjonału zajął ktoś nowy. Dopiero gdy usłyszał „Szczęść Boże”, odwrócił głowę.

- Szczęść Boże - odpowiedział machinalnie.

- Pobłogosław mi, Ojczy, bo zgrzeszyłem.

- Słucham, synu - uśmiechnął się, wciąż patrząc kątem oka na ławkę, w której modliły się starsze panie.

- Zamordowałem dziecko, proszę księdza.

Rozdział 4

W tym samym czasie do pokoju komendanta wojewódzkiego policji Ryszarda Bromskiego weszli: komendant miejski Ewaryst Stanisław Przybylski, jego zastępca Albert Jakubski oraz nadkomisarz Weronika Bielska. Komendant wojewódzki wstał zza biurka i po kolei przywitał się z każdym przybyłym, zaczynając od funkcjonariuszki.

- To najwyraźniej, Stasiu, mamy do czynienia z seryjnym mordercą - Bromski zwrócił się w stronę komendanta miejskiego, jak zwykle używając jego drugiego imienia.

- Rysiu, na tym etapie śledztwa nie można wyciągać tak daleko idących wniosków... - zaczął niepewnie Przybylski.

- Co ty mi tu pieprzysz! - wypalił bez ogródek Bromski.

Znany był z tego, że zdenerwowany nie owijał niczego w bawełnę. - To nie jest odprawa dla posterunkowych, mów do mnie jak do człowieka.

Nadkomisarz uśmiechnęła się pod nosem.

- Wera? Coś cię rozbawiło? - spytał zastępca komendanta Jakubski.

- Nie, to skurcz tylko jakiś... - rzuciła, powstrzymując śmiech.

- Ludzie, nie przyszłście do mnie na gadanie o pierdołach

- zganił ich Bromski. - Stasiu, zadałem ci jedno proste pytanie: mamy seryjnego zabójcę czy nie?

- Mamy - rzekła nadkomisarz, zanim jej przełożony zdążył otworzyć usta.

- A ty skąd taka pewna jesteś? - spytał Przybylski, zły, że



weszła mu w słowo.

- To się zdecydujcie. Ty mi mówisz, Stasiu, że seryjnego

34

nie mamy, a twoja policjantka, że mamy. Jak jest? - Bromski zmarszczył groźnie brwi.

- Słyszałaś, o co spytał pan komendant. Słuchamy - Przybylski zerknął wymownie na Bielską.

- Oba porwania dotyczyły chłopców. Obaj byli w tym samym wieku. Chodzili do tej samej szkoły - wyliczyła. - To chyba logiczne.

- Ale obrażenia, jakich doznali przed śmiercią, były zupełnie różne - zauważył Jakubski.

- Moim zdaniem jest zdecydowanie za wcześnie, żeby z całą pewnością wyrokować, iż mamy seryjnego - stwierdził twardo Przybylski. - Ale - spojrzał na policjantkę, która już otwierała usta, żeby zaprotestować - taką opcję też trzeba brać pod uwagę.

- Dokładnie - Bromski strzelił palcami, podrywając się z fotela. - Seryjny czy nie, macie mi go złapać. Albo ich, bo musimy przyjąć, że nie jest to robota jednego człowieka. Na temat tego drugiego morderstwa prasa jeszcze chyba nic nie wie, ale jak znam życie, za godzinę czy dwie mój telefon zacznie dzwonić jak oszalały. Pierwszym pytaniem, jakie mi zadadzą dziennikarze, będzie: „Czy mamy do czynienia z seryjnym mordercą?” I nawet jeśli będę się zaklinał na wszystkie świętości, że za wcześnie o tym przesądzać, to i tak jutro na pierwszych stronach gazet grubymi literami będzie napisane „Seryjny zabójca grasuje w mieście”. Wiecie, co się wtedy zacznie dziać? - pytanie było z gatunku retorycznych, więc nikt z obecnych nie odezwał się słowem. - Dlatego macie go złapać! Ty, Stasiu - wycelował palec w komendanta miejskiego - odpowiadasz za to osobiście. Jeszcze dziś powołasz specjalny zespół, który nie będzie się zajmował niczym innym jak tylko tą sprawą. Kto będzie szefem grupy?

- Nadkomisarz Weronika Bielska - Przybylski wskazał dłonią na policjantkę.

35

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - Bromski aż cmoknął z zadowolenia. - W takim razie to wszystko. A jutro o tej samej porze czekam na raport. Odmaszerować.

- Tak jest - odpowiedział Przybylski, zwracając się w stronę drzwi, za nim ruszyli pozostali funkcjonariusze.

- Jeszcze jedno - rzucił Bromski. Policjanci przystanęli i odwrócili się jednocześnie, jakby godzinami ćwiczyli ten manewr. - Macie go złapać, zanim porwie i zabije kolejne dziecko. Za cztery miesiące są wybory parlamentarne. Wszystko wskazuje, że ekipa rządząca się zmieni, razem z nią mogą się zacząć czystki na stanowiskach komendantów wojewódzkich. A tego byśmy chyba nie chcieli?

- Oczywiście, panie komendancie - pośpieszył z zapew-

nieniem Przybylski. Wiedział doskonale, że każda taka zmiana na fotelu komendanta wojewódzkiego oznacza też czystkę na stanowiskach komendantów miejskich i powiatowych. A jemu brakowało do emerytury tylko półtora roku służby.

- Więc żeby mi to była ostatnia ofiara - powtórzył Bromski.

- Obawiam się, panie komendancie, że to akurat w najmniejszym stopniu nie zależy od nas - odezwała się nadkomisarz Bielska.

- To ty - ni to spytał, ni stwierdził ksiądz Sambor nad wyraz spokojnym głosem.

-Ja.

- Adrianek, tak się nazywał ten chłopiec? Mówiłeś o nim dwa dni temu.

- Tak, dwa dni temu mówiłem księdzu o Adrianu. Ale to było dwa dni temu.

- Nie rozumiem.

- Dwa dni temu mówiłem księdzu o tym, że zabiłem Adrianka. I że zanim go zabiłem, to zrobiłem mu coś potwornego. Pamięta ksiądz?

36

- Pamiętam, choć... - zawiesił głos.

- Choć wolałby ksiądz zapomnieć - dokończył mężczyzna.

- A może po tamtym upadku i uderzeniu w głowę, gdy stracił ksiądz przytomność i obudził się w szpitalu, może ksiądz myślał, że to się tylko przyśniło?

- Skąd wiesz o moim wypadku?!

- Proszę księdza... Wiem o wielu rzeczach. Nawet ksiądz nie przypuszcza, o jakich. W dzisiejszych czasach informacja to klucz do sukcesu i władzy. A ja bardzo lubię mieć wpływ na życie innych.

- Synu, do rzeczy - ponaglił wikary zdenerwowany, zdając sobie sprawę, że nie potrafi kontrolować tej rozmowy.

- Zacznijmy od tego, że nie jestem księdza synem. A jeśli chodzi o moją dzisiejszą spowiedź, to przyszedłem się wyświadczać z czegoś innego.

- Mianowicie?

- O Adrianu ksiądz słyszał, zanim dwa dni temu przyszedłem do tego konfesjonału. Trąbiły o tym wszystkie media. Ale o siedmioletnim Rafałku ksiądz słyszeć nie mógł. To świeża sprawa, dzisiejsza. Ten chłopiec chodził do tej samej szkoły co Adrianek, ale do innej klasy. Kto wie, może nawet razem bawili się na przerwach w berka?

- Temu chłopcu też coś zrobiłeś? - spytał wikary drżącym głosem. Zerknął na dłonie, które zaczęły się trząść jak galareta.

- Dlaczego używa ksiądz określenia „coś”. Dlaczego nie spyta ksiądz wprost, czy go zabiłem? - powiedział to tak spokojnie. - Przecież to, że ksiądz spyta, nic już nie zmieni.

- Zabiłeś go?

- No - odparł krótko. - Może się ksiądz zacząć modlić za jego duszę. Rozumiem, że tym razem też nie dostanę rozgrzeszenia.

37

- Co? - nagle zmiana tematu wytrąciła wikarego z toku myślenia.

- Pytam, czy tym razem też nie dostanę rozgrzeszenia.

- A coś się zmieniło od twojej ostatniej spowiedzi? - spytał gniewnie. - Z tego, co mówisz, wynika, że zabiłeś kolejną osobę. Pozbawiłeś życia dwóch niewinnych chłopców, dzieci, które nie zrobiły ci nic złego. I tylko Bóg jeden wie, co im jeszcze uczyniłeś złego przed śmiercią. I ty masz czelność żądać ode mnie rozgrzeszenia? Jak śmiesz?!

- Ja niczego od księdza nie żądam - głos mężczyzny był niezwykle spokojny. - Czy ksiądz się czasem zbyt nie zagalopował? Przecież to nie ksiądz przebacza swoim owieczkom, tylko sam Bóg, nieprawdaż? I to, jak mówi Pismo Święte, przebacza największym zbrodniarzom. Więc?

- Nie możesz dostać rozgrzeszenia - wikary już się uspokoił i nie krzyczał - jeśli nie przestaniesz popełniać grzechu, a przynajmniej nie będziesz nad tym pracował. Musiałbyś też wykazać skruchę. W twoim przypadku konieczne byłoby także zgłoszenie się na policję, przyznanie do winy i wyrażenie żalu za to wszystko, co zrobiłeś tym biednym dzieciom, oraz za cierpienia, jakie przysporzyłeś ich rodzinom. Więc?... Jesteś na to gotowy?

- Jeszcze nie, proszę księdza - głos z drugiej strony konfesjonału był wyciszony. - Jeszcze nie.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się, jako kapłanowi, odprawić takiej mszy jak tego wieczora. Gdyby wobec eucharystii można użyć sformułowania „źle odprawiona”, ta byłaby najgorszą w życiu. Tylu pomyłek, powtórzeń i przerw, ile popełnił, z pewnością wystarczyłoby na obdzielenie wszystkich mszy odprawianych w tym kościele w ciągu roku. A być może zostałyby jeszcze spory zapas na lata następne. Można by na-

38

wet pokusić się o uwagę, iż gdyby nie obecność ministrantów, to tej ofiary chleba i wina nie udałooby mu się odprawić w ogóle. Tak był rozkojarzony odbył co dopiero rozmową z mordercą, że nie potrafił skupić się na żadnej wykonywanej czynności dłużej niż przez kilka sekund. Za każdym razem myśli wracały do konfesjonału i do słów wypowiedzianych przez penitenta, które wciąż dźwięczały mu w uszach niczym echo odbijające się od studni: „Zabiłem dziecko, proszę księdza”. I to słów wypowiedzianych tak beznamiętnym tonem, jakby prosił w sklepie o dziesięć plasterków żółtego sera. Gdy tylko ofiara dobiegła końca, nie zważając na ministrantów i parafianki, które przyszły do zakrystii zamówić mszę, wyszedł z kościoła i poszedł prosto do swojego miesz-

kania. Zamknął drzwi na klucz i od razu wszedł na Internet. Kiedy pojawiła się strona, którą miał ustawioną jako startową, od razu rzucił mu się w oczy news „Kolejny siedmiolatek bestialsko zamordowany. Czy w mieście grasuje seryjny morderca dzieci?”. Notka była krótka, najwyraźniej dziennikarz, który ją opracował, miał zbyt mało czasu na zebranie większej ilości danych. Te podane w artykule były lakoniczne, ale ta swego rodzaju informacyjna asceza była przez to tym bardziej porażająca.

Chłopczyka znaleziono w kanale ściekowym nieczynnej mleczarni na osiedlu Andrzejów. Na zawinięte w koc zwłoki natknął się zbieracz złomu. Powiadomił policję, ta natychmiast ogrodziła teren, nie pozwalając zbliżyć się nikomu, nawet dziennikarzom. Rzecznik policji ograniczył się jedynie do podania krótkiego komunikatu: chłopiec zaginął rankiem tego samego dnia. Rodzice zgłosili ten fakt zaniepokojeni telefonem ze szkoły, z którego wynikało, iż syn nie zjawił się na lekcjach. Początkowo nic nie wskazywało na porwanie, nikt nie zgłosił żądania okupu, policja przyjęła wersję o zagubieniu się malucha. Na pytanie dzien-

39  
nikarzy, czy rodzina zidentyfikowała zwłoki, rzecznik odpowiedział, że obrażenia ciała są tak rozległe, iż będzie to najprawdopodobniej niemożliwe. Zaznaczył jednocześnie, że na ciele chłopca znaleziono łańcuszek, który rodzice już rozpoznali, ale pewność co do tożsamości ofiary da dopiero analiza próbek DNA.

Wikary wszedł na stronę regionalnej gazety. Tam też była już informacja o morderstwie. Szybko zlustrował artykuł, szukając dodatkowych danych, ale w większości były takie same jak w tym, który właśnie skończył czytać. Dopiero pod koniec znalazł to, czego szukał. Zamordowany chłopczyk chodził do tej samej szkoły co Adrianek.

Złapał się za głowę. Sięgnął po wydruki stron internetowych dotyczących tajemnicy spowiedzi, przeglądanych poprzedniego dnia. Zaczął czytać ponownie. Po chwili ze złością zmiął kartki i zgniecione w kulkę rzucił na podłogę w geście bezsilności.

Ni stąd, ni zowąd zadzwoniła komórka.

- Słucham - powiedział niepewnie, nie rozpoznając numeru.

- Dzień dobry, Jarosław Nowicki z tej strony. Ktoś do mnie kilka razy dzwonił z tego numeru.

- Dzień dobry - odpowiedział, już uspokojony. - To ja dzwoniłem. Mam pana numer od Marii Piecuch, mojej koleżanki z pracy.

- Jest pan nauczycielem?

- Jestem księdzem, uczę religii w tej samej szkole. Chciałem pana spytać o pewną sprawę. Ale to chyba nie jest rozmowa na telefon.

- Proszę przynajmniej w zarysie powiedzieć, w czym rzecz?
- Interesuje mnie morderstwo tego chłopczyka, Adrianka. Ale nie chodzi mi o to, co już czytałem w gazetach. Potrze-
- 40
- buję informacji, które się w druku nie ukazały, jeśli wie pan, co mam na myśli.
- Chyba wiem - w głosie dziennikarza było czuć wahanie.
- Faktycznie, to nie jest rozmowa na telefon. Kiedy chciałby się ksiądz spotkać?
- Proponuję jutro - powiedział zdecydowanie. - Do 14.00 mam szkołę.
- W sobotę?
- Odrabiamy awansem drugi maja. Potem będzie jeszcze rada pedagogiczna, jak znam życie, to zejdzie nam gdzieś do 16.00. Z kolei o 18.00 odprawiam mszę. Hm... A o której by panu pasowało?
- Do południa mam cały dzień zavalony robotą. Potem jeszcze dwa spotkania, myślę, że gdzieś koło 15.00 dałbym radę.
- To zróbmy tak: ja się zerwę z rady i umówimy się na 15.00. Gdzie się spotkamy?
- Może w Czarze Namiętności? Mają tam kilka stolików nieco oddzielonych od reszty sali, akurat na rozmowę na taki delikatny temat. No i to lokal blisko księdza szkoły.
- W takim razie jesteśmy umówieni na jutro na 15.00. Bardzo panu dziękuję za telefon.
- Nie ma sprawy. Mam jeszcze pytanie do księdza.
- Tak?
- Dlaczego ksiądz interesuje się tą sprawą? Czy zamordowany chłopiec chodził do szkoły, w której ksiądz uczy?
- Nie, ja uczę w szkole średniej.
- Faktycznie, tam gdzie pracuje moja kuzynka.
- Adrianek chodził do szkoły, w której religii uczy ksiądz, który jest moim bliskim kolegą. Bardzo przeżywa to, co się stało. Pomyślałem, że gdybym dowiedział się nieco więcej na temat tego strasznego zdarzenia, mógłbym mu jakoś pomóc.
- Rozumiem. W takim razie do jutra.

47

- Do jutra.

Wikary położył telefon na stoliku, usiadł na tapczanie, zastanawiając się, czy dziennikarz uwierzył w to, co mu przed chwilą powiedział. - Chciałbym pomóc koledze, który uczył tego chłopca. Dlatego pomyślałem, że dowiem się czegoś więcej - powtórzył na głos. - Jasne - westchnął, nie mając wątpliwości, iż Nowicki nie dał się na to nabrać.

Po rozmowie z dziennikarzem, już w nieco lepszym nastroju, wrócił do przeszukiwania Internetu. Niestety, w większości przypadków strony, które udało mu się namierzyć,

zawierały te same informacje, co już zdobyte. Wiadomo było tyle: obaj chłopcy chodzili do drugiej klasy, ale każdy do innej; obaj zostali porwani w drodze z domu do szkoły. Choć z podawanych przez policję skąpych danych nie sposób było określić obrażeń, jakie odnieśli - poza lakonicznym komunikatem, że były „bardzo poważne i wielonarządowe” - dziennikarze jakoś się dowiedzieli, iż oba ciała były potwornie zmasakrowane. Tak mocno, że nie sposób było na podstawie ich oględzin potwierdzić tożsamości ofiar, potrzebne do tego było badanie próbek DNA. Jeden z żurnalistów zwrócił natomiast uwagę na jedną zasadniczą różnicę: o ile Adrianek został zamordowany kilka dni po porwaniu, to Rafałek tego samego dnia, w którym zniknął.

To było wszystko, co udało mu się wyczytać w Internecie. Żadnych podejrzanych, nie mówiąc o aresztowanych. Owszem, od razu po pierwszym zabójstwie policjanci zatrzymali dwóch pedofilów przebywających na warunkowym zwolnieniu, ale obaj mieli alibi potwierdzone przez kilka osób. Policja zapewniała, że nad sprawą obu zabójstw pracują najlepsi śledczy, jednak jak do tej pory nie miała żadnego śladu, który mógłby posłużyć jako trop. Zapytany o to rzecz-

42  
nik policji wyraził tylko nadzieję, iż przestępca prędzej czy później popełni błąd.

- Skoro specjaliści od takiej roboty niewiele wskórali, to jak mi mogłoby się udać namierzyć mordercę? - westchnął. Była tylko jedna szansa: zdobyć dodatkowe informacje, cokolwiek, co będzie punktem zaczepienia, początkiem nitki, za którą mogłoby pójść dalej. Ale to, co znalazł w prasie i Internecie, to było stanowczo za mało. Ostatnią nadzieją pozostawało jutrzejsze spotkanie z dziennikarzem. Może on wie coś więcej?

Dochodziła 23.00. Już miał zamknąć ostatnio przeglądaną stronę internetową, gdy na ekranie pojawiła się najświeższa informacja. Nie musiał czytać jej całej, wystarczyło spojrzeć na tytuł artykułu. Głęboko odetchnął, zagryzając przy tym usta.

Tytuł mówił sam za siebie: „Kolejne, trzecie już, porwane dziecko”.

Rozdział 5

Dzień 4 (sobota)

Kiedy na drugi dzień wstał z łóżka i włączył radio, pierwszą informacją, jaką usłyszał, była oczywiście ta o porwaniu. Doszło do niego dzień wcześniej, późnym popołudniem, około 17.30. Matka dziewczynki o imieniu Sandra przyjechała odebrać ją ze szkoły muzycznej przy ulicy Kazimierza Wielkiego (nawiasem mówiąc mieszczącej się przy tej samej ulicy co plebania). Ale że wszystkie miejsca postojowe przy szkole były zajęte, zaparkowała w sąsiedniej uliczce, sto metrów dalej. Gdy przyszła pod

szkołę - spóźniona o nie więcej niż 10 minut - córki nie było widać. Na początku pomyślała, że zajęcia się przedłużyły. Po kwadransie czekania weszła do środka, by to sprawdzić. Kiedy okazało się, iż tego dnia lekcje zakończyły się punktualnie, nie mogąc wciąż znaleźć dziecka, natychmiast zadzwoniła na policję. Ta potraktowała sprawę poważnie. Sprawdzenie, czy Sandra nie wsiadła do samochodu rodziców którejś z koleżanek lub kolegów, zajęło policjantom pół godziny. W tym czasie uliczki w pobliżu szkoły i sąsiadujący z nią park sprawdzało kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Bez rezultatu.

W tym momencie lektor przestał czytać wiadomości, połączył się telefonicznie z reporterem znajdującym się w komendzie miejskiej policji.

- Od porwania Sandry minęło ponad 12 godzin, jak do tej pory działania policja nie przyniosły żadnego efektu - reporter wstrzymał na sekundę głos. - Czy porywacze lub porywacz zgłosili swoje żądania? Pytam o to nadkomisarz 44

Weronikę Bielską, dowodzącą policyjną specgrupą wyznaczoną do schwytania seryjnego zabójcy. Mówię „seryjnego”, bo chyba wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. Adrianek, Rafałek, teraz Sandra. Czy mam rację, pani nadkomisarz?

- Jeśli chodzi o tych dwóch chłopców, to przyjmujemy wersję, iż padli ofiarą seryjnego zabójcy. Ale to tylko jeden z wariantów, nad którym pracujemy. Co do dziewczynki, nie wiem, jak powiedzieć, żeby nie zabrzmiało zbyt brutalnie - w głośniku radia słysząc było, jak Bielska bierze głęboki wdech. - Do jej rodziców nie zgłosił się nikt z żądaniem okupu, mimo iż jej rodzina, tak samo jak rodzina znalezionego wczoraj chłopczyka, jest zamożna. Minęło już, jak pan redaktor zaznaczył, ponad 12 godzin od jej zniknięcia i brak takiego żądania jest mocno niepokojący. Może to bowiem oznaczać, że Sandra nie została porwana dla pieniędzy. Jeśli tak jest, musimy się spodziewać najgorszego. Ale dopóki nie znajdziemy ciała, trzeba mieć nadzieję.

- To niezbyt wielkie pocieszenie dla jej rodziców.

- Chciałam podkreślić, że nad tą sprawą pracują nasi najlepsi ludzie. Każdy sygnał, a otrzymujemy ich od mieszkańców sporo, jest skrupulatnie sprawdzany. Niestety, jak do tej pory wszystkie okazały się fałszywe. To nam nieco utrudnia działania, bo odciąga funkcjonariuszy od innych zadań, ale, jak już powiedziałam, nie bagatelizujemy żadnej informacji. Kyć może w końcu któraś okaże się pomocna i naprowadzi nas na trop porywacza.

- Sandra to trzecia ofiara porwań, do jakich doszło w naszym mieście w ostatnich dniach, dwie z nich zostały brutalnie zamordowane. Całe miasto nie żyje niczym innym niż tą sprawą. Niektórzy rodzice w obawie o życie swoich pociech

zapowiadają, że dopóki policja nie złapie zabójcy, nie będą posyłać dzieci do szkoły. Miejmy nadzieję, iż nastąpi to, za-

45

nim dojdzie do kolejnego morderstwa. Dla Radia Moje Miasto FM mówił Marek Bagiński.

Ksiądz Sambor wyłączył odbiornik, sięgnął po aktówkę i wyszedł do szkoły.

Tego dnia prowadząc lekcje męczył się jak nigdy dotąd. Nie dość, że część uczniów nie przyszła, uznając widocznie, iż w sobotę uczyć się nie trzeba, to wśród tych, którzy jednak się pojawili, przeważająca większość chciała tylko odbębnić zajęcia. Jakby tego było mało, jakiekolwiek próby skupienia się na prowadzeniu tematu spelzały na niczym. Co chwilę wracał myślami do zamordowanych chłopców, porwanej dziewczynki i rozmowy z dziennikarzem. Choć sam się do tego przed sobą nie przyznawał, liczył, że zdobędzie na tyle istotne informacje, iż uda mu się dzięki nim ruszyć z miejsca. Bo do tej pory, trzeba to sobie było szczerze powiedzieć, nie miał żadnego punktu zaczepienia.

Spojrzał na zegarek, dochodziła 12.45. Do dzwonka brakowało jeszcze pięciu minut. Nie zważając na to, zakończył lekcję, pożegnał się z uczniami, zamknął klasę i poszedł do pokoju nauczycielskiego. Tak jak się spodziewał, nie zastał tam nikogo. Z szafy stojącej pod oknem wyciągnął czystą kartkę, napisał na niej, że nie może uczestniczyć w radzie pedagogicznej z powodu ważnej sprawy rodzinnej i przypiął ją na tablicy ogłoszeniowej.

Kwadrans później jadł już obiad na plebanii. Potem poszedł do swojego mieszkania, zdjął sutannę, założył sztruktosowy, nie rzucający się w oczy, garnitur. Do Czaru Namiętności dotarł dziesięć minut przed czasem. Zamówił kawę po grecku i szarlotkę.

Jarosław Nowicki spóźnił się pięć minut, przeprosił, po czym zamówił zieloną herbatę.

- Co chciałby ksiądz wiedzieć? - zaczął rozmowę. - Tylko

46

muszę księdza uprzedzić, że niektóre szczegóły mogą człowieka przyprawić o mdłości.

- Na przykład? - spytał wikary, nakładając na łyżeczkę kolejną porcję ciasta. Było pyszne.

- Na przykład szczegóły dotyczące obrażeń, jakie zadano tym dzieciom przed śmiercią - odparł dziennikarz spiętym głosem.

- Aha - zatrzymał łyżkę tuż przed ustami, by po chwili zastanowienia odłożyć ją z całą zawartością na talerzyk. Koniec delektowania się.

- Jeszcze ksiądz może się wycofać.

- To nie jest kwestia mojego chcenia.

- A tak, zapomniałem. Chce ksiądz pomóc swojemu koledze - Nowicki powiedział to takim tonem, iż z całą dozą



prawdopodobieństwa można było przyjąć, że ironizuje.

- Jesteśmy dorośli. Chyba nie będziemy się bawić w ciuciubabkę? - wikary spojrzał swojemu rozmówcy prosto w oczy.

- Obaj wiemy, że historyjka o moim koledze w pewnym sensie może mijać się z prawdą.

- W pewnym sensie? - tym razem ton głosu był ewidentnie ironiczny.

- Dobrze. To była bujda na resorach. Ale co miałem panu powiedzieć?

- Prawdę?

- Gdybym tylko mógł, to bym dokładnie tak postąpił.

- Ale ksiądz nie mógł...

- Jeszcze chwila i sarkazm w pańskim głosie mnie zabi-

je - zachnął się, udając oburzonego. - Powiem tak: gdybym mógł, powiedziałbym panu, dlaczego interesuje mnie ta sprawa. Ale z pewnych względów, których nie wolno mi zdradzić, nie mogę wyjawić prawdziwego powodu mojego zainteresowania - zbliżył się twarzą do swojego rozmówcy. Natomiast mogę pana zapewnić, że intencje mojego po-

47

stępowania są czyste, a moje działania mają tylko jeden cel: jak najszybsze złapanie mordercy tych dwóch chłopców, aby żadnemu dziecku więcej nic się nie stało.

- Akurat to się może księdzu nie udać - mruknął.

- Ma pan na myśli tę dziewczynkę?

- Tak - potwierdził cicho. - Z tego co wiem, policja poważnie bierze pod uwagę możliwość, że ona już nie żyje.

- Nie żyje?! Skąd pan to wie? - krzyknął zdziwiony tak głośno, iż para siedząca dwa stoliki dalej obejrzała się w ich stronę.

- Ciszej - syknął Nowicki.

- Przepraszam. Skąd pan wie, że ona też nie żyje?

- Nie powiedziałem, że ona nie żyje, tylko że policja liczy się z takim przebiegiem wydarzeń.

- Może jednak tym razem uda się coś zrobić, zanim...

- Zanim zostanie zamordowana? Osobiście w to wątpię

- Nowicki pokiwał głową ze zdenerwowaniem. - I tu nawet nie chodzi o zdolności operacyjne policji. Oni po prostu mają za mało czasu, żeby rozwikłać tę zagadkę. Nie mówiąc już o tym, iż nie licząc jednej jedynej rzeczy, nie mają żadnego punktu zaczepienia.

- Jakiej rzeczy? - spytał zaciekawiony.

- Policjanci sprawdzili nagranie z kamery zamieszczonej na szkole muzycznej, do której chodziła Sandra - Nowicki ściszył jeszcze bardziej głos, rozglądając się dookoła. - Na taśmie widać, jak dziewczynka wychodzi z budynku i czeka na chodniku. Dwie minuty po jej wyjściu, a pięć minut przed przyjazdem mamy, zaczyna z kimś rozmawiać. Po minucie rozmowy Sandra rusza w jego stronę i wychodzi z kadru.

Niestety, tego kogoś kamera nie zarejestrowała, najwyraźniej trzymał się poza zasięgiem obiektywu. Albo miał szczęście,

albo robił to świadomie.

- Przy tej drugiej opcji mamy do czynienia z zawodowcem.

48

- Albo przynajmniej z kimś, kto jest ostrożny. Bez względu na to policjanci stoją w martwym punkcie. Nagranie potwierdza tylko, że dziewczynka została porwana.

- Może ktoś z rodziny ją zabrał?

- Na wycieczkę? - dziennikarz się zaśmiał, ale był to śmiech nad wyraz sztuczny. - Jeszcze wczoraj policja sprawdziła wszystkich bliższych i dalszych krewnych, a także rodziny wszystkich koleżanek i kolegów ze szkoły podstawowej oraz muzycznej. Wszyscy są czyści.

- Skąd pan to wszystko wie? - wikary zmienił nagle temat.

- Mam swoje źródła - uśmiechnął się szeroko.

- A na temat porwań tych chłopców co może mi pan powiedzieć?

- Jest pewna rzecz...

-Tak?

- Informacja, której policja do publicznej wiadomości nie podała. Ale nie wiem, czy mogę ją księdzu ujawnić. Nie znam księdza.

- Nie zna mnie pan, to fakt. A moje solenne zapewnienie, że mam czyste intencje, to pewnie za mało.

- Niestety, tak. Ale mam pewien pomysł - powiedział, sięgając po komórkę. - Mam nadzieję, że ksiądz nie poczuje się urażony - wybrał numer i przystawił aparat do ucha. Cześć, kuzynka. Słuchaj, jestem na spotkaniu z księdzem Samborem. I widzisz, ksiądz potrzebuje pewnej informacji, którą ja akurat posiadam. Sęk w tym, iż nie wiem, czy jest on osobą, której można zaufać, że nikomu jej nie zdradzi. Tak, twoje zapewnienie mi wystarczy. To na razie, trzymaj się odłożył telefon na stolik.

- Nie obraziłem się - wikary się uśmiechnął.

- To dobrze. Ale sam ksiądz rozumie...

- Rozumiem. Doskonale rozumiem, że nie każdą informacją można się dzielić z kim popadnie.

49

- Dokładnie tak - Nowicki potwierdził skinieniem głowy. - Przy takich sprawach jak ta policja często zachowuje w tajemnicy pewne szczegóły. Robi tak po to, aby móc zweryfikować zeznania osób, które przyznają się do winy. Często się bowiem zdarza, iż po nagłośnieniu sprawy przez media zgłaszają się różne świry. Wystarczy wtedy zadać im jedno konkretne pytanie i od razu wiadomo, że taki psychiczny opowiada bajki.

- I tak jest w tym przypadku? Policja trzyma coś w tajemnicy?

- Tak - westchnął. - Przy każdym z tych dwóch chłopców znaleziono małą karteczkę z odręcznie napisanym imie-

niem. Choć może to też być pseudonim - wyjaśnił. - Za każdym razem tym samym.

- Jakim? - spytał, coraz bardziej podekscytowany.

- Tego nie udało mi się jeszcze ustalić.

- Pana źródła w policji nie pomogły? - zdziwił się, nie ukrywając zawodu.

- To jest trzymane w naprawdę wielkiej tajemnicy. Ale pracuję nad tym.

- Czy mogę liczyć na to, że gdy się pan tego dowie, da mi znać?

- Pod jednym warunkiem.

- Tak?

- Po wszystkim powie mi ksiądz, dlaczego zajmuje się tą sprawą.

- Tylko tyle?

- A ja to opiszę w gazecie, słowo w słowo. Bez podawania księdza imienia i nazwiska, chyba że ksiądz zechce ujawnić swoje dane.

- A jeśli wciąż nie będę mógł zdradzić pewnych szczegółów?

50

- To powie mi ksiądz to wszystko, co będzie ksiądz mógł powiedzieć. Umowa stoi? - Nowicki wyciągnął dłoń.

- Stoi - uściskał ją mocno.

- Co teraz będzie ksiądz robił? - dopił herbatę. - Mam na myśli sprawę seryjnego zabójcy.

- Co będę robił? - spytał, zastanawiając się, co odpowiedzieć. - Zaczęę działać. Najwyższa pora, żebym wreszcie zaczął działać.

Część druga

Pojedynek

Rozdział 6

Z Czarzu Namiętności ksiądz Sambor wrócił na plebanie, zjadł podwieczorek i uciął sobie drzemkę. Wstał o 17.15, włożył sutannę, poszedł do kościoła odprawić wieczorną mszę.

- Problem w tym, że najpierw muszę usiąść na chwilę w konfesjonale - westchnął. Pierwszy raz w życiu szedł spowiadać z takim oporem, wręcz strachem. Tyle już razy nasłuchał się okropnych rzeczy, opowieści bitych żon czy maltretowanych dzieci. Ale jak do tej pory zawsze udawało mu się od tego balastu duszy uwolnić na tyle, na ile było to możliwe. Teraz jednak było zupełnie inaczej. Szedł tam z ciężarem na ramieniu, który niemal przygniatał go do ziemi. Modląc się przy tym, aby dziś morderca dzieci się nie zjawił. - Panie, jeśli tylko możesz, oszczędź mi tego krzyża - powtarzał w duchu. Wszedł do konfesjonatu, nerwowo rozglądając się na boki. Usiadł, zamknął drzwiczki. Przez pierwsze piętnaście minut nikt się nie zjawił, ten czas wykorzystał na odmówienie godziny czytań z brewiarza. Już miał zaczynać nieszpory, gdy usłyszał, że ktoś wszedł do kościoła. Nastawił uszu, by lepiej

słyszeć. Odpowiedziała mu cisza. - Musiało mi się wydawać  
- uśmiechnął się niewyraźnie pod nosem.  
- Szczęść Boże - usłyszał nagle. Dwa słowa, na dźwięk których niemal zemdłał, rozpoznając natychmiast głos.  
- To ty - powiedział po chwili.  
- Nie odpowie ksiądz „Daj Boże“?  
- To ty - powtórzył jak echo.  
- Ja. Nie będę pytał, czy się ksiądz cieszy na mój widok, bo po reakcji widzę, że raczej nie.

54

- A czego się spodziewałeś? - spytał niepewnie.  
- Na pewno nie czerwonego dywanu - zachichotał. - Czego się spodziewałem? Może potraktowania mnie jak syna marnotrawnego, który po latach tułania się po świecie wraca do domu?  
- Syn marnotrawny zrozumiał swój błąd i wrócił, żeby go naprawić - syknął. - A może ty też przyszedłeś tu, żeby naprawić swój błąd? Może zamierzasz przyznać się do winy, wyrazić skruchę i oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości?  
- No, dobrze. Moje porównanie z sytuacją syna marnotrawnego nie było najszcześniejsze. Ale mimo tego mógłby ksiądz powstrzymać się od okazywania mi jawnej pogardy.  
- Nie okazuję ci pogardy.  
- To jak ksiądz nazwie sposób, w jaki się wobec mnie zachowuje?  
- Nijak - warknął. - Człowieku, zabiłeś dwoje dzieci! Dwójkę niewinnych istot, które każdy dorosły powinien bronić. A ty je zabiłeś. Zabiłeś! Czego ty ode mnie oczekujesz? Że przejdę nad tym do porządku dziennego?

- Spowiedź...

- Spowiedź to nie zabawa - przerwał mu gwałtownie.

! Fakt, że przyszedłeś do tego świętego miejsca, nie oznacza jeszcze, że wszystko ci wolno. Owszem, wiąże mnie tajemnica spowiedzi i nic z tego, co mi tu powiesz, nie mogę zdradzić. Ale to, że muszę trzymać buzię na kłódkę poza konfesjonalem, nie jest równoznaczne z koniecznością milczenia tutaj. Przyszedłeś się do mnie wyspowiadać, więc cię spowiadam. Skoro czynisz źle, to ci o tym mówię.

- Myli się ksiądz.

-Co?!

- Nie zabiłem dwoje dzieci, tylko troje.

55

Weronika Bielska weszła do swojego pokoju z kubkiem kawy w ręku. Wypiwszy łyk, skrzywiła się od razu. Napój był zimny. Odwróciła się na pięcie, jednym ruchem ręki otworzyła drzwi, niemal zderzając się z Albertem Jakubskim.

- Jakież postępy w śledztwie? - spytał zastępca komendanta, pakując się do środka.

- Na razie żadnych - odparła.

- To co wy tu, do ciężkiej niespodziewanej, robicie?! Tylko mi nie mów, że ostro pracujecie - spojrzał wymownie na kubek z kawą.

- Raczej się nie objamy - odcięła się. - To trudna sprawa.

- Gdyby nie była trudna, nie wyznaczono by do niej najlepszych policjantów. Podobno najlepszych - uśmiechnął się.

- I góra tak by się nią nie interesowała.

- A więc o to chodzi - pokiwała głową. - Nie mamy się czym pochwalić przed zwierzchnikami...

- Daruj sobie te swoje cięte uwagi, dobrze? Za młoda jesteś, żeby wiedzieć co nieco o kwestiach kadrowych. Macie się wziąć do roboty! - po tych słowach odwrócił się i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Bielska stała tak, wciąż z kubkiem w dłoni, gdy drzwi znów się otworzyły. Tym razem pojawił się w nich komisarz Patryk Zielnicki, jeden z grupy policjantów pracujących nad sprawą.

- Nie przejmuj się - wypalił bez wstępu. - Ten gryzipiórek będzie liżał tyłek każdemu, kto może popchnąć jego karierę choćby o mały kroczek. Akurat teraz podlizuje się komendantowi wojewódzkiemu.

- Chyba nie przyszedłeś tu tylko po to, żeby mi udzielić wsparcia moralnego? - rzuciła ironicznie, siadając na biurku.

- Skądże. Wpadłem na pewien pomysł.

56

-Wal.

- Niedawno czytałem w naszym branżowym piśmie o grupie stworzonej przy komendzie głównej, zajmującej się monitorowaniem przestępczości seksualnej w sieci, głównie stron z twardą pornografią, w tym dziecięcą - zawiesił głos, czekając na reakcję Bielskiej.

- Mów dalej.

- Obie nasze ofiary to dzieci. Gdyby więc przyjąć, że motyw działania sprawcy miał podłoże seksualne, to niewątpliwie mamy do czynienia z pedofilem.

- Błyskotliwy jesteś - wydeła usta. - To jest przecież główna z przyjętych przez nas wersji.

- Jeśli mi pozwolisz dokończyć, to zapewniam cię, że zmienisz zdanie co do mojej inteligencji - wydał usta niemal dokładnie w ten sam sposób, co ona.

- Słucham.

- Ta grupa wykorzystuje program komputerowy rejestrujący wejścia internautów na strony pedofilskie. Samo surfowanie po takich stronach nie jest karalne, ale już ściąganie z nich zdjęć z dziećmi, owszem. W razie sprawy sądowej wystarczy sprawdzić rejestr i już wiadomo, czy taki ptaszek był aktywnym pedofilem czy pasywnym. Jeśli nasz poszukiwany jest pedofilem, i nie ma tu znaczenia, jakiego rodzaju, to istnieje duża szansa, iż co jakiś czas odwiedza takie strony.

Możemy więc poprosić naszych kolegów z Warszawy, żeby przeszukali swoje bazy danych i poszukali takich typów w naszej okolicy. Weźmiemy ich na tapetę i znajdziemy naszego człowieka.

- Dzwon do nich natychmiast - poleciała.
- Tak jest! - odpowiedział, łapiąc za klamkę.
- Patryk.
- Tak? - zatrzymał się w pół kroku.
- Dobra robota.

57

- Sandra - powiedział cicho wikary.
  - Odrobił ksiądz zadanie domowe. Tak, Sandra.
  - Dlaczego to robisz?
  - Wybacz ksiądz, ale takie pytanie nie mieści się chyba w definicji spowiedzi.
  - Jesteś chory i powinieneś się leczyć. Znam dobrego lekarza. Mógłby ci pomóc.
  - Proszę księdza, darujmy sobie takie uwagi - zaśmiał się gardłowo. - Obaj wiemy, kim jestem i że nie przychodzę tutaj po to, aby wysłuchiwać księdza rad czy żeby oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości.
  - To dlaczego tu przychodzisz? - warknął. - Dlaczego mówisz mi o każdym kolejnym dziecku, które zabiłeś? Dlaczego?!
  - Wierzy ksiądz w Boga?
  - Co to za pytanie? - obruszył się wikary.
  - Proszę odpowiedzieć.
  - Przecież jestem księdzem.
  - Ja nie pytam, czy ksiądz jest księdzem, tylko czy wierzy ksiądz w Boga. To dwie różne sprawy.
  - Wierzę - rzucił. - Inaczej nie byłoby mnie w tym miejscu.
  - Jest ksiądz pewien?
  - Czy czego jestem pewien?
  - Jest ksiądz pewien, że wierzy w Boga? - wycedził. - Że nic, co by się stało, tej wiary nie zachwieje?
  - Jestem.
  - Absolutnie pewien?
  - Wierzę w Boga całym sobą, każdym kawałkiem swojego jestestwa - wypowiedział wolno i dobitnie, przybliżając twarz do kratki konfesjonału. - I nic, co by się stało, nie jest w stanie zachwiać moją wiarą w Niego, w jego miłość do każdego człowieka, nawet takiego zbrodniarza jak ty. Nic nie jest
- 58
- w stanie zachwiać mojej wiary w boską mądrość i miłosierdzie.
- Nic?
  - Nic! - burknął zdenerwowany.
  - Zobaczmy - zaśmiał się, a jego śmiech rozbrzmiewał echem w kościele jeszcze na długo po tym, gdy opuścił świątynię.

- Stu sześćdziesięciu ośmiu! - krzyknął komisarz Zielnicki, otwierając drzwi do pokoju Bielskiej.

- Rodzice nie nauczyli cię pukać? - spytała, mierząc go groźnie wzrokiem.

- Nauczyl. Ale stwierdziłem, że ten element mojej spuścizny rodowej pozostawiam przodkom - wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Warszawa ma w swoim rejestrze stu sześćdziesięciu ośmiu internautów z naszego rejonu, którzy w ostatnim półroczu weszli na jakąkolwiek stronę z pornografią dziecięcą.

- Więcej ich nie było? - spytała, krzywiąc się.

- Wyniki wyszukiwania dla ostatniego roku były ponad dwa razy większe. Pomyślałem, że zaczniemy od sprawdzania tych z półroczu, co i tak nie przyjdzie nam łatwo.

- Przecież to syzyfowa robota - Bielska sięgnęła po telefon. Panie komendancie, będę potrzebowała kilkunastu ludzi do sprawdzenia stu sześćdziesięciu ośmiu potencjalnych kandydatów. Tak, stu sześćdziesięciu ośmiu, panie komendancie, nie przesłyszał się pan - skrzywiła się ponownie. Oczekiwał pan wyników i to jak najszybszych. Na razie błądzimy po omacku, gorzej niż ślepy we mgle. Dlatego właśnie szukamy punktu zaczepienia. Jeden znaleźliśmy, teraz musimy ten trop sprawdzić. Sami nie damy rady. Tak, rozumiem. Nie, nie jestem rozczarowana. Mam tylko nadzieję, że pan

59

komendant też nie będzie rozczarowany... Czym? Postępem w śledztwie. A raczej jego brakiem - odłożyła słuchawkę z taką siłą, że mało brakowało, a roztrzaskałaby aparat.

- Ilu? - spytał krótko Zielnicki.

- Sześciu, w tym dwóch świeżych, dopiero co po szkółce

- odpowiedziała cicho. - Pokaż no tę listę.

I

Dzisiejsza msza nie różniła się od tej z dnia poprzedniego. Może tylko tym, iż ksiądz Sambor był jeszcze bardziej przybity, a co za tym idzie, roztargniony. Po spełnionej ofierze szybko wyszedł z zakrystii, z nikim nie zamieniwszy nawet słowa, wrócił do siebie, omijając jadalnię szerokim łukiem. Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z kimkolwiek, a jedzeniu kolacji, jak każdemu posiłkowi na plebanii, towarzyszyły długie dyskusje. Chociaż nie, nie można powiedzieć, że chciał być sam. Wręcz przeciwnie, jak ryba wody pragnął teraz bycia wśród ludzi. Tylko że za tą potrzebą szła inna: móc podzielić się z kimś tym ciężarem, który od kilku dni dźwigał na swoich barkach, a który zaczynał go coraz mocniej przygniatać. Gdyby tylko mógł opowiedzieć komuś o tym, co mu się przydarzyło... Ale przecież nie mógł. Sfrustrowany trzasnął drzwiami, aż zatrzeszczała futryna. Zdjął sutannę, rzucił ją niedbale na krzesło, włączył komputer. Gdy ekran zajaśniał, nacisnął skrót internetowej wyszu-

kiwarki, wpisał hasło „seryjny zabójca”. Wynik wyszukiwania: ponad tysiąc stron zawierało tę frazę. Wybrał pierwszą, jaka się pojawiła.

„Seryjny morderca - sformułowanie dotyczące zabójcy co najmniej trzech osób w krótkim okresie czasu”. - Trzy, pasuje - pomyślał kwaśno, czytając dalej. Ale na stronie nie było więcej pożytecznych informacji. Owszem, szeroko rozpisywano się, kto jest autorem określenia „seryjny zabójca”

60

potencjalnych protoplastów było dwóch. Było nawet coś na kształt portretu psychologicznego: przeciętny seryjny morderca był wychowywany przez tylko jednego z rodziców - z reguły matkę, a jeśli miał szczęście dorastać w pełnej rodzinie, to tylko z nazwy, bity i maltretowany, a niejednokrotnie także molestowany seksualnie.

Wikary zjechał kursorem w dół strony, czytając pobieżnie tekst. Zatrzymał się na widok punktu mówiącego o linii obrony przed sądem. „Z reguły seryjny morderca broni się własną niepoczytalnością, w co sąd zwykle nie daje wiary, aczkolwiek w oczach przysięgłych wzbudza to współczucie.” Kolejne strony albo zawierały podobne informacje, albo inne, ale niewiele wnoszące do sprawy. - Nie tędy droga - szepnął do siebie, patrząc na zegarek, który wskazywał 21.35.

Wstał z krzesła, zaczął dreptać po pokoju, przypominając sobie rozmowę z dziennikarzem, jedyne źródło informacji, które mógł wykorzystywać bez obawy, że naruszy tajemnicę spowiedzi.

- Mam! - krzyknął, sięgając po telefon.

- To lista alfabetyczna czy może są pogrupowani według jakiegoś klucza? - Bielska spojrzała na Zielnickiego z nadzieją w oczach.

- Na nasze szczęście wyniki są posegregowane - ziewnął, podając jej plik kartek. - Od największej liczby wejść do najmniejszej. Rekordzista ma pięć odwiedzin tygodniowo. Z tego, co mówili chłopcy z Warszawy, jak dojdzie do siedmiu, ośmiu, będzie miał duże szanse na przejście z pedofila pasywnego do aktywnego. Statystycznie rzecz biorąc, oczywiście.

- Oczywiście - wzięła listę, prześledziła ją szybko wzrokiem. - Jest kilkunastu liderów, reszta ma zaledwie parę wejść przez całe ostatnie pół roku. Sami mężczyźni.

61

- Niestety, zdecydowana większość z nich nie ma założonych kartotek, nigdy nie byli notowani za jakiegokolwiek przestępstwa. Tylko sześciu było karanych, z których jeden przebywa obecnie w szpitalu psychiatrycznym na terapii, dwóch podczas ostatniego porwania było w pracy.

- Już zdążyłeś sprawdzić? - spytała z podziwem.

- Karanych przerobiłem już wcześniej, zanim dostaliśmy listę. Jeden z pozostałej trójki wsiąkł jak kamfora, od trzech miesięcy nie zgłasza się do kuratora, najprawdopodobniej



wyjechał za granicę, na tych stronach nie logował się od znacznego okresu czasu. Dwóm ostatnim założyliśmy już ogony.

- No to zostaje nam do sprawdzenia tylko stu sześćdziesięciu dwóch.

- Bułka z masłem.

- Myślałby kto, że prawda - westchnęła. - Powiedz lepiej, kiedy dostaniemy te posiłki oddelegowane przez komendę?

- Jutro rano.

- W niedzielę? To pan komendant najwyraźniej się przejął, no proszę.

- Jakby się przejął, to by nam dał więcej ludzi z większym doświadczeniem w takiej robocie. A nie kilku krawężników.

- Nie narzekaj. Ciesz się, że w ogóle kogoś dostaliśmy - wstała, sięgnąwszy po kurtkę wiszącą na oparciu fotela. Do jutra.

- Do jutra.

§

- Pani Maria? Mam nadzieję, że nie dzwonię o zbyt późnej porze - ksiądz Sambor przerwał, czekając na odpowiedź.

- Nie, proszę księdza - odpowiedziała Piecuch.

- Mam do pani pewną sprawę... - zawahał się. - Ale chciałbym, żeby to zostało między nami. Oczywiście mam do pani pełne zaufanie i przepraszam, że w ogóle wspom-

62  
nam o tym, ale to naprawdę ważne, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

- Coś się stało, proszę księdza? - spytała zaniepokojona.

- Nie mogę pani wtajemniczyć w szczegóły, bardzo mi przykro.

- Rozumiem - po tonie jej głosu dało się wyczuć, że jest zawiedziona. - Ale proszę mi chociaż powiedzieć, czy to dotyczy księdza.

- Nie bezpośrednio.

- To dobrze, bo już się bałam, że coś się księdzu stało - stwierdziła już wyraźnie spokojniejsza. - W czym mogłabym pomóc?

- Czy ma pani kogoś znajomego w szkole muzycznej, tej, która leży przy tej samej ulicy co moja plebania?

- Na Kazimierza Wielkiego?

- Tak, dokładnie w tej.

- Tak się składa, że pracuje tam moja koleżanka ze szkoły średniej.

- Jest nauczycielką?

- Nie, sekretarką.

- To świetnie! - ucieszył się. - Bo widzi pani, droga pani Mario, potrzebuję kopię nagrania z kamery umieszczonej na ścianie tej szkoły, od strony ulicy. Z wczorajszego popołudnia, od godziny 15.00 do 18.00.

- Spróbuję to załatwić - powiedziała niepewnie. - Tylko

czy to nie jest aby czasem nielegalne?

- Kopiowanie nagrania? Nie sądzę. W końcu to nie jest żaden bank, jubiler ani coś takiego. Tylko proszę nie mówić koleżance, że to ja panią prosiłem o nagranie.

- Dobrze - westchnęła. - Może mi tylko ksiądz powiedzieć jeszcze jedną rzecz?

-Tak?

- Czy to ma coś wspólnego z porwaniem tej dziewczynki?

63

- Ma, ale...

- Ale szczegółów mi ksiądz nie może zdradzić - przerwała mu. - Rozumiem. Teraz ja księdza o coś poproszę i mam nadzieję, że ksiądz się nie obrazi z tego powodu.

- Słucham.

- Może mnie ksiądz zapewnić, że księdza działalność w tej sprawie, na czymkolwiek ona polega, jest zgodna z prawem?

- Daję pani słowo honoru i wcale nie czuję się urażony pytaniem - zapewnił. - Doskonale rozumiem pani wątpliwości. Szczerze mówiąc, w podobnej sytuacji sam bym je miał.

- Dobrze, proszę księdza. Zadzwońię do niej i zobaczę, co się da zrobić. Na kiedy ksiądz to potrzebuje?

- Najszybciej jak się da.

- Rozumiem, postaram się.

- Będę pani ogromnie wdzięczny. W takim razie czekam na telefon. Z Bogiem.

- Z Bogiem.

Rozdział 7

Dzień 5 (niedziela)

Tej nocy wikary znowu źle spał. Śniły mu się koszmary, w których występował w roli głównej. W jednym uciekał przed zgrają mężczyzn ubranych na czarno, z których każdy miał w rękach ni to włócznię, ni to toporek. Rzucali tym w niego, kilka razy trafiając w plecy. Kiedy największy z napastników zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki i zamachnął się ową bronią, ksiądz się obudził, zlany potem. Zerknął na zegarek, dochodziła 4.00. Wziął łyk wody ze stojącej na stoliku szklanki, zmienił górę od piżamy i położył się z powrotem spać.

Wstał o 6.20, w tę niedzielę jemu przypadała poranna msza o 7.00, szybko obmył się w łazience i poszedł do kościoła.

Tym razem do spowiedzi nikt nie czekał. Po mszy poszedł na śniadanie, które zjadł z innymi księżmi, niemal w ogóle nie biorąc udziału w toczącej się, niebywale zażartej dyskusji na temat nominacji nowego biskupa diecezjalnego. Zapytany o zdanie odburknął, że go nie ma, bo aktualnie całą jego uwagę absorbuje wyrzynająca się ósemka.

Kolejne godziny przed obiadem minęły jak z bicza strześlił. Koncelebrował jeszcze jedną mszę, a na dwóch kolejnych udzielał tylko komunii i pomagał zbierać na tacę. Po ostatniej mszy, w porze południowej, już miał iść na obiad, gdy do

zakrystii weszła Maria Piecuch. Natychmiast gdy ją zauważył, podszedł do niej.

- I jak? - spytał konfidencyjnym szeptem.

- Nie tutaj, proszę księdza - rozejrzała się nerwowo na boki, patrząc na krzątających się ministrantów. - Czuję się jak złodziejka.

- Zupełnie niepotrzebnie - zapewnił, ale sam też zlustrował otoczenie. - To może pójdziemy do kancelarii?

- Dobrze.

65

Wyszli z kościoła, przeszli szybko przez ulicę, nie odzywając się do siebie. Chwilę później byli w kancelarii.

- Mam nadzieję, że nie miała pani z mojego powodu żadnych nieprzyjemności - zaczął.

- Jak do tej pory, nie. I mam nadzieję, że tak zostanie - z torebki wyjęła płytę CD. - Koleżanka bardzo mocno naciskała, żeby jej powiedzieć, po co mi nagranie z tej kamery. Nie jest głupia i od razu zorientowała się, że to ma coś wspólnego z tym porwaniem.

- Wspominała pani o mnie?

- Ani słowem.

- To jak jej to pani wytłumaczyła?

- Powiedziałam, że poprosił mnie o przysługę znajomy prywatny detektyw, który pracuje dla rodziny jednego z tych zamordowanych chłopców.

- Świetnie!

- Nie powiedziałabym - spojrzała na niego przeciągłym wzrokiem. - Okłamałam ją i odczuwam z tego powodu wyrzuty sumienia. Będę musiała iść do spowiedzi.

- Z tym nie będzie problemu. Jeśli tylko pani chce, to zaraz mogę... - przerwał nagle, zdawszy sobie sprawę z niestosowności swojej uwagi. - Przepraszam, to głupi pomysł. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Może ksiądz i nie chciał, ale... Nieważne. Proszę to wziąć - podała mu płytę. - Mam nadzieję, że więcej nie będzie mnie ksiądz wciągał w takie rzeczy. To dla mnie bardzo stresujące.

- Najmocniej przepraszam, że panią w to wplątałem. Jestem pani ogromnie wdzięczny... Gdyby nie pani pomoc...

66

- Pójdę już, proszę księdza - westchnęła. - Do zobaczenia jutro w szkole. Przyjdzie ksiądz na lekcje?

- Oczywiście, dlaczegoż by nie? - odparł, zdziwiony pytaniem. - Jeszcze raz dziękuję.

- Z Bogiem.

- Z Bogiem - odpowiedział, odprowadzając historyczkę wzrokiem do drzwi.

Spojrzał na płytę niepozorną jak setki, tysiące takich samych tłoczonych codziennie w chińskich fabrykach. Zważył ją w dłoni, jakby próbując w ten sposób sprawdzić wagę zapisanych na niej danych. Zbliżył do ust, chuchnął, na

wierzchu pojawiła się mgielka. - Nie zawieźdź mnie - szepnął, potrząsając nią delikatnie.

Od chwili, w której skończył jeść obiad, wrócił do siebie odpalił komputer, wkładając płytę, minęły dokładnie trzy godziny. W tym czasie osiem razy zdażył obejrzeć dwudziestojednominutowe nagranie. Raz za razem przewijał moment, w którym dziewczynka wychodziła zza węgła budynku i drepiała w miejscu na chodniku. Próbował dostrzec gdzieś sylwetkę mężczyzny, ale nagranie - choć, o dziwo, było bardzo dobrej jakości - nie mogło przecież pokazać czegoś, co nigdy się nie nagrało. Przypomniał sobie rozmowę z dziennikarzem: porywacz najwyraźniej wiedział o kamerze i trzymał się poza zasięgiem jej obiektywu. - Mogę to sobie oglądać setki razy i tak nic tu nie zobaczę - walnął pięścią w biurko, na którym stał komputer. Uderzenie było na tyle silne, że znajdująca się w napędzie płyta przeskoczyła do tyłu o kilkanaście sekund, zatrzymując się na jednym z kadrów. Spojrzał na ekran monitora, zobaczywszy nieco zamazany obraz.

W tle, po lewej, widać było jadący ulicą, w stronę szkoły, samochód nauki jazdy. Przybliżył twarz do monitora, mru-

67  
ząc oczy. Na masce auta widniał trochę niewyraźny, ale jednak dający się odczytać napis „Egzamin”.

Uśmiechnął się pod nosem, zacierając ręce. - Wreszcie mam od czego zacząć - szepnął zadowolony.

Ogrodzenie Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego nie było z gatunku tych, które trzeba by taranować opancerzonym wozem. Wystarczyło kilka mocnych cięć zwykłymi nożycami, dostępnymi w każdym sklepie budowlanym. Wikary rozchylił siatkę, spojrział w kierunku drzwi wejściowych. Jeśli dobrze wyliczył, strażnik robiący obchód budynku i garaży, znajdzie się tutaj za dwanaście minut.

Pochylając się maksymalnie ku ziemi, dobiegł do najbliższej ściany. Przytulił się do niej zupełnie jakby była mięciutką i przyjemną w dotyku atlasową pościelą. Wyjrzał za róg, nikogo nie było. Ukucnął, wyciągając zza poły kurtki nożyce z o wiele dłuższymi ramionami niż te użyte do pokonania siatki. Przeciął nimi kłódkę spinającą dwa metalowe skrzydła zakrywające piwniczny zsyp na węgiel. Podniósł prawe, modląc się w duchu, aby zawiasy były naoliwione. Najwyraźniej były, bo nie usłyszał nawet szmeru. Skierował do środka snop światła kieszonkowej latarki, sprawdzając, jak bezpiecznie postawić nogę. Rozejrzał się jeszcze raz, wciąż nie widząc nikogo, wszedł do wewnątrz, delikatnie zamykając za sobą włącz.

Teraz powodzenie planu zależało wyłącznie od gorliwości oraz spostrzegawczości strażnika. Jeśli dostrzegłby brak kłódki, sprawa przyjęłaby nie najlepszy obrót.

Zabranie kluczy z dyżurki i znalezienie pokoju informatyka zajęło mu niespełna trzy minuty. Otwarcie pomieszczenia

i włączenie komputera kolejne dwie. Znacznie gorzej poszło  
68

z szukaniem plików wideo. Ponieważ z nagrania wykonane-  
go przez kamerę na szkole muzycznej nie sposób było odczy-  
tać numerów rejestracyjnych „elki”, musiał zgrać nagrania  
wykonane przez wszystkie samochody ośrodka z interesują-  
cego go dnia. WORD miał osiem aut, sprawdził to wcześniej  
w Internecie. Na szczęście każdy z pojazdów miał założony  
swoją własny katalog, w którym - błogosławieni informaty-  
cy mający taki porządek w swoich komputerach, pomyślał  
- wszystkie dni egzaminowania miały oddzielny folder.

- Szybciej, szybciej - poganiał komputer kopiujący zazna-  
czone pliki na pendrive. „To najszybszy przenośny napęd  
dostępny w tej chwili na rynku” - przypomniał sobie słowa  
sprzedawcy. W takim razie dlaczego to tak długo trwa? Spoj-  
rzał na ikonę, wskaźnik wskazywał 95 procent wykonanego  
kopiowania. Kilkadziesiąt sekund później operacja została  
zakończona. Wyciągnął urządzenie z portu USB, wyłączył  
komputer, zamknął drzwi na klucz. Już miał go odnieść do  
dyżurki, razem z pokaznym pękiem pozostałych, gdy uświa-  
domił sobie, iż naraziłby się w ten sposób na niepotrzebne  
ryzyko. Przecież prędzej czy później i tak ktoś zauważy prze-  
ciętą kłódkę. Szybkim krokiem dotarł do kotłowni, położył  
klucze na podłodze, podszedł do wjazdu.

Uśpiony dotychczasowym pomyślnym przebiegiem ak-  
cji, zapomniał o ostrożności. Podszedł do wjazdu, napierając  
prawą ręką na metalowe przesłó, tym razem jednak na lewe.  
Był już w połowie otwierania, gdy zawiasy przeraźliwie za-  
skrzypiały. Zamarł ze strachu, nasłuchując. - Strażnik musiał  
to słyszeć. Chować się czy uciekać? - ta myśl jak błyskawica  
przecięła umysł. Nagłym ruchem ręki otworzył wjazd i wygra-  
molił się na zewnątrz.

- Stój! Stój, bo strzelam! - padło nagle.

Spojrzał na prawo, skąd dobiegał głos. Strażnik znajdował  
się dwadzieścia metrów od niego, co gorsza, stał dokładnie na  
69

drodze do wyciętej dziury w ogrodzeniu. Nie namyślając się  
wiele, wikary rzucił się w stronę płotu po najkrótszej linii.

- Powiedziałem, stój! Stój, bo strzelam!

Kątem oka dostrzegł, jak strażnik zaczyna biec. Odrucho-  
wo przyśpieszył, trzema potężnymi susami dopadł ogrodze-  
nia, rzucając się na nie całym ciężarem ciała, odbiwszy się  
wcześniej nogami i wyciągnawszy ręce maksymalnie w górę.  
Złapał palcami siatkę, podciągnął się, przerzucając nogi na  
drugą stronę. W tym momencie, pod zbyt dużym obciąże-  
niem, palce ześlizgnęły się z siatki i z impetem zwałił się na  
ziemię, boleśnie uderzając plecami o twarde podłoże. Pod-  
niósł głowę, by zobaczyć biegnącego co sił strażnika. Po-  
derwał się na nogi i zaciskając zęby z bólu, ruszył w stronę

pobliskiego lasu, kątem oka widząc, jak ochroniarz sięga po telefon. Dobiegł do nowego parkingu przy cmentarzu, tam zdjął kurtkę, wrzucił ją do śmietnika. Wsiadł do zaparkowanego samochodu i wrócił na plebanie.

- Śpisz? - spytał komisarz Zielnicki, gdy tylko Weronika Bielska odebrała telefon.

- Cóż za błyskotliwe pytanie. W drugiej klasie szkoły podstawowej to może nawet dostałbyś za nie małego plusa. Trzy takie i piątka do dziennika jak nic - odpowiedziała, powstrzymując się, żeby nie parsknąć śmiechem. - Śpię. To moja podświadomość odebrała.

- Nabijaj się, nabijaj. Zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni.

- Czego dzwoniś po nocy?

- Było włamanie do Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego. Właśnie stąd dzwonię...

- Od kiedy ty się zajmujesz włamaniami? - przerwała mu, zniecierpliwiona.

70

- Od pół godziny.

- Do rzeczy - ponagliła.

- Ktoś się włamał do serwerowni - meldował z namaszczeniem. - Skopiował nagrania z kamer ze wszystkich aut egzaminacyjnych, jakie przedwczoraj jeździły po mieście.

- Dalej nie rozumiem, jaki ma to związek z naszą sprawą.

- Sprawdziłem trasy, którymi w piątek kursowały „elki”, jedna z nich o 17.32 była na ulicy Kazimierza Wielkiego, przejeżdżała dokładnie obok szkoły muzycznej.

- Widziałeś nagranie?

- Widziałem.

-I co?!

- Za kwadrans będę na komendzie - odparł tajemniczo.

Przyjedź, to sama zobaczysz.

Ksiądz Sambor wjechał autem do garażu, zamknął bramę i przemykając chyłkiem, poszedł do siebie na górę. Zdjął ubranie, wrzucił do kosza na brudne rzeczy, włączył komputer. Sprawdzenie nagrań zajęło mu ponad cztery godziny. To, którego szukał, znalazł na samym końcu. Interesujący go fragment nagrania trwał zaledwie sześć sekund. Tyle czasu zajęła jazda samochodu od skrzyżowania z ulicą Bankową do momentu, gdy porywacz znikł z kadru. Zatrzymał obraz, przewinął do tyłu, puścił jeszcze raz. W momencie, gdy mężczyzna podchodzący do dziewczynki był najbardziej widoczny, nacisnął pauzę. Przybliżył twarz do monitora.

- Tego bym się nie spodziewał - cmoknął.

Obok dziewczynki stała postać mężczyzny w mundurze policjanta. Spod charakterystycznej czapki wystawały włosy, specyficznie uczesane, z jednej strony głowy były niższe, z drugiej wyższe. Jakby ktoś obciął go od przysłowiowego

garnka i to jeszcze mocno przekrzywionego.

71

- Jakby go ktoś od garnka ostrzygł. O, popatrz tutaj - Zielnicki pacnął paluchem w ekran komputera.
- Weź tego nie dotykaj, człowieku - obruszył się technik, odtrącając dłoń komisarza. - Ten sprzęt kosztuje więcej niż zarabiasz w ciągu roku.
- Strzyżony od garnka czy nie, fryzurę ma charakterystyczną. O ile to nie jest peruka - wtrąciła Bielska.
- To nasz człowiek? - spytał technik. - Jest w mundurze.
- To, że jest w mundurze, jeszcze o niczym nie świadczy
- Bielska pokręciła głową. - Możesz powiększyć obraz tak, żeby było widać nazwisko na klapie?
- Że niby co? - technik spojrzał na nią zdziwiony. - Ten sprzęt jest bajecznie drogi, to fakt. I potrafi rzeczy niemożliwe, zgadza się. Ale bez przesady.
- Moglibyśmy rozesłać zdjęcie po wszystkich komisariatach - zaproponował Zielnicki.
- Nie - odparła stanowczo Bielska. - Ile osób o tym wie?
- zwróciła się z tym pytaniem do komisarza.
- Ty, ja, nasz mistrz od komputerów, ochroniarz z WORD-u, tamtejszy informatyk, no i dyrektor ośrodka oczywiście
- wyliczył Zielnicki.
- A szef zmiany wydziału dochodzeniowo-śledczego, który, jak znam życie, był tam na miejscu? - spytała.
- Spławiłem go - oznajmił komisarz pewnym siebie tonem.
- W takim razie o wszystkim wie pięć osób? - upewniła się. - Nie będziemy wysyłać zdjęcia tego gościa. Nigdzie. Na drugi dzień ta fotka znalazłaby się na pierwszych stronach gazet - stwierdziła nie bez racji.
- A rozgłos jest nam potrzebny jak świni siodło, co? - zauważył technik.

- Erudyta się znalazł - skontrowała Bielska. - To, że dyspo-

72

nujemy jego zdjęciem, musi zostać zachowane w absolutnej tajemnicy.

- Zadzwoń do dyrektora WORD-u. Powiem mu, że ma trzymać język za zębami, niech porozmawia też ze swoimi ludźmi: strażnikiem i komputerowcem - zaproponował Zielnicki.
- Świetnie - pochwaliła. - A ja w tym czasie sprawdzę, czy komuś ostatnio zginął policyjny mundur.
- Sprawdź też w teatrze - wtrącił technik.
- Gdzie? - spytali niemal jednocześnie Bielska i Zielnicki.
- W teatrze - powtórzył technik. - Oglądałem niedawno reportaż na kablówce o wypożyczalni strojów. Teatr w ten sposób dorabia trochę grosza. Podobno hitem ostatnich tygodni są mundury policyjne. Ludzie robią sobie wzajemnie dowcipy, że niby dzielnicowy przyszedł, bo impreza jest za głośna i takie tam.

- Zadzwoń jutro. A teraz koniec gadania. Wracaj do domu, wyśpij się - zwróciła się do komisarza. - Jutro widzimy się tu o szóstej.

- O szóstej? To za cztery godziny - zaprotestował.

- Czas nas goni. Powiedziałam: o szóstej, to o szóstej.

Rozdział 8

Dzień 6 (poniedziałek)

Wikary wpatrywał się wciąż w postać mężczyzny w policyjnym mundurze. Zerknął na zegarek, była 2.14. Wyłączył przeglądarkę filmów, wszedł na Internet. W wyszukiwarce wpisał hasło „pedofilia”. Stron było tyle, że nie wystarczyłoby mu życia, aby je wszystkie sprawdzić. Wybrał pierwszą, opisaną jako strona Centrum Walki z Seksualnym Wykorzystaniem Dzieci. Jego uwagę przykuła informacja o sposobie pedofilów na zdobywanie zaufania dzieci. Te generalnie były dwa: długotrwałe budowanie relacji z potencjalną ofiarą albo wykorzystywanie autorytetu osoby dorosłej. W tym drugim przypadku pedofile często podawali się za bliskich znajomych rodziców albo kogoś, kto cieszy się powszechnym zaufaniem. - Policjant! - przemknęło mu przez głowę. Niemal każdy rodzic do znudzenia powtarza swoim pociechom, że mają nie rozmawiać z obcymi, a w razie niebezpieczeństwa zwrócić się o pomoc do policjanta, strażaka, strażnika miejskiego, wojskowego, kogoś w mundurze. - To dlatego tak łatwo poszła mu z namówieniem tej dziewczynki, żeby z nim poszła - zaplątał palce obu dłoni i podparł nimi brodę.

Zamknął stronę i otworzył kolejną. Przez następną godzinę surfował po Internecie, szukając informacji o sposobach działania pedofilów. Cały czas nie mógł jednak znaleźć niczego, co dotyczyłoby ich psychiki. Nacisnął kursorem na nowy link. Gdy strona się otworzyła, aż zbladł z wrażenia. Poczul, jak żołądek podjeżdża mu do gardła, niemal z wymiotował. Domena o niewinnie brzmiącym adresie okazała się stroną pornograficzną. Na ekranie pojawiło się ogrom-

74  
ne zdjęcie. Kliknął myszką na krzyżyk, aby je zamknąć, ale to tylko pogorszyło sprawę. Ekran zalały dziesiątki zdjęć z udziałem dzieci, jedno otwierało się za drugim. Naciskał na chybił trafił klawisze na klawiaturze, bezskutecznie, kolejne zdjęcia zalewały pulpit. Wybrał kombinację control-alt-delete, ale i to nic nie dało. W końcu zdesperowany, wyłączył komputer, wyciągając wtyczkę z gniazdka.

Głęboko odetchnął. Zamknął oczy, ale w tym samym momencie wróciło jedno ze zdjęć. Natychmiast podniósł powieki, znów nabrał powietrza, wypuścił je z sykiem. Poszedł do łazienki, by wziąć zimny prysznic. Biorąc tusz poczul, jak bardzo bolą go plecy, urażone upadkiem podczas niedawnej ucieczki. Gdy wrócił do sypialni, dochodziła 4.00. Usiadł na tapczanie, po chwili włączył komputer. Zobaczywszy pusty pulpit ekranu odetchnął z ulgą, zdjęcia znikły.



- Porywacz, to wiadomo na pewno. Morderca, to też jest pewne. Możliwe, że jest pedofilem, to prawdopodobne, bo po cóż by porywał dzieci? - zaczął myśleć na głos. - Zabił już troje. Czy będą kolejne ofiary? I dlaczego za każdym razem przychodzi z tym do mnie, do spowiedzi? Jaki ma w tym cel? uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Same pytania, żadnych odpowiedzi - westchnął zrezygnowany.  
Chwilę później położył się spać.

- Jednak wstałeś? - Bielska pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Wstałem. Ale łatwo nie było - Zielnicki podał koleżance kubek z parującą kawą. - Za to z samego rana wpadłem na ciekawy trop.

- Ja też.

- Kto pierwszy?

- Mów.

75

- Dziś w nocy na jedną ze stron pedofilskich wszedł kolejny mieszkaniec naszego miasta.

- Stu sześćdziesięciu dwóch do sprawdzenia to dla ciebie za mało? - spytała zgorzkniale.

- Może lepiej najpierw spójrz, kim on jest - podał jej kartkę papieru.

- Nooo - pokiwała głową z uznaniem.

- Też tak pomyślałem. Zakładamy mu ogon?

- A ściągnął z tej strony jakieś zdjęcia na swój komputer?

- Nie wiem, sprawdzają to.

- Bez tego nikt nam nie podpisze papieru na obserwację - zamyśliła się. - W końcu to tylko wejście na stronę z dziecięcą pornografią. O ile słowo „tylko” można uznać za właściwe. No i jest kompletnie niepodobny do porywacza.

- Wiem. Ale ja coś czuję, że on może być w to zamieszany - mruknął. - Tylko mi nic nie mów na temat intuicji, błagam cię.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Akurat ja w coś takiego jak intuicja wierzę.

- Więc?

- Papieru na legalną obserwację na tym etapie nie dostaniemy. Ale przecież nikt nam nie zabroni trochę księdza poobserwować nieoficjalnie, prawda?

- Załatwię do tego człowieka - Zielnicki zatarł ręce z radości. - A ty co masz?

- Ten mundur na pewno nie wyjechał od nas, sprawdziłam. Zostaje teatr. Najpierw rozmawiałam z dyrektorem, a potem z panem z wypożyczalni strojów. Żaden nie był zachwycony telefonem o tak wczesnej porze. Ale to już ich zmartwienie - uśmiechnęła się szeroko. - Udało mi się dowiedzieć pewnej ciekawej rzeczy od tego drugiego. Faktycznie, ostatnimi

czasy policyjne mundury robią furorę, wypożycza je mnó-  
76

stwo ludzi. Jednego z nich nasz pan z wypożyczalni doskonale zapamiętał.

- Fryzura cięta od garnka?

- Tak - pstryknęła palcami.

-I powiedz jeszcze, że mamy jego dane? - spytał z nadzieją ; w głosie.

- Niestety, podał fałszywe.

- Nie musiał się wylegitymować dowodem?

- Musiał. Najwyraźniej też był fałszywy. Ale... - zawiesiła głos.

- Ale co? - ponaglił.

- Sprawdziłam to fałszywe nazwisko. Facet nie żyje od ośmiulat. Ale...

- Bawisz się ze mną. Nienawidzę tego - wycedził przez zęby.

- Najlepsze zawsze zostawiam na koniec - mrugnęła figlarnie okiem.

- No, to dawaj.

- Dwa miesiące temu tym samym dowodem wylegitymował się mężczyzna, który kupił fiata punto w Dąbrowie Górniczej. Ten, kto go sprzedawał, musi być praworządnym obywatelem, bo transakcję zgłosił do tamtejszego urzędu skarbowego. Urzędnicy wklepali dane w system i wyszło im, że auto kupił nieboszczyk. Zgłosili sprawę miejscowej policji, ta po tygodniu zawiesiła dochodzenie.

- To teraz odwiesi.

- Niech robi, co chce. Mnie interesuje tylko to, że mamy kolejny trop. I jeszcze jedno.

- Sypiesz niespodziankami. I to z samego rana.

- Z wyjaśnień sprzedawcy fiata wynika, że jego klient był łysiejący na czubku głowy i miał zakola.

- Czyli to peruka - skonstatował.

- Czyli tak - potwierdziła. - Bo jeszcze nie spotkałam kogoś, komu by w dwa miesiące tak urosły włosy.

77

- Wiesz co? To w takim razie sprawdzę zakłady perukarskie. Takich garnków na pewno dużo się nie sprzedaje. Gdy budzik zadzwonił, ksiądz Sambor w pierwszej chwili po przebudzeniu pomyślał, że jest sparaliżowany. Tak trudno przyszło mu dźwignąć się z łóżka. Kiedy wstał i wyprostował ręce, aby się przeciągnąć, poczuł przejmujący do szpiku kości ból w plecach, szczególnie dotkliwy tuż nad miejscem, gdzie tracą one swą szlachetną nazwę.

Doczłapał do łazienki, zaczął się golić, wspominając wydarzenia dnia poprzedniego. - Mam na koncie włamanie.

Namówiłem historyczkę do załatwienia kopii nagrania ze szkoły. Jeszcze trochę i stanę się kryminalistą - z tą myślą spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Potargana fryzura, worki pod oczami - skutek niewyspania ostatniej nocy, ale

i nerwowego snu poprzednich dni - a do tego przekrwio-  
ne gałki oczne. - Wyglądam jak sto nieszczęść - szepnęła.  
- Może trzeba sobie dać z tym spokój? Zająć się własnymi  
problemami, nie bawić się w prywatnego detektywa, nie  
szukać sprawiedliwości na własną rękę? A co z dziećmi?  
Co z potencjalnymi kolejnymi ofiarami tego zwyrodnialca?  
- westchnął głęboko. - Nie dam mu się! - walnął zaciśniętą  
pięścią w ścianę obok lustra, aż spadło na toaletkę i rozpry-  
sło się w drobny mak.

Zaczął sprzątać kawałki szkła, zastanawiając się jedno-  
cześnie nad dalszym działaniem. Tak, jedynym wyjściem,  
żeby złapać mordercę, zanim znów porwie jakieś dziecko,  
zabije je i przyjdzie się tym pochwalić do konfesjonału -  
a trzeba to przecież zrobić, zachowując tajemnicę spo-  
wiedzi - było przeprowadzenie własnego śledztwa, dzięki  
któremu uda się porywacza złapać. Pierwszy trop, któ-  
78

ry mógł go naprowadzić na ślad zabójcy, i to trop, który  
w żaden sposób nie pokrywał się z informacjami uzyska-  
nymi w konfesjonale, już miał. Teraz trzeba tylko było  
pójść jego śladem.

Wrzucił zebrane kawałki lustra do kosza na śmieci, nagle  
w jednym z większych dostrzegł swoje uśmiechnięte odbicie.  
Skoro trop już jest, trzeba zacząć polowanie - na tę myśl  
uśmiechnął się jeszcze bardziej.

Kiedy wszedł do pokoju nauczycielskiego, momentalnie  
ucichły rozmowy. Przez dłuższą chwilę wszyscy obecni  
patrzyli się na niego, jak gdyby zobaczyli go pierwszy raz  
w życiu.

- Dzisiaj wygląda ksiądz jeszcze gorzej niż w piątek -  
pierwsza odezwała się Stawska. - Jakby ktoś księdza przez  
wyżymaczkę przepuścił. Dwa dni wolnego, a ksiądz zamiast  
zregenerować siły, to chyba używał życia mocniej niż nieje-  
den nastolatek.

- Pani znowu zaczyna te swoje dokuczliwości - zaprote-  
stowała Piecuch. - Że też pani nie ma wstydu. Gołym okiem  
widać, że ksiądz nie czuje się najlepiej, ale to chyba jeszcze  
nie powód, żeby od razu z człowieka drwić?

- A kto tu z kogokolwiek drwi? - odcięła się Stawska.

Powiedziałam tylko, że ksiądz marnie wygląda. Zresztą  
wczoraj też za dobrze się nie prezentował. Widziałam na  
mszy o...

- A od kiedy to pani chodzi do kościoła? - przerwała jej  
Piecuch, zaciekawiona.

- Moje panie - wtrącił ksiądz Sambor. - Jak zwykle się  
kłócicie i to przy szacownym gronie pedagogicznym - ro-  
zejrzał się wokół, patrząc na pozostałych nauczycieli, którzy  
79

mimowolnie stali się świadkami słownego starcia. - Jestem  
ogromnie zaszczycony tak wielkim zainteresowaniem o stan

mojego zdrowia - zwrócił się do Stawskiej. - Żeby już uciąć wszelkie spekulacje: przez ostatnie dwa dni musiałem załatwić pewne sprawy osobiste, co niestety kosztowało mnie mnóstwo czasu i energii. Dlatego wyglądam jakby mnie ktoś przepuścił przez... Jak to było?

- Wyżymaczkę - dokończyła Stawska.

Rozległ się dzwonek, towarzystwo zaczęło zbierać się na lekcje. Wychodząc z pokoju nauczycielskiego wikary spojrzął przelotnie na Stawską i Piecuch. Dałby sobie uciąć głowę, że żadna z nich nawet przez chwilę nie uwierzyła w to, co przed chwilą powiedział.

Komisarz Zielnicki, sfrustrowany brakiem postępów w szukaniu właściciela peruki, wstał z krzesła, złapał kurtkę leżącą na biurku i wyszedł na zewnątrz budynku. Zawsze kiedy praca mu nie szła, robił krótką przerwę i szedł na spacer do pobliskiego lasu. Sposób był sprawdzony i charakteryzował się niemal stuprocentową skutecznością.

Nie inaczej było tym razem. Wpadłszy na pewien pomysł, rzucił się biegiem do komendy. Wparował przez drzwi wejściowe, susami po dwa stopnie wbiegł na piętro i chwilę później siedział już przy swoim biurku. Chwycił za telefon. Rozmawiał z kimś przez niemal dziesięć minut. Zanotował cyfry na kartce papieru i odłożył słuchawkę. Wpisał dane na klawiaturze i, zobaczywszy wynik, aż klasnął w ręce. Zadzwoił ponownie, tym razem pod inny numer. Znowu rozmawiał dziesięć minut, rozłączył się, po czym kolejny raz zaklaskał.

- Co, w końcu udało się ułożyć pasjansa? - usłyszał za swoim

plecami. Odwrócił się, a zobaczywszy Bielską, uśmiechał się od ucha do ucha.

- Wciąż wątpisz w moje umiejętności - powiedział, udając smutnego.

- Nie wątpię, wręcz przeciwnie: staram się ich nie przeceniać. Nie chciałabym, żebyś popadł w samouwielbienie. Dobra, koniec żartów, mów, co cię tak ucieszyło.

- Nasz włamywacz zrobił kopie nagrań z piątkowych egzaminów, prawda?

- To już wszyscy wiemy.

- Ale nie zajmowaliśmy się pewnym drobnym szczegółem: tym, na jaki nośnik je skopiował. Zadzwoiłem do informatyka z WORD-u, żeby to sprawdził. Okazało się, że facet użył pendrive'a. A to urządzenie zostawia ślad na komputerze, na którym jest używane. Mając numer użytego pendrive'a, można spróbować namierzyć osobę, która go kupiła.

- Z imienia i nazwiska?

- Jestem po rozmowie z działem sprzedaży. Pendrive, którego użyto wczoraj w WORD-zie, został sprzedany przez patronacki sklep internetowy. W takim przypad-

ku do wystawienia gwarancji trzeba podać swoje dane. Miejmy nadzieję, że nasz włamywacz zażyczył sobie tego papierka. Zaraz wysyłam oficjalne pismo z prośbą o udostępnienie nam wszystkich danych dotyczących nabywcy tego urządzenia.

- Bardzo dobrze - pochwaliła. - A jak tam nasz ksiądz?

- Na razie nic ciekawego. Rano poszedł do szkoły, pół godziny temu skończył lekcje i wrócił na plebanię. Jedyna rzecz odstająca od normalności to fakt, że opuścił radę pedagogiczną, która się właśnie odbywa. I to już podobno drugą w ciągu ostatnich kilku dni.

81

- Może jest zmęczony?

- Czym? - zdziwił się. - Odprawianiem mszy? A może wczoraj w nocy wykazywał jakąś nadmierną aktywność?

- Masz coś konkretnego na myśli?

- Nie, tak mi się tylko powiedziało.

- Jasne.

- No dobra - ściszył konfidencko głos. - Opis podany przez strażnika WORD-u pasuje jak ulał do księdza.

- Jak pewnie do połowy mężczyzn w tym mieście - zaśmiała się. - Ty mówisz poważnie? - spytała po chwili.

- Jak najbardziej.

Rozdział 9

Gdy tylko rada się skończyła, Piecuch natychmiast ruszyła do drzwi. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, zadzwonić do księdza i spytać, czy coś się stało. W drzwiach zderzyła się ze Stawską.

- Gdzie nasza pani historyczka tak się śpieszy? Na wieczorną mszę? - spytała Stawska ironicznie.

- Byłam na mszy porannej. Zresztą, to nie pani interes odcięła się.

Obie wyszły na korytarz, gdy Stawska złapała historyczkę delikatnie za rękę.

- Mam do pani sprawę - powiedziała cicho. - Ale to na osobności. Możemy pójść do mojej klasy?

Piecuch przytaknęła nerwowo. Obie szybkim krokiem przeszły do sali. Stawska otworzyła drzwi, weszły do środka.

- Zacznijmy od tego, że może przestałybyśmy sobie mówić „pani” - Stawska wyciągnęła dłoń. - Beatrycze.

- Maria - Piecuch była zaskoczona wylewnością koleżanki, ale odwzajemniła gest.

- Wiem, że pytanie, które za chwilę zadam, może cię zaskończyć. Długo nad tym ostatnio myślałam, brałam pod uwagę różne możliwości, ale ta jest najbardziej prawdopodobna delikatnie chwyciła Piecuch za dłoń i spojrzała jej w oczy.

Ty się w nim zakochałaś? Mówię o księdzu.

- Przestań! - wyszarpnęła rękę. - Jesteś wstrętna! Swoimi słówkami niszczysz każdego, kto ci wejdzie w drogę!

- Współczuję ci.

- Jesteś... - zatrzymała się w pół słowa. - Co powiedziałeś?

83

- Że ci współczuję - powtórzyła cicho. - A raczej powinnam powiedzieć, że ci zazdroszczę.

- Masz rację, zaszokowałaś mnie - Piecuch wzięła głęboki wdech, po czym wypuściła powietrze z głośnym sykiem.

- Ale nie tylko swoim pytaniem, każde kolejne twoje słowo szokuje mnie jeszcze bardziej. Niby czego mi zazdrościsz?

- To znaczy, że ty naprawdę jesteś w nim zakochana?

- Nie zmieniaj tematu. Zadałam ci pytanie - historyczka oblała się rumieńcem. - Dlaczego mi zazdrościsz?

- Bo przynajmniej masz kogoś, do kogo możesz wzdychać. O kimś myślisz wieczorami. A ja? - spytała głuchym tonem, patrząc w dal. - Ja jestem sama.

- To chyba nie jest najlepsze miejsce na taką rozmowę. Może pójdziemy do mnie? - zaproponowała Piecuch po chwili milczenia.

Stawska niemal niedostrzegalnie skinęła głową, w jej oczach skrzyły się łzy.

§

Komisarz Zielnicki wszedł do pokoju Bielskiej, otwierając drzwi tak gwałtownie, że ta aż podskoczyła na krześle.

- Wydaje mi się czy też jakiś czas temu zwracałam ci uwagę na wchodzenie do mojego gabinetu bez pukania? - rzekła, patrząc na niego groźnym wzrokiem.

- Zwracałaś. Ale ją zignorowałem - podszedł do biurka, kładąc na nim kartkę papieru. - To pismo od producenta pendrive'a. Przeczytaj.

Wzięła kartkę do ręki, zlustrowała ją wzrokiem i oddała Zielnickiemu.

- Nic nie powiesz? - zdziwił się.

- A co mam powiedzieć?

- Skomentuj jakoś fakt, iż ksiądz, który wczoraj wszedł na stronę z dziecięcą pornografią i ściągnął z niej mnóstwo zdjęć, chłopcy jeszcze liczą dokładnie ile, włamał się też do

84

WORD-u, skąd ukradł nagranie dokumentujące porwanie zamordowanej dziewczynki.

- On nie ukradł nagrania - powiedziała.

-Co?

- Nasza robota polega na ścisłym trzymaniu się faktów, tak?

- Tak, a co to ma do tego?

- Ksiądz, a raczej powinnam powiedzieć: użytkownik pendrive'a, który włamał się do komputera WORD-u, bo wciąż nie wiemy na pewno, czy to był ten ksiądz, ale przyjmijmy, że był. Więc on nie ukradł nagrania, tylko je skopiował. A to, moim skromnym zdaniem, zasadnicza różnica.

- Robię to nadzwyczaj niechętnie, ale tym razem muszę się z tobą zgodzić - skrzywił się. - Ale przyznasz, że mimo

wszystko jest w to zamieszany. Jego osoba pojawia się w naszym śledztwie zbyt wiele razy, żeby to był przypadek.

- Robię to nadzwyczaj niechętnie, ale muszę się z tobą zgodzić. To nie jest przypadek.

- To jak, może wreszcie założymy mu ten ogon? - Zielnicki spojrział na Bielską wzrokiem „a nie mówiłem?”.

- Jeszcze nie - Bielska odwróciła głowę w stronę okna.

Jeszcze trochę poczekamy. Wczoraj nasz człowiek go obserwował?

- Nasz człowiek pracował wczoraj od rana do wieczora, potem zwolniłem go do domu. Gdyby to była ciągła obserwacja, ktoś by go zastąpił. Ale że działamy po cichu, to...

- Rozumiem - potaknęła głową. - Gdybyśmy mu udowodnili włamanie do WORD-u i skopiowanie nagrania, mielibyśmy mocne podstawy do obserwacji. Jednak żeby to zrobić, trzeba by wpiery dostać do ręki tego pendrive'a...

- A tym samym byśmy go spłoszyli. I co najwyżej można by było oskarżyć go o włamanie - dokończył myśl. - Bo wciąż nie mamy żadnych dowodów, żeby go powiązać z porwaniami i morderstwami.

85

- Z żadnym z tych trzech. Na razie musimy się wstrzymać z działaniami oficjalnymi. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Oczywiście - kiwnął głową. - W takim razie będziemy go obserwować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dzisiaj ja wezmę drugą zmianę.

- Dlaczego tak nie lubisz księdza Sambora? Wciąż mu dokuczasz - spytała Piecuch. Razem ze Stawską siedziały w mieszkaniu historyczki, przy kawie i ciastkach.

- To osobista sprawa - wyszeptała Stawska.

- Tak samo jak twoja uwaga o mnie i o tym, co czuję do niego.

- Masz rację - uśmiechnęła się delikatnie. - Kiedyś jeden ksiądz mnie skrzywdził.

- Zgwałcił cię?! - krzyknęła, przytykając dłoń do ust.

Stawska pokręciła przecząco głową.

- Może źle się wyraziłam - stwierdziła Stawska. - Wykorzystał mnie, a raczej moją naiwną wiarę w krystaliczną uczciwość duchownych. To stare dzieje.

- Ale uraz pozostał - zauważyła.

- I to jaki - westchnęła. - Przez tamto wydarzenie nie potrafię budować relacji z mężczyznami. Tak to fachowo nazywa mój terapeuta. Żaden mój związek nie wytrzymał dłużej niż kilka miesięcy.

- Boisz się zaangażować?

- Nie potrafię - odparła. - Od dwóch lat chodzę na terapię, w pewnym momencie nastąpiła nawet znaczna poprawa, ale potem rozeszłam się z jednym takim facetem i nastąpił regres.

- Ale dlaczego akurat ksiądz Sambor? Dlaczego odreagowujesz na nim?

- Może dlatego, że tylko z nim mam taki bliski kontakt?

86

- odpowiedziała pytaniem na pytanie. - To jedyny kapłan uczący religii w naszej szkole - dodała wyjaśniająco.

- Wiem, że to co teraz powiem, zabrzmie pewnie jak wyświechtany banał - stwierdziła niepewnie Piecuch. - Nie wydaje ci się, że z księżmi jest tak samo jak z ludźmi każdej innej profesji? Są różni: jedni dobrzy, drudzy traktujący innych z góry. Weźmy choćby nasze szacowne grono pedagogiczne. Zobacz, jak niektórzy potrafią kolegom i koleżankom obrabiać tyłki za plecami.

- Co do tego, że w każdym zawodzie trafiają się różni ludzie, zgodzę się z tobą bezwarunkowo - skonstatowała. - Ale jednak ksiądz to ktoś z powołaniem, kto opuszczając seminarium powinien służyć innym ludziom. Służyć - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - A niektórzy z nich zachowują się tak, jakbyśmy to my mieli służyć im tylko dlatego, że są księżmi.

- Teraz przyszedł chyba właściwy moment, żebyś odpowiedziała sobie na pewne bardzo ważne pytanie - Piecuch spojrzała koleżance prosto w oczy.

- Jakie?

- Czy do tej grupy zaliczasz księdza Sambora?

Słyszając pukanie do drzwi, Bielska podniosła głowę znad notatek.

- Proszę - powiedziała. - No, tego to się po tobie nie spodziewałam - pokiwała z uznaniem na widok Zielnickiego.

- To, co przed chwilą zaobserwowałam, to element jego permanentnego procesu nauki. A tak na poważnie, to mam kolejny kawałek naszej układanki. Przed chwilą zadzwonił do mnie nasz pan od wypożyczania strojów z teatru.

- Ponieważ...?

- Odwiedził go pewien pan wypytyjący o strój policjanta.

87

W trakcie rozmowy, tak niby bez powodu, spytał o to, czy ktoś ostatnio taki uniform wypożyczał.

- Podał rysopis gościa?

- Nie musiał. Facet nie miał koloratki, ale staruszek poznał go i bez tego. To nasz ksiądz. Zresztą ogon też potwierdza, że obiekt odwiedził teatr.

- Zaczyna się robić coraz ciekawiej - Bielska potarła palcami skroń. - A co tam w sprawie naszego porywacza z garnka ciętego?

- W okolicy działają tylko dwie firmy produkujące peruki. Z żadnej z nich ta interesująca nas nie wyjechała.

- A jego facjata?

- Zdjęcie nie jest na tyle dobre, żeby je można wrzucić do



systemu.

- A na piechotę próbowałaś?

- Sprawdziliśmy wszystkich seksualnych z całego województwa. Nic - rozłożył ręce. - Jeśli nie zrobił sobie operacji plastycznej, to w kartotece go nie mamy. Na razie stoimy w miejscu.

- W takim razie musimy się ostrzej wziąć za księdza - zdecydowała.

- Nie, mówiłam o kilku innych księżach, których miałam okazję spotkać w życiu - Stawska zamyśliła się na moment. - Wiem, co powiesz: nie można wszystkich wrzucać do jednego worka.

- Coś w tym stylu - uśmiechnęła się Piecuch.

- To ja powtórzę to, co powiedziałam przed chwilą. Wobec księży nie można stosować normalnej miary. Nie to, żebym I wymagała od nich nie wiadomo czego. Każdy jest tylko człowiekiem i ma prawo mieć gorszy dzień. Ale mi chodzi o coś bardziej złożonego.

- Niektórzy z nich się wywyższają. To masz na myśli?

- Trudno mi to wytłumaczyć. Wiesz, kiedyś, gdy chodziłam jeszcze do kościoła, czasami słuchałam kazań niektórych księży i nie wierzyłam własnym uszom. Wypominali wiernym grzechy, które sami na co dzień popełniali.

- Sama powiedziałaś, że nikt nie jest idealny. Każdy ma prawo do błędu.

- Ale jak długo można z ust księdza słuchać nawoływania do, dajmy na to, szanowania drugiego człowieka i niewykorzystywania ludzi, podczas gdy on sam notorycznie poniża innych i ich wykorzystuje?

- Mówisz o tym, który wykorzystał cię?

- Tak - zwiesiła głowę.

- Pewnie się zdziwisz tym, co powiem. Mną targają podobne wątpliwości.

- Naprawdę? - Stawska podniosła wzrok.

- Do dziś nie mogę zapomnieć pewnej oazy, na której byłam jako osiemnastolatka. Miałam się po niej stać animatorką ruchu oazowego, prowadzić grupę młodszej młodzieży, być ich przewodniczką i pomagać w formacji duchowej. Niestety, ksiądz, który prowadził oazę, miał do nas, oazowiczów, specyficzne podejście.

- Mianowicie? - spytała zaciekawiona.

- Część ludzi już pierwszego dnia, nie wiedząc czemu, spisał na straty i przez całe dwa tygodnie, zamiast im pomagać, gnębił psychicznie - pokiwała z niedowierzaniem głową. Już na pierwszy rzut oka było widać, iż nawet po latach wspomnianie tamtych wydarzeń rodzi ból. - Nawet podczas dnia pojednania, kiedy każdy z każdym przeprosza się za to, co zrobił mu złego, zignorował nas. Wyobrażasz sobie? Kapłan, chrystusowy namiestnik... Jakbyśmy dla niego byli nikim. Do dziś zastanawiam się, dlaczego to zrobił. Wiem za to, iż w tamtym

momencie, podczas tej mszy pojednania, w moim sercu coś pękło. Od tego czasu patrzę na kapłanów nieco innym, bar-

89

ziej surowym wzrokiem. I choć wcześniej, a także później, spotkałam w swoim życiu wielu dobrych księży, takich z prawdziwego powołania, służących wiernym z oddaniem, to w mojej głowie cały czas siedzi tamten ksiądz. Ksiądz, który mnie spisał na straty - wyszeptała Piecuch ze łzami w oczach.

- Podziwiam cię. Kiedy mówiłaś o tej oazie, w twoich oczach było widać autentyczny ból. A przecież od tamtej pory minęły już lata - podała koleżance chusteczkę. - Mimo to nie straciłaś wiary w księży...

- Staram się, choć czasami nie jest łatwo - wzięła chusteczkę, wytarła nią policzki i kąciki oczu. - Szczególnie tym, którzy są blisko nich, że się tak wyrażę: którzy uczestniczą w życiu parafii od kuchni.

- Dziękuję za rozmowę, będę się powoli zbierać, bo robi się późno - Stawska wstała, zaczęła zakładać płaszcz. - Nie odpowiedziałas mi na pytanie, które nas tutaj przyprowadziło

- uśmiechnęła się, zawiązując szalik.

- To nie jest zakochanie. Zauroczenie może tak, ale nie zakochanie.

- On wie?

- Nie mam pojęcia, ale sądzę, że raczej nie. Do głowy by mu nie przyszło, że taka szara myszka jak ja... No, wiesz.

- To akurat charakteryzuje mężczyzn ogólnie, nie tylko księży - zaśmiała się. - Dlaczego mu nie powiedziałaś?

- Chyba żartujesz? Przecież on jest księdzem, ślubował wierność Bogu! Nie mam prawa narażać go na jakiegokolwiek pokusy. Nie mówiąc już o tym, że on pewnie we mnie nawet nie dostrzega kobiety.

- Nie obraż się, ale - zawiesiła na chwilę głos - to tyłkoi i wyłącznie twoja wina. Ubierasz się w same szare rzeczy, o kilka rozmiarów za duże i w dodatku niektóre wytarte do granic możliwości. I nigdy nie widziałam, żebyś była umalowana.

90

- Widocznie nie potrafię o siebie zadbać...

- A może nie chcesz?

- Czy to robi jakąś różnicę?

- Kolosalną - rzekła stanowczo. - Żeby coś w sobie zmienić, trzeba najpierw tego chcieć.

- A ty chcesz inaczej spojrzeć na mężczyzn, na księży?

- skontrowała.

- Ostro zagrywasz - uśmiechnęła się smutno. - Ale chyba masz rację. W takim razie zróbmy tak: obie prześpimy się z tym, o czym tu dzisiaj rozmawialiśmy i za kilka dni jeszcze raz to przegadamy. Dobrze?

- Dobrze.

Dochodziła 20.00, gdy ksiądz Sambor zasiadł do kompu-

tera, aby jeszcze raz sprawdzić artykuły dotyczące porwań i morderstw, najciekawsze drukował. Po sześciu godzinach na podłodze wałały się dziesiątki zadrukowanych kartek, niestety, efektu w postaci dodatkowych, przynoszących jakikolwiek pożytek informacji nie było.

Wyłączył komputer, wstał od stołu, pocierając dłońmi zmęczone oczy i twarz. Wziął prysznic, położył się do łóżka, mając nadzieję, że tym razem sen będzie spokojniejszy. Był już wykończony nieustannym napięciem psychicznym, do tego dochodziło fizyczne wyczerpanie, spał krócej, a i sen był coraz gorszej jakości. Rano, zamiast wstawać rześki i wypoczęty, czuł się jeszcze bardziej zmęczony niż kładąc się spać. To był niespełna tydzień - uświadomił sobie - a czuł się, jakby przez ten czas przybyło mu co najmniej kilka lat. No i jeszcze te plecy, doskwierające po upadku. Smarował je żelem przeciwbólowym, ale nadal bolały przy każdym dotyku i zmianie ułożenia ciała.

91

Rozdział 10

Dzień 7 (wtorek)

Gdy rano wstał, ledwie usłyszawszy budzik, włączył od razu radio, nasłuchując informacji o postępach policyjnego śledztwa. Ekspert od psychologii zapewniał, że skoro mordercę od ostatniego zabójstwa dzielił dłuższy czas niż od tego popełnionego wcześniej, to istnieje duża nadzieja, iż zrobił sobie przerwę. Na tę uwagę wikary aż się skrzywił. - Przerwę to sobie można zrobić śniadaniową - syknął przez zęby w stronę odbiornika.

Po mszy - tym razem spowiedź w konfesjonale poszła szybko i bezboleśnie, ani śladu porywacza - poszedł do szkoły. Kiedy tylko przekroczył próg drzwi wejściowych, zdał sobie sprawę z panującej wewnątrz ciszy. Dochodziła ósma i o tej porze korytarze wrzały hałasem szykujących się do lekcji uczniów i uczennic. Nie tym razem.

Obawiając się najgorszego, wszedł do pokoju nauczycielskiego. W środku było cicho jak makiem zasiał, tyle że była to cisza z gatunku tych najbardziej ciężkich.

- Co się stało? - szepnął w stronę historyczki, patrząc na jej policzki, po których spływały łzy wielkie jak groch.

Piecuch spojrzała na niego niewidzącymi oczami, nic nie mówiąc.

- Porwano kolejne dziecko - rzekła cicho Stawska. - Pięcioletnią córkę naszego anglisty.

- Kiedy? - spytał.

- Dziś rano - odpowiedziała Piecuch.

- Dzisiaj? - zdziwił się. - Przecież mamy dopiero ósmą godzinę? Jak to się mogło stać?

92

- O szóstej jak zwykle odwiózł żonę do pracy, a małą do przedszkola. Godzinę później ktoś ją porwał... - Piecuch

załkała.

- Z przedszkola? - pytał dalej.

- W budynku gospodarczym wybuchł pożar, niemal wszyscy pracownicy pobiegli gasić ogień, z dziećmi zostały tylko dwie przedszkolanki - tłumaczyła Stawska. - Policjanci stwierdzili, iż musiał wykorzystać właśnie ten moment.

- A pożar oczywiście nie był przypadkowy - zauważył.

- Bynajmniej - stwierdziła krótko Stawska.

- Co z anglistą? - dopytywał.

- Gdy się dowiedział, najpierw wpadł w szal, chwilę później doznał szoku. Przed chwilą zawieźli go do szpitala - odpowiedziała Stawska cichym głosem.

- Boże święty - szepnęła Piecuch. - Kiedy to się skończy?

- To już czwarte dziecko - Stawska pociągnęła nosem, wzdychając. - Może mi ksiądz powiedzieć, dlaczego Bóg pozwala na takie rzeczy?

- Nie wiem - zamyślił się. - Może zabrzmiało to jak wyświechtany frazes, ale niezbadane są wyroki boskie.

- Miłosierny Bóg pozwolił, żeby kolejnemu niewinnemu dziecku stała się krzywda - Stawska była coraz bardziej zdenerwowana.

- Miejmy nadzieję, że policja złapie go, zanim... - mówił dalej.

- Zanim co? - Stawska mu przerwała. - Zanim zaszlachtuje ją tak samo jak trójkę pozostałych maluchów?! - zaczęła krzyczeć. - Może mi ksiądz z łaski swojej powiedzieć, dlaczego Bóg pozwala na coś takiego?!

- Przestań - Piecuch położyła jej dłoń na ramieniu. - Przecież ksiądz nie jest niczemu winny.

- Przepraszam - powiedziała cicho Stawska.

- Rozumiem - próbował się uśmiechnąć, ale była to próba

93

nieudana. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, to dla nas...

- przerwał na widok wchodzącego do pokoju dyrektora.

- Proszę o uwagę - zaczął dyrektor. - O porwaniu córki naszego anglisty państwo już wiecie. Ale to nie koniec złych wiadomości. Godzinę temu zaginął kolejny chłopiec. Ci z was, którzy mają dzieci w szkołach podstawowych i przedszkolach, mogą teraz pojechać je odebrać. Waszymi klasami zajmą się w tym czasie koleżanki i koledzy.

Lekcje tego dnia były smutne jak nigdy wcześniej. Nikt się nie śmiał, nikt nie dowcipkował. Wieść o kolejnych porwanach rozeszła się szybko, skutecznie zniechęcając do jakiegokolwiek zabawy. W przerwie między drugą a trzecią lekcją ksiądz Sambor zadzwonił do dziennikarza, ten jednak nie odbierał telefonu. Wysłał mu SMS-a z prośbą o szybki kontakt. Na czwartej lekcji dostał odpowiedź: „Jestem na konferencji prasowej w sprawie tych dwóch porwań, odezwę się, jak tylko się skończy”. Kwadrans później telefon zadzwonił.

- Możemy się dziś spotkać? - zaczął wikary bez zbędnego wstępu.
- Teraz muszę wracać do redakcji - oznajmił Nowicki.
- Może być 17.00?
- Może być. Tam gdzie wtedy?
- Tak jest - potwierdził.

Po lekcjach wikary wrócił na plebanię, włączył telewizor, by posłuchać wiadomości. O porwaniach mówiły wszystkie największe stacje telewizyjne, przerwały nawet ramówkę, aby nadawać relacje bezpośrednio sprzed budynku komendy! miejskiej policji. Reporterzy co chwilę łączyli się ze studiem, aby podawać nowe fakty.

94

Pięcioletnia córka anglisty miała na imię Martynka. Już po godzinie od porwania było wiadomo, że dokonał go najprawdopodobniej ten sam człowiek, który wcześniej uprowadził Sandrę. Policję na trop naprowadził mieszkaniec kamienicy sąsiadującej z przedszkolem, który widział wsiadającego do samochodu mężczyznę z dzieckiem. Funkcjonariusze nie zdradzali, jakich jeszcze informacji udzielił świadek, ograniczyli się do lakonicznego komunikatu, iż ta wiadomość pozwala powiązać to porwanie z poprzednimi. Jednak w obliczu drugiego porwania dokonanego tego dnia skrywana skrzętnie tajemnica, że za wszystkim stoi człowiek w mundurze, ujrzała światło dzienne.

Drugim porwanym dnia był bowiem siedmioletni Aleks, którego mama w drodze do pracy wysadziła z samochodu tuż przy szkole. Już miała dać mu na pożegnanie buziaka, kiedy jak spod ziemi zjawił się policjant. Spytał, czy wszystko jest w porządku, a gdy usłyszał, że mama chłopca spieszy się do biura, zaproponował odprowadzenie malca do szkoły. Kobieta zgodziła się i wsiadła do auta. Ruszając widziała jeszcze, jak Aleks trzymany za dłoń przez funkcjonariusza macha jej na pożegnanie drugą ręką. Chłopiec do szkoły nie dotarł. Ksiądz Sambor wyłączył telewizor, przebrał się w cywilne ubranie i wyszedł na umówione spotkanie.

Gdy dotarł do Czarar Namiętności, pięć minut przed czasem, Jarosław Nowicki już na niego czekał, sącząc ze szklanki napój pomarańczowy.

- Mam dla księdza dwie informacje - zaczął dziennikarz.
- Pewnie jedną dobrą i drugą złą?
- Właśnie nie - uśmiechnął się nieznacznie. - Obie są dobre.
- Słucham.

95

- Wpierw przypomnę o naszej umowie: ja dostarczam pewnych informacji, za co ksiądz daje mi wyłączność na opowieść o swojej roli w tej sprawie.

- Jest tak, jak się umówiliśmy, tu się nic nie zmieniło, może być pan spokojny - zapewnił.

- W takim razie do rzeczy - otworzył notes. - Udało mi się ustalić pseudonim, który morderca zostawiał na karteczkach znalezionych przy ciałach pierwszych ofiar.

- Tak? - spytał zaciekawiony.

- Otto.

- Tylko tyle? - w jego głosie dało się wyczuć nutę zawodu.

- Otto? Nic więcej?

- Jak na pseudonim to chyba wystarczające, nie uważa ksiądz? - Nowicki zmarszczył brwi. - Raczej trudno spodziewać się, aby morderca zostawił przy ciele ofiary kartkę ze swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem oraz dokładnym adresem.

- Racja. Niepotrzebnie się uniosłem - podniósł do góry otwarte dłonie w geście przeprosin. - A ta druga informacja?

W tym momencie zadzwoniła komórka dziennikarza, odebrał połączenie, przez chwilę słuchał uważnie, po czym odłożył aparat.

- Zanim ją księdzu podam będę niestety musiał zrewidować swoją zapowiedź. Mam dla księdza trzy informacje: dwie dobre i jedną złą. Pierwszą już podałem, druga jest taka, że podobno policja jest już na tropie porywacza. Jak donosi moje źródło, znają nawet jego personalia.

- Ale jakoś kiepsko im idzie z jego zatrzymaniem - skrzywił się. - Gdyby faktycznie deptali mu po piętach, dzisiejszego ranka nie porwałby dwóch kolejnych dzieci.

- To samo powiedziałem mojemu informatorowi - przyznał. - Stwierdził tylko, że prawdziwa policyjna robota mało ma wspólnego z tym, co możemy podziwiać w filmach. I że dochodzenie musi potrwać.

- Niech to powie rodzicom tych maluchów - westchnął.

- Mniejsza z tym, proszę księdza - Nowicki zerknął na zegarek. - Muszę się zbierać, mam do napisania artykuł do jutrzejszej gazety.

- Myślałem, że jest pan już po pracy? - zdziwił się wikary.

- Porwania były rano, byłem przekonany, że tekst oddał pan do druku już dawno temu.

- Artykuł o porwaniach Martynki i Aleksa, owszem, skończyłem pisać dwie godziny temu. A teraz muszę się zająć kolejnym porwaniem, o którym dowiedziałem się przed chwilą.

- To jest ta zła informacja?!

- Tak - przytaknął. - Ośmioletnia Nikola znikła z placu zabaw na osiedlu Karkonoskim. Tradycyjnie nikt nic nie widział - wstał od stołu, położył na talerzyk dziesięciozłotowy banknot i podał wikaremu rękę. - Gdyby ksiądz potrzebował jeszcze jakichś informacji, proszę dzwonić. Do widzenia.

- Do widzenia - wikary odwzajemnił gest, patrząc tępo w rozmówcę, nie mogąc się otrząsnąć po usłyszanej przed

chwilą złej nowinie.

Po powrocie do mieszkania ksiądz Sambor wziął prysznic i, nie jedząc kolacji, zasiadł do komputera. Jeśli mógł mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do swojego udziału w poszukiwaniach mordercy, to po rozmowie z dziennikarzem utwierdził się w przekonaniu, że postępuje dobrze. Troje dzieci życie już straciło, życie kolejnej trójki było poważnie zagrożone, nie mówiąc o tych wszystkich maluchach, które mogły jeszcze wpaść w ręce szaleńca. Bo o tym, że człowiek o zdrowych zmysłach nie byłby w stanie posunąć się do tak okrutnych zbrodni, był całkowicie przekonany.

97

Włączył radio, licząc, iż dowie się czegoś więcej o kolejnych porwaniach. Słuchając serwisu, wszedł na Internet. Wpisał do wyszukiwarki słowo „Otto”. Nie zdążył zobaczyć wyniku wyszukiwania żadanego hasła, jego uwagę przykuła bowiem podana w radiu wiadomość o znalezieniu ciała siedmioletniej Sandry, trzeciej ofiary seryjnego mordercy. Natrafiono na nie w ruinach niedokończonej palmiarni na Wzgórzach Chrobrego. Na ciało natknął się mieszkaniec jednego z pobliskich bloków, wybrawszy się na popołudniowy spacer z psem. I to właśnie czworonóg znalazł Sandrę. Rzecznik policji kolejny raz ograniczył się do podania lakonicznego komunikatu, z którego wynikało, że ciało dziecka było potwornie zmasakrowane. Żadnych szczegółów.

Wyłączył radio, nie chcąc więcej słuchać przygnębiających informacji. Westchnął głęboko, zdając sobie sprawę, iż każda kolejna godzina działa na niekorzyść porwanych dzieci. Zasiadł na powrót do komputera i aż zaklął pod nosem.

W Internecie znajdowało się ni mniej, ni więcej, jak 74 miliony 300 tysięcy stron zawierających słowo „Otto”. Szybko obliczył, że gdyby na sprawdzenie każdej z nich przeznaczyć tylko pięć sekund, przejrzenie wszystkich zajęłoby prawie dwanaście lat.

Schował głowę w dłoniach, zastanawiając się, co robić dalej. Wybrał pierwszą stronę, potem drugą, trzecią... Przez następne sześć godzin udało mu się pobieżnie sprawdzić niecałe 3.500 stron. Na żadnej z nich nie znalazł niczego, co mogłoby go naprowadzić na trop porywacza. O ile nie przegapił jakiejś istotnej informacji, trudno bowiem mówić o porządnej weryfikacji, jeśli na sprawdzenie jednej strony przeznaczal zaledwie kilkanaście sekund.

Rozdział 11

Dzień 8 (środa)

Dochodziła 2.00. Zaparzył mocną herbatę, wypił ją i zasiadł ponownie przed monitorem. - Samo słowo „Otto” to za mało, muszę mieć jeszcze jeden odnośnik, coś, co pozwoliłoby zawęzić ilość stron do przeszukania - szepnął do siebie. Porywacz i morderca w jednej osobie był także najprawdo-

podobniej pedofilem. W takim razie najlepiej byłoby szukać tego „Ottona” na stronach dziecięcej pornografii. - Tylko że to oznaczało narażenie się na konieczność oglądania tych potwornych zdjęć - aż wzdrygnął się na myśl, co go czeka. Przypomniał sobie, jak kilka dni wcześniej przypadkowo wszedł na jedną z takich stron, gdy dziesiątki fotografii zalały komputer. Poczul ciarki przechodzące po plecach. - Trudno, innego wyjścia nie ma - wziął głęboki wdech.

Przez następne trzy godziny wchodził na strony z dziecięcą pornografią. Niektóre fotografie były tak drastyczne, że natychmiast zamykał strony, na których się pojawiały. Za każdym razem zapisywał nazwę domeny, aby móc do niej wrócić, gdyby zaistniała taka potrzeba. Niestety, na żadnej nie znalazł jakiegokolwiek śladu pseudonimu. Wpisywał imię w wyszukiwarkach, szukał w galeriach użytkowników, bezskutecznie.

Przetarł dłońmi zmęczoną twarz, by nagle strzelić palcami w geście triumfu. W wyszukiwarce wpisał szybko „Otto” i „pornografia dziecięca”, wcisnął enter i syknął zawiedziony, widząc zerowy wynik poszukiwania. Zamyślił się, ponownie wpisał „Otto”, ale tym razem dopisał „dzieci”. Ekran monitora rozjaśnił się stronami zawierającymi te hasła. Było ich 99

niespełna 150. Zaczął je po kolei sprawdzać, doszedł do 49, gdy jego oczom ukazała się domena, której autor podpisywał się imieniem „Otto”. Na głównej stronie widniało niewinne zdjęcie wzgórze porośniętego bukami. - Skąd znam ten widok? - zasępił się, patrząc na bijącą zielenią fotografię. - Bukowe Wzgórze! - krzyknął nagle. To było Bukowe Wzgórze, jedno z najbardziej charakterystycznych miejsc w mieście. Zerknął na górną listwę, były tam odnośniki „O mnie”, „Kontakt” i „Galeria moich maluchów”. W tym pierwszym domniemany autor ograniczył się do podania imienia, jakżeby inaczej, „Otto”. W „Kontakcie” było napisane tylko tyle: „Szukasz mnie? Szukaj Ottona”. Wybrał ostatni link, na ekranie pojawiła się klepsydra oznaczająca przetwarzanie informacji przez komputer. Kilka sekund później na pulpicie pojawiły się fotografie trójki dzieci, z wpisanymi obok imionami. - Adrianek, Rafałek, Sandra - przeczytał na głos, patrząc na roześmiane buzie dzieci. Nie mógł rozpoznać twarzy, bo nigdy wcześniej ich nie widział, ale w okamgnieniu zdał sobie sprawę, że doskonale kojarzy imiona.

- Czy ksiądz wie, która jest godzina? - po tonie głosu Jarosława Nowickiego można było bez problemu rozszyfrować, co sądzi o dzwonieniu do kogoś o 5.30. - Może ksiądz jest rannym ptaszkiem, ale ja zdecydowanie nie.

- Nie zawracałbym panu głowy, gdyby sytuacja nie była podbramkowa. Potrzebuję pewnej informacji.

- A to mi nowina - westchnął dziennikarz. - Jakiej?



- Kto prowadzi dochodzenie w sprawie porwań.

- Ma mnie pan do niej natychmiast zaprowadzić, rozumie pan? - wikary szarpał się z policjantem, który zastawiał sobą 100

przejście. - To sprawa życia lub śmierci! Jeśli pan tego nie zrobi, z miejsca pójde do komendanta!

- W tej sprawie komendant może mi co najwyżej nasypać soli na ogon - odciął się mundurowy, nie ruszając się ani o krok. - To nasze dochodzenie i sami określamy, z kim będziemy rozmawiać, a z kim nie. Takim agresywnym typom jak pan mówimy...

- Co jest, Zielnicki? - Weronika Bielska, usłyszawszy na korytarzu krzyki, wychyliła głowę ze swojego gabinetu. - Na kogo się tak drzesz?

- Na palanta, który twierdzi, że ma dla ciebie ważne informacje dotyczące naszego śledztwa.

- A skąd w ogóle wie, że to ja prowadzę tę sprawę? - spytała podejrzliwie.

- No właśnie, skąd pan wie, że to nadkomisarz Bielska prowadzi sprawę porwań? - Zielnicki powtórzył pytanie.

- Mam swoje źródła - odpowiedział wikary.

- Ksiądz Sambor, tak? - rzuciła Bielska.

- Ksiądz Sambor?! - powtórzył jak echo Zielnicki. - Bez sutanny i koloratki nie poznałem...

- Pamięci do twarzy to ty nie masz. I to ma być jeden z najlepszych policjantów w tym wydziale - westchnęła, pokręciwszy głową.

- Skąd wiecie, kim jestem? - zapytał wikary.

- Powiedzmy, że mamy swoje źródła - policjantka się uśmiechnęła. - Zapraszam do siebie.

Weszli do środka, Bielska usiadła na swoim fotelu, ksiądz Sambor na krześle przed biurkiem, Zielnicki rozsiadł się na parapecie okna.

- Coś marnie ksiądz wygląda - zaczęła.

- Ostatnio mało spałem, zajmuję się też pewną sprawą, która kosztuje mnie sporo sił i nerwów - wikary bezwiednie potarł dłońią po brodzie.

101

- Po nocach? A można wiedzieć, co ksiądz robi? - pytanie Zielnickiego, choć zadane pozornie niewinnym tonem, było z gatunku tych, które mają pytanego wyprowadzić z równowagi.

- Przecież właśnie powiedziałem, zajmuję się pewną sprawą - odpowiedział wikary, nie dając się zbić z tropu.

- A mógłby nam ksiądz zdradzić, jaką dokładnie? - Bielska założyła nogę na nogę.

- Oczywiście. Dlatego tutaj przyszedłem. Udało mi się wpaść na interesujący trop - wikary położył na biurku białą teczkę z gumką.

- Wciąż ksiądz nie powiedział, jaka to sprawa - zauważyła Bielska, biorąc pakunek do ręki.  
- Porwał dzieci - powiedział cicho wikary.  
- Mógłby ksiądz powtórzyć? - poprosiła.  
- Zajmuję się porwaniami dzieci, które w ostatnim czasie miały miejsce w naszym mieście - odpowiedział.  
- Gdyby jeszcze był ksiądz łaskaw mnie oświecić, z jakiego to powodu zajmuje się tym, co jest zadaniem policji? - nawet nie próbowała ukryć sarkazmu.  
- Właśnie, dlaczego ksiądz zajmuje się tym, czym nie powinien? - wtrącił Zielnicki.  
- Będziecie mnie wypytywać o jakieś bzdety czy porozmawiamy o konkretach? - wikary najwidoczniej odzyskał rezon, bo jego głos nie był już tak cichy. - Przyszedłem do was, bo wpadłem na ślad mogący pomóc w ujęciu seryjnego mordercy. To, co mną kierowało w tych poszukiwaniach, nie ma chyba w tym przypadku najmniejszego znaczenia?  
-I tutaj się ksiądz ogromnie myli - Bielska uśmiechnęła się niewyraźnym chytrym uśmieszkiem. - Powody determinujące ludzkie zachowania potrafią być najróżniejsze, o czym często możemy się przekonać podczas naszej policyjnej ro-

102  
boty. Ale może faktycznie najpierw zajmiemy się tym, co ksiądz nam chce powiedzieć.

- Wszystko jest w tej teczce, zrobiłem wydruki. Ale może lepiej będzie, jeśli sama pani to sprawdzi w Internecie - pokazał ręką na monitor.

- Jaką stronę mam wybrać? - spytała, otwierając teczkę.

- Tę - wskazał palcem na nazwę domeny zapisaną na kartce grubymi literami.

Policjantka ją wpisała.

- Niesamowite. Jestem w szoku - Zielnicki najpierw popatrzył na ekran, potem na księdza. - Teraz pewnie mamy policzyć wszystkie buki?

- Proszę wybrać link „O mnie” - polecił wikary, zignorowawszy ironiczną uwagę komisarza.

- Otto - Bielska na widok napisu oblizała bezwiednie wargi.

- Teraz niech pani wybierze „Galerię moich maluchów” - szepnął ksiądz.

Policjantka wykonała polecenie, komputer zaczął analizować informacje, chwilę później na ekranie pojawiły się zdjęcia dzieci. Na ich widok Bielska splotła dłonie i oparła na nich brodę.

- Masz pięć minut na sprawdzenie całej strony i namierzenie autora - zwróciła się do Zielnickiego, który natychmiast wyszedł z pokoju. - A ksiądz może będzie wreszcie łaskaw powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - spojrzała na niego przeciągle.

- Jest pani zła, że to nie ktoś z policji wpadł na ten trop? wikary nie odwrócił wzroku ani na moment.

- Mam gdzieś to, czy złapiemy tego psychopatę dzięki informacji zdobytej przez policjantów czy przekazanej przez kogoś z zewnątrz. Liczy się tylko jedno: dorwać drania, zanim zrobi krzywdę kolejnemu dziecku.

103

- Świetnie - ucieszył się. - W takim razie nam obojgu przyświeca ten sam cel.

- Możliwe. Co nie znaczy, że posługujemy się takimi samymi metodami.

- Co pani ma na myśli?

- Dajmy na to, policjanci nie mogą się włamywać w poszukiwaniu informacji - uśmiechnęła się znacząco. - Zmieszał się ksiądz.

- Dlaczego sądzi pani, że się zmieszałem?

- Bo uciekł ksiądz wzrokiem. Czyżby miał ksiądz coś do ukrycia?

- Czuję się, jakbym był przesłuchiwany. Jeszcze chwila i zapewne stanę się podejrzanym. A chciałbym pani przypomnieć, że to dzięki mnie dostaliście te informacje.

- Bez wątplenia - zgodziła się bez szemrania. - A co do podejrzanego... Często zdarza się, że ze wszystkich sił starają się oni skierować policyjne dochodzenie na fałszywe tory, podsuwając spreparowane informacje.

- Jak pani śmie sugerować, że ja... - zerwał się z krzesła.

- Spokojnie - usadziła go gestem ręki. - Nie jest ksiądz żadnym podejrzanym - skłamała gładko. - Moje pytania to rutynowa czynność. Może więc ksiądz zechce mi wreszcie powiedzieć, dlaczego zajmuje się tą sprawą? - uśmiechnęła się znów w ten sam czarujący sposób.

- Mogę. Oczywiście, że mogę - odwzajemnił uśmiech. Przytoczył historyjkę ze znajomym księdzem w roli głównej, który uczył dwójkę z porwanych dzieci i któremu chciał pomóc. Policjantka co rusz uprzejmie potakiwała głową, tak naprawdę nie wierząc w ani jedno słowo, jakie padło z jego ust.

- A mógłbym mi ksiądz powiedzieć, czy miał coś wspólnego z włamaniem do WORD-u w niedzielną noc? - spytała nagle.

104

- Do WORD-u? W niedzielę? - zaciął się. - W niedzielę odprawiałem msze, a potem wyjechałem do rodziny.

- Do rodziny... - wymamrotała. - A dokąd?

- To znaczy... - zaczął się plątać. - Chciałem pojechać do rodziny, ale gdy wyjechałem za miasto, straciłem ochotę i tak sobie tylko pojeździłem w kółko samochodem.

- I pewnie nie znalazłby się nikt, kto by mógł tę wersję potwierdzić?

- Obawiam się, że nie - rozłożył ręce.

- Dlaczego ja nie jestem tym wcale zdziwiona...

- Słucham? - spytał.

W tym momencie do pokoju wpadł Zielnicki.

- Mogę mówić przy nim? - skinął głową na wikarego.

- Czekał, niech pomyślę - Bielska zamknęła oczy na trzy sekundy. - Wal.

- Zdjęcia z głównej strony zostały zrobione dzieciom tuż przed porwaniem. Rodzice całej trójki rozpoznali te miejsca, chodzili tam z nimi na spacer. Kolejne fotki z galerii nie są już tak miłe - relacjonował Zielnicki. - Każdemu dziecku zrobiono kilkadziesiąt zdjęć w zamkniętym pomieszczeniu. Większość z nich jest... - przerwał, szukając odpowiedniego określenia. - Większości z nich nigdy nie chciałabyś oglądać. Wierz mi.

- Wierzę - odparła szybko. - Co z autorem?

- Stronę założono na serwerze w Południowej Karolinie w Stanach Zjednoczonych. Już szykujemy pismo do FBI o pomoc w namierzeniu właściciela, ale to może trochę potrwać. Zresztą, jak znam życie, stworzono ją przy pomocy łańcuszka serwerów proxy, znalezienie tego właściwego będzie jak szukanie igły w stogu siana.

- Coś jeszcze?

- Nic - pokiwał głową. - Mamy tylko te zdjęcia. Chłopcy z laboratorium już się nimi zajmują. Próbuje ustalić 105

miejsce, w którym przetrzymywano dzieci. Może to nam coś da.

- Dobry pomysł - pochwaliła.

- Zamknąć stronę? - spytał. - Te zdjęcia są obrzydliwe.

- Jeszcze nie - powiedziała stanowczo. - To mogłoby spłoszyć porywacza, prawda, proszę księdza?

- Co? - odpowiedział wikary zdziwiony tym, że pytanie zostało skierowane do niego.

- Gdybyśmy zablokowali stronę, jej autor mógłby się zorientować, że jesteśmy na jego tropie - wyjaśniła.

- Dlaczego mnie pani o to pyta? Przecież ja się na tym nie znam - wikary wzruszył ramionami.

- Przecież siedzi ksiądz w tym po uszy, prawda? - zauważyła. - Idę z tym do komendanta, a ty w tym czasie spis zeznania księdza - zwróciła się do Zielnickiego, mrugając znacząco okiem.

- Zeznania? - wikary zerwał się z krzesła. - Jakie zeznania?

- Świadka - Zielnicki uśmiechnął się szeroko. - Pozwoli ksiądz ze mną.

Pół godziny, które wikary spędził z komisarzem Zielnickim sam na sam, to najgorsze trzydzieści minut, jakie przyszło mu kiedykolwiek przeżyć. Dla zwykłego człowieka - nie policjanta - spisywanie zeznań oznaczało ni mniej, ni więcej katorgę równą co najmniej uczeniu się na pamięć

wszystkich dwunastu ksiąg „Pana Tadeusza”. I nie chodzi tu tyle o niektóre z pytań, mogące przyprawić o zdenerwowanie najbardziej spokojną duszę na świecie, co sposób, w jaki funkcjonariusz przeprowadzał przesłuchanie.

Najpierw przez pięć minut porządkował biurko, by postawić na nim starą maszynę do pisania, konkretniej mówiąc remingtona. Na widok tego słynnego urządzenia ksiądz Sambor przez moment poczuł nawet coś w rodzaju

106  
podekscytowania. Szybko jednak oddało ono pole emocjom zdecydowanie niższych lotów. Remington, może i stary, a co za tym idzie nawet cenny, miał pewien feler. Otóż każdorazowe stuknięcie w literę „k” powodowało wyskakiwanie sąsiedniego klawisza „l”. A że „k” jest jedną z częściej używanych liter w polskim alfabecie, komisarz Zielnicki co rusz musiał wstawać zza biurka i szukać orbitującego przycisku. Pierwszych kilka razy było wręcz zabawne, wikary raz czy dwa nawet się zaśmiał, ale po dziesięciu razach z kolei nastrój do śmiechu przeszedł mu zupełnie. Tym bardziej że uderzając w klawisze funkcjonariusz używał tylko palców wskazujących, tempo pisania było więc ślimacze.

- Może zamiast „ksiądz” będzie pan używał skrótu „x”?  
zapropował w pewnym momencie, zniecierpliwiony do granic możliwości.

- Bardzo chętnie, proszę księdza, bardzo chętnie. Niestety, wewnętrzne procedury zezwalają nam na stosowanie tylko skrótów uznawanych za powszechnie używane - za uprzejmym uśmiechem Zielnickiego czaiła się zwykła złośliwość.

- Długo to jeszcze potrwa?

- Już kończymy, proszę księdza, już kończymy. Jeszcze tylko mi ksiądz powie, czy często przegląda strony z pornografią dziecięcą.

-Co?!

- Czy często przegląda ksiądz strony...

- Słyszałem, co chce pan wiedzieć - wszedł mu w słowo.

Nie rozumiem tylko, dlaczego pan o to pyta. To mnie obraża. Zaczynam się czuć jak przestępca, nie świadek - zazgrzytał zębami.

- Zupełnie niepotrzebnie - znów ten sam uśmiech. - Zupełnie niepotrzebnie. To rutynowe pytanie.

- Nie - warknął wikary.

107

- Co, „nie”?

- Nieczęsto.

- Słucham?

- Pan chce zrobić ze mnie durnia czy naprawdę jest tak ograniczony?

- Że jak? - tym razem twarz policjanta oznaczyło autentyczne zdumienie.

- Niektóre pana pytania mogą człowieka doprowadzić do białej gorączki. Przychodząc tutaj jest się jeszcze normalnym obywatelem, ale po tak błyskotliwym przesłuchaniu każdy może się przeistoczyć w potencjalnego zabójcę.

- A to ciekawe. Czyli byłby ksiądz w stanie zabić... - zanotował, spojrzawszy na wikarego. - Czy mógłby ksiądz wyrazić się jaśniej?

- Nie!!! - zerwał się z krzesła na równe nogi. - Jeszcze chwila, jeszcze jedno głupie pytanie i nie odpowiadam za siebie!

- Proszę usiąść, proszę księdza - ton głosu funkcjonariusza był tak spokojny, jak przedszkolanki namawiającej dzieci do południowego leżakowania. - Może księdzu zrobić herbaty?

- Ma pan trzydzieści sekund na dopisanie reszty zeznań. Niech pan tam wpisze, co się panu żywnie podoba i da mi protokół do podpisania - usiadł z powrotem na krześle.

- Po tym czasie wychodzę stąd, Bóg mi świadkiem.

- Akurat Boga na świadka powołać się...

- Dwadzieścia osiem sekund - przerwał, zerkając wymownie na zegarek.

- Już kończę - policjant zaczął nagle używać wszystkich palców obu dłoni. Błyskawicznie dokończył pisanie i podał księdzu dokument. - Poproszę o parafkę tutaj. I tutaj - wskazał długopisem.

Wikary, nie czytając protokołu, zamasyście się podpisał.

108

- Coś jeszcze? - burknął niegrzecznie, wstając z krzesła.

- Wszystko - policjant wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Żegnam - okręcił się na pięcie, jednym krokiem podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł z pokoju, niemal zde-  
rzając się z Bielską. Nie powiedziawszy do niej słowa, minął ją i opuścił budynek.

- A jego co ugryzło? - spytała.

- Przesłuchanie się nieco przeciągnęło, rozumiesz - Zielnicki mrugnął znacząco okiem.

- Znowu ten numer z klawiszami? - zerknęła na stojącą na biurku maszynę do pisania.

- Nie mogłem się powstrzymać. Znasz mnie.

- Znam. Biedny ksiądz - zaśmiała się. - Ale zobaczysz - pogroziła mu palcem. - Kiedyś któryś z twoich klientów nie wytrzyma i ciebie tu zakatrupi.

- Szczerze mówiąc, niewiele brakowało i nasz wielebny by to zrobił. Stał się jakiś taki nerwowy.

- Zauważyłam. A skoro o nim mowa...

- Założyłaś mu stały ogon? - Zielnicki uprzedził myśl.

- Nie inaczej - uśmiechnęła się szeroko.

- Nie wierzysz mu?

-Nie.

- Myślisz, że to on za tym wszystkim stoi?

- Nie wiem. To byłoby zbyt proste - zamyśliła się na ułamek sekundy. - Ale założę się, że nie powiedział nam całej prawdy. Nasz ksiądz skrywa jakąś wielką tajemnicę. I wiesz co?

-Co?

- Choćbym miała się przekopać gołymi rękoma do samego piekła, dowiem się, co to za sekret.

Patrząc na jej zacięty wyraz twarzy, nie można było mieć cienia wątpliwości, że nie rzuca słów na wiatr.

109

## Rozdział 12

Prosto z komendy wikary poszedł do szkoły. Do lekcji było jeszcze pół godziny, jednak do domu i tak nie było sensu zachodzić. Był potwornie zmęczony i najchętniej zwałiłby się jak długi na łóżko, postanowił jednak nie opuszczać zajęć.

Gdy wszedł do pokoju nauczycielskiego, była 7.45. Usiadł przy stole, położył na nim ręce, a na nich głowę i momentalnie zasnął. Kilka minut później obudzili go nauczyciele I wchodzący do pokoju.

- Koleżanka Maria pewnie znowu się obruszy, że się księdza czepiam, ale jeśli przedwczoraj wyglądał ksiądz jak puszczone przez wyżymaczkę, to dzisiaj... - Stawska zawiesiła ' ] wymownie głos.

- To co? Jak wyglądam dzisiaj? - ksiądz Sambor potarł dłońią po skroni. Czuł, że jeszcze chwila i pęknie mu głowa.

- Jakby całą noc nic ksiądz nie robił, tylko imprezował - odpowiedziała. - Można nawet pokusić się o przypuszczenie, iż ten ból głowy to nic innego jak syndrom dnia następnego - uśmiechnęła się. - A skoro o tym mowa, księżom wolno pić?

- Gdybym nie pił, umarłbym z pragnienia - odparł krótko.!

- Ale rozumiem, że to pytanie, zadane przez panią z typową dla siebie subtelnnością, dotyczyło alkoholu.

- Nie inaczej - potwierdziła, sięgając na półkę po dziennik lekcyjny.

- Musimy już iść na lekcje - wtrąciła Piecuch.

- Jeszcze tylko jedno zdanie - zaprotestował wikary. - Koleżanka na pewno chciałaby spytać, czy księżom wolno nad-

no używać alkoholu. Otóż powiem krótko: w tym względzie dotyczy nas to samo prawo, co świeckich, czyli picie z głową...

- Właśnie widzę, jak ksiądz to prawo wdrażał wczoraj w życie - przerwała mu Stawska, uśmiechając się złośliwie.

- Mam do pani gorącą prośbę - podszedł do niej tak blisko, że ich twarze niemal się dotykały. Stawska próbowała się cofnąć, ale było to niemożliwe, bo za plecami miała szafkę.

- Tak? - szepnęła przestraszona.

- Niech pani wreszcie raz na zawsze się ode mnie odczepi  
- wycedził przez zęby. - Bo jeśli nie, to... - podniósł prawą rękę.

Jego twarz przybrała taki wyraz, że Stawska podświadomie uchyliła się, spodziewając się uderzenia. Dopiero gdy zasłoniła głowę lewą dłonią, wikary zdał sobie sprawę, że wciąż stoi obok niej z podniesioną ręką. Spuścił ją powoli i bez słowa wyszedł z pomieszczenia.

- Przez chwilę myślałam, że cię uderzy - Piecuch podbiegła do Stawskiej, której ugięły się nogi. - Usiądź i zrób kilka głębokich wdechów.

Gdy Stawska usiadła na krześle, zaczęły się jej trząść ręce. (Jhwilę później wybuchła płaczem.

Po skończonych lekcjach wikary wrócił na plebanię i położył się do łóżka. Udało mu się przespać dwie godziny, gdy obudził go telefon. Zerknął na wyświetlacz, chcąc odrzucić połączenie, ale po numerze zorientował się, że dzwoni Nowicki.

- Tak, słucham - powiedział mocno zaspanym głosem.

- Słyszę, że ksiądz sobie uciął popołudniową drzemkę.

Niestety, obawiam się, że mój telefon będzie oznaczał koniec wypoczynku.

- Coś się stało - to było stwierdzenie, nie pytanie.

- Mam informację od mojego człowieka w policji, że przy 111

ciele tej ostatniej dziewczynki, Sandry, też znaleziono karteczkę z tym samym imieniem.

- Otto.

- Tak - potwierdził. - Nie wiem, czy ta informacja w czymś księdzu pomoże, ale umawialiśmy się na współpracę, więc dzwonię. Żeby nie owijać w bawełnę, czy może ma ksiądz coś dla mnie ciekawego?

- Żeby nie owijać w bawełnę, w ramach rewanżu?

- Coś jakby - potwierdził Nowicki.

- Jest coś, co na pewno by pana zainteresowało, ale...

-Ale?

- Wiem o tym tylko ja i grupa policjantów zajmująca się tą sprawą.

- Boi się ksiądz, że obarczą księdza winą za przeciek?

- Nie inaczej - przyznał. - Wystarczy już, że rano, kiedy się z nimi podzieliłem tymi rewelacjami, magłowali mnie chyba przez godzinę. W pewnym momencie zacząłem się czuć, jakbym to ja był głównym podejrzanym.

- Trudna sprawa, muszę przyznać - zawahał się. - A to coś istotnego?

- Moim zdaniem bardzo. I łączy się bezpośrednio z tymi karteczkami, o których pan wspominał.

- Teraz to mnie ksiądz tak zaintrygował, że nie odpuszczę.

- A co z policją?

- Umówmy się tak: jeśli wykorzystam tę informację w ju-



trzejszym artykule, podam, że mam ją ze źródła zbliżonego do policji.

- Po dzisiejszym ranku ja też jestem źródłem zbliżonym do policji - zauważył wikary.

- To proponuję inną opcję: powie mi ksiądz o co chodzi, a ja spytam o to mojego informatora, który najpewniej to po twierdzi.

- A jeśli nie?

112

- Wtedy podam, że mam te dane od kogoś z policji. To powinno ściągnąć z księdza odium przecieku.

- Chyba nie mam wyjścia - zasepił się. - W końcu trzeba się zrewanżować za dotychczasowe przysługi.

- Nie powiem „nie”.

- Niech pan sprawdzi pewną stronę internetową - podyktował nazwę domeny. - Sam tych zdjęć nie oglądałem, ale policjant, który je widział, ostrzegwał, że są obrzydliwe.

- Dziękuję za informację i za ostrzeżenie. Gdybym dowiedział się czegoś nowego, odezwę się. Będziemy w kontakcie.

- Świetnie.

Po rozmowie z dziennikarzem chwilę zastanawiał się, czy położyć się z powrotem spać, ale stwierdził, że byłoby to marnowanie czasu, na którego nadmiar przecież nie narzekał. Zdecydował się powrócić do przeszukiwania Internetu, tym bardziej że głowa nie bolała już tak mocno.

Włączył wyszukiwarkę, machinalnie wpisując żądane hasło „Otto”. Nie zauważył jednak, iż w pasku wyszukiwania wciąż było zaznaczone jedno z poprzednich sformułowań: „tajemnica spowiedzi”. - Kurczę - syknął, naciskając palcem klawisz escape, ale było już za późno, komputer wypluł z siebie wynik poszukiwania: spis stron zawierających w sobie oba te hasła.

Już miał zamknąć listę, by ponownie wpisać samo imię, gdy nagle jego uwagę przykuła jedna z wyszukanych domen. „Alfred Hitchcock, «Wyznaję»”. - Ciekawe, co to takiego? szepnęła, klikając na link. Strona błyskawicznie się załadowała, zaczął czytać.

„Montgomery Clift i Anne Baxter w jednym z najbardziej genialnych filmów Hitchcocka. Główny bohater, ojciec Mihael Logan, ksiądz - uchodzący za wzór pobożności - wysłu-

113

chuje spowiedzi zabójcy. Gdy świadkowie biorą go za mordercę, tajemnica spowiedzi nie pozwala mu wyznać prawdy. Nie może się bronić, a poszlaki czynią z niego głównego podejrzanego! Wyróżnieni Oskarami Anne Baxter i Karl Maiden...”. Dalej już nie czytał, będąc pod wrażeniem tego, czego się właśnie dowiedział. Ale jaki to ma związek z „Ottonem”? Wrócił do poprzedniej strony, by z listy znalezionej przez wyszukiwarkę wybrać kolejną, także dotyczącą filmu. Kliknął na następny link, ponownie

pokazała się informacja dotycząca „Wyznaję”. Tym razem jednak historia filmu była nieco bardziej rozszerzona. Przebiegł szybko wzrokiem na dół strony, gdy dotarł do niego sens słów, wciągnął głęboko powietrze w płuca, by po chwili z głośnym sykiem wypuścić je z powrotem. Założył ręce na karku, wciąż wpatrując się w ekran.

„Otto Keller i jego żona Alma pracują jako dozorca i gospodyni w katolickim kościele w Quebecu. Pewnego dnia Otto okrada dom, w którym czasem pracuje jako ogrodnik. W czasie napadu zabija właściciela. Po tym zdarzeniu spowiada się młodemu księdzu. Dzień później ksiądz zostaje zauważony w okolicy ograbionego domu i posądzony o dokonanie morderstwa. Nie może on jednak zdradzić tajemnicy spowiedzi.” Niżej widniała fotografia płyty CD z filmem, z której aż bił po oczach napis mający zachęcić do jej kupna: „Co byś zrobił, gdybyś wiedział to, co on?”

Kiedy nieco ochłonął, sprawdził kilka stron opowiadających o filmie, na każdej informacje były podobne, niczego więcej niż wcześniej się nie dowiedział. Wtem poczuł mrowienie na plecach, zdawszy sobie sprawę, iż nieprzypadkowej porywacz przychodził regularnie do kościoła, spowiadając się z kolejnych morderstw. I ten pseudonim, którym podpisywał się na miejscach zbrodni! Najwyraźniej coś łączyło go

114  
z bohaterem thrillera jednego z najwybitniejszych reżyserów. Tylko co? Żeby to sprawdzić, trzeba obejrzeć film. Może tam znalazłby kolejny trop? Wszedł na jedną z odwiedzonych przed chwilą stron, na tę, na której można było kupić płytę. Do wyboru były trzy możliwości dostawy: normalna - czas oczekiwania do dwóch tygodni, szybka - do siedmiu dni i ekspresowa - 24 godziny. Ta ostatnia była najdroższa, nie bacząc jednak na to, ją właśnie wybrał. Wpisał w wymagane pola swoje dane osobowe, podał też numer karty kredytowej, naciśnął enter, pojawił się komunikat, że film zostanie dostarczony pod wskazany adres najpóźniej dobę po złożeniu zamówienia.

Idąc do kościoła na wieczorną mszę, zaczął się zastanawiać, co byłoby, gdyby morderca ponownie zjawił się przy konfesjonale i podał którąś z tych informacji, które udało mu się już zdobyć podczas własnego śledztwa. - Boże, tylko nie to, bo cofnę się na początek drogi - zagryzł wargi. Wtedy cały plan wzięły w łeb, gdyż nie mógłby jej brać pod uwagę podczas dalszego tropienia porywacz. Chociaż... Skoro dotarł do jakiejś informacji sam, to chyba nawet ujawniona podczas spowiedzi przez penitenta nie byłaby tajna? Odwrócił się na pięcie i rzucił się biegiem z powrotem do mieszkania. Wpadł do środka, podszedł do półki z materiałami o tajemnicy spowiedzi, zaczął przerzucać kartki. Po chwili znalazł tę interesującą go, szybko przebiegł wzrokiem po tekście.

Uśmiechnął się pod nosem. Jeśli o czymś dowiedział się poza konfesjonalem, to w tym konkretnym przypadku tajemnica nie obowiązywała!

|

Po skończonej mszy ściągnął liturgiczne szaty, wkładając ornat do szafy uświadomił sobie, że przecież mógł spróbować

115  
poszukać filmu w Empiku. Zerknął na zegarek, był kwadrans przed siódmą. Jeśli dobrze pamiętał, księgarnia była otwarta do 19.00. Błyskawicznie zdjął albę i wybiegł z zakrystii. Cztery minuty później wchodził już do księgarni. Podeszedł do stanowiska obsługi w dziale z filmami i muzyką.

- Macie film Alfreda Hitchcocka „Wyznaję”? - spytał, bębniąc palcami ze zniecierpliwienia.

- Już sprawdzam - odpowiedziała pracownica, klikając w klawiaturę komputera. - Jest jeden egzemplarz. Płyta kosztuje 49,99 zł.

- Biorę - niemal krzyknął, sięgając do kieszeni, wyciągnął plik banknotów. - Albo i nie - skrzywił się, jakby połknął cytrynę. - Nie wziąłem portfela - powiedział, licząc pieniądze.

- Mam tylko 40 zł.

- Może ma ksiądz przy sobie kartę?

- Niestety, przyszedłem prosto z kościoła.

- Cóż... - ekspedientka się zawahała. - Chyba że zrobimy tak: sprzedam księdzu dzisiaj ten film, ksiądz zapłaci 40 zł, a resztę przyniesie jutro z samego rana.

- Naprawdę? Byłoby cudownie!

- W takim razie proszę - wydrukowała paragon, podała go razem z płytą, zapakowane w firmową torebkę.

- Jestem ogromnie wdzięczny - wziął pakunek, uśmiechając się szeroko.

Dziesięć minut później siedział w swoim pokoju i wkładał płytę do odtwarzacza DVD.

Jeśli kupując film miał nadzieję dowiedzieć się dzięki jego obejrzeniu czegośkolwiek o motywach porywacza, srodze się zawiodł.

„Wyznaję” było raczej opowieścią z gatunku dramatu obyczajowego, który miał dwie główne osie fabuły. Jedną była tajemnica spowiedzi, jaką musiał dotrzymać główny bohater,

116

ksiądz Michael Logan. To jemu z morderstwa wypowiadał się dozorca na co dzień pracujący - razem ze swoją żoną - na plebanii, nazwiskiem Otto Kellar. Mężczyzna, początkowo przestraszony potwornym czynem, jaki popełnił, z czasem zaczął tak pogrywać policję, że ta winą za morderstwo obarczyła duchownego. Ten oczywiście ze względu na tajemnicę spowiedzi nie mógł wskazać prawdziwego zbrojcy.

Ale drugim wątkiem, i to dominującym, było uczucie, jakim ksiądz darzyła jedna z głównych bohatererek. Oboje znali się od lat, jeszcze zanim Logan został wyświęcony. Gdy wy-

buchła druga wojna światowa, zgłosił się na ochotnika jak wielu w tamtym okresie i wyjechał. Ona z różnych powodów nie czekając, aż wróci, wyszła za innego. Jednak miłość do ukochanego nie zgasła, tliła się przez wiele lat... Próbując pomóc księdzu, dała mu alibi, czym jeszcze bardziej pogrzyżyła go w oczach wymiaru sprawiedliwości. Jednak ława przysięgłych, dopatrując się wielu wątpliwości w poszlakach, wydała werdykt uniewinniający.

Ostatnia scena, jak to u Hitchcocka bywa, była najbardziej przejmująca. Wychodzącego z budynku sądu księdza Logana witał wrogo nastawiony tłum, większość mieszkańców miasta już wcześniej bowiem wydała wyrok na kapłana. Kiedy motłoch zaatakował duchownego, żona Kellara, nie wytrzymując już ciśnienia, podbiegła do księdza, krzycząc „On jest niewinny.” W tym momencie padł strzał. Strzelał Otto Kellar. Chciał trafić duchownego, jednak kula dosięgła jego żonę. Kobieta osunęła się na ziemię, zdążyła tylko szepnąć do Logana „Wybacz mi” i zmarła. Taki sam los kilka minut później spotkał mordercę, który ścigany przez policję, wykrzyczał prawdę o zabójstwie, będąc pewnym, że kapłan zdradził, co usłyszał w konfesjonale.

Koniec. Nic więcej, żadnych wskazówek, które wniosłyby coś do sprawy porywacza. Ani jednego odniesienia. Cze-  
117

goś, co łączyłoby obie postaci: filmowego Ottona Kellara oraz tajemniczego porywacza i mordercę dzieci w jednej osobie.

Przewinął film do tyłu, puścił jeszcze raz fragment, w którym Otto Kellar, mając wiedzę, której nikt inny nie posiada, manipuluje policją, sprowadzając ją na trop Michaela Logana. Włączył pauzę, patrząc na ni to dobrotliwy, ni podstępny uśmiech dozorecy.

Raptem poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach.

Od momentu, gdy morderca dzieci przyszedł pierwszy raz do konfesjonale, on sam, ksiądz Sambor, zaczął być wciągany w całą tę zbrodniczą historię jak niczego nie-<sup>1</sup>świadomy owad, oplatany niewidzialną pajęczyną przez krwiożerczego pająka. Poproszenie o pomoc historyczki, włamanie do WORD-u po film z kamery samochodowej, wizyta w teatralnej wypożyczalni strojów, spotkania z dziennikarzem, w końcu przeszukiwanie stron z dziecięcą pornografią...

To nieprawda, że film „Wyznaję” nie dawał żadnej podpowiedzi. Był jeden element, który łączył opowieść wyreżyserowaną przez mistrza suspense i historię seryjnego mordercy dzieci.

W obu przypadkach morderca chciał zrzucić winę na księdza.

Na tę myśl wikarego aż zmroziło. - Jeżeli do tego dojdzie, jeśli to ja stanę się podejrzanym, nie będę miał nawet żadnej możliwości obrony - kiedy zdał sobie z tego sprawę, przypo-

mniała mu się scena, w której ksiądz Michael Logan, słuchając na sali sądowej zeznań prawdziwego mordercy, aż płakał z bezsilności, nie mogąc zawołać: „To on!”.

Wziął do ręki pudełko z filmem, zerknął jeszcze raz na okładkę.

Co byś zrobił, gdybyś wiedział to, co on?

Rozdział 13

Odłożył pudełko na półkę, włączył komputer. Potarł dłońmi oczy, czując potworne zmęczenie. Ciągłe napięcie, brak snu przez ostatnie dni, jedzenie w pośpiechu albo wcale zaczynały coraz mocniej wpływać na jego samopoczucie. Poczłł nieprzyjemny skurecz w żołądku. Najchętniej położyłby się do łóżka i przespał dwadzieścia godzin, nadrabiając zaległości. Niestety, na taki luksus nie mógł sobie pozwolić, każda kolejna minuta zmniejszała szanse porwanych dzieci na przeżycie. Zdawał sobie też sprawę, że nawet choćby jedna chwila bezczynności może go drogo kosztować. Morderca bowiem cały czas znajdował się o krok z przodu, jeśli nie 1 dwa, trzy lub nawet dziesięć.

Ksiądz Sambor czuł podświadomie, że jest blisko namierzenia zbrodniarza. Że wystarczy znaleźć strzęp informacji, odrobinę, by zwierzyna wpadła w sidła, a te zaczęły się z trzaskiem zamykać. - Tylko żebym czasem tą zwierzyną nie stał się ja sam - westchnął, zerkając na leżący na półce film. Podszedł, wziął pudełko i wrócił do biurka.

Internet. Który to już raz w ciągu ostatnich dni? Już dawno przestał liczyć. Wybrał stronę, której namiary przekazał policji. Najechał kursorem na link logowania się. Pojawiło się żądanie wpisania hasła. Wstukał „Otto”, zamigotał komunikat o błędzie. Wpisał „Kellar”, to samo. Spróbował „Otto Kellar”, też bez rezultatu, tak samo jak wpisane chwilę później „Wyznaję”. Podniósł pudełko z filmem, przeczytał .jeszcze znajdujący się z tyłu opis. Ponownie najechał kursorem na puste miejsce hasła, wybierając „Michael Logan”. W ułamku sekundy strona zmieniła się nie do poznania.

119

Zerknął na pasek u góry ekranu. Po pomyślnym logowaniu został przekierowany na zupełnie inną domenę! Centralnie w środku patrzyły na niego roześmiane zdjęcia trójki dzieci, poznał je od razu, to byli Adrianek, Rafałek i Sandra. Przez dolny lewy róg każdej z trzech fotografii przebiegała czarna wstążka. Zjechał niżej, pod zdjęciami nieżyjących już dzieci były kolejne trzy. Tych maluchów nie znał, ale domyślił się, że to pozostała trójka porwanych. Brak czarnej wstążeczki w rogu zdjęć mógł oznaczać jedno: jeszcze żyją. Przewinął stronę w dół. Pod zdjęciami widniał napis „Ich koniec jest bliski. Małe aniołki wkrótce pójną do nieba”.

Jeszcze niżej była fotografia mężczyzny. Nigdy wcześniej nie widział go na żywo, ale poznał od razu. Tej charaktery-

stycznej fryzury nie sposób było nie rozpoznać. Tym razem jednak, w przeciwieństwie do filmu nagranych kamerą na szkole muzycznej, rysy twarzy były wyraźne. I kogoś mu przypominały.

- Ja go znam! - krzyknął nagle. - Ja go znam!!!

Podniecony odkryciem nie zauważył migającej na dole ekranu małej czerwonej ikonki, która informowała, iż ktoś właśnie próbuje się włamać do jego komputera.

W tym samym czasie, kiedy wikary rozpoznał mężczyznę ze zdjęcia, ten wpatrywał się w ekran swojego monitora. Włamał się do komputera księdza, śledził jego kroki w Internecie. Gdy wikary poprawnie wpisał hasło i został przekierowany na nową stronę, mężczyzna uśmiechnął się do siebie. Chwilę później, gdy ksiądz Sambor zjechał do dołu strony, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nagle mocno klasnął w dłoń. - Świetnie - szepnął. - Idealne zgranie w czasie, proszę księdza. Idealne.

120

Ksiądz Sambor zamknął oczy, próbując sobie przypomnieć, skąd zna człowieka z fotografii. Pozwolił myślom błądzić bez celu, wciąż jednak koncentrując się na twarzy mężczyzny.

To było trzy, może cztery lata temu. „Głos Naszego Miasta” opublikował listę najbogatszych ludzi w województwie.

Pierwsza trójka była taka sama jak rok i dwa lata wcześniej.

Ale po piętach zaczął im deptać ktoś zupełnie nowy. Wikary zaczął strzelać palcami prawej ręki, próbując sobie przypomnieć jego nazwisko.

Maciej Bięda.

Wpisał je do wyszukiwarki, dodając nazwę gazety. Mentalnie pojawiło się kilkaset haseł zawierających poszukiwaną frazę. Najechał na pierwszą znaną stronę, by znaleźć artykuł poświęcony gali dorocznego plebiscytu na najlepszego sportowca regionu. Impreza jak setki podobnych uroczystości. Tym razem jednak wydarzyło się coś, o czym przez kilka późniejszych tygodni rozprawiano na miejskich salonach.

Oto przy największym stole zasiedli członkowie najstarszych rodzin w mieście, jednocześnie najważniejsi i najbogatsi mieszkańcy - kolejność charakteryzujących towarzystwo przymiotników nie była przypadkowa. Jednakże ktoś - jak pokazało później życie, wybitnie nierozważny - raczył posadzić przy tym samym stole także Macieja Biędę, nuworysza, który dorobił się majątku na internetowym sklepie wysyłkowym, oferującym niemal wszystkie artykuły produkowane w Chinach, od breloczków na klucze do samochodów osobowych. Dla organizatorów plebiscytu Bięda był nikim innym, jak bogaczem sponsorującym imprezę, a że „burżazję”, jak mawiano obraźliwie za ich plecami, sadzano przy tym właśnie stole, tak więc i Bięda trafił właśnie tu. Szkopuł w tym, że to, co dla większości miejskiej populacji stanowiło

bogactwo, dla miejscowych patrycjuszy było niczym innym jak nędznym dorobkiem jakiegoś parweniusza.

Tak więc przez pierwszą godzinę zabawy towarzystwo całkowicie ignorowało Biędę, rozprawiając na przeróżne tematy tylko we własnym gronie. W pewnym momencie jednak dyskusja stała się na tyle burzliwa, że Bięda, nie zdając sobie sprawy, co czyni, nieopatrznie się do niej włączył. Spotkało się to z tyle jawną, co pogardliwą uwagą Józefa Kluczyka, najstarszego syna Franciszka Kluczyka, wnuka Józefa Fryderyka Kluczyka, innymi słowy: potomka najstarszej i najznamienitszej rodziny miasta. Bięda, wciąż nie do końca świadom własnego postępowania, nieopatrznie spróbował tę uwagę obrócić w żart, co zamiast uspokoić atmosferę, podziałało na resztę towarzystwa jak płachta na byka. Ponieważ autor artykułu opierał swoją opowieść na informacjach uzyskanych z drugiej ręki - od kogoś, kto siedział przy sąsiednim stole - nie wiadomo, co usłyszał Bięda. Można się jednak było domyślać siły tego przytyku, widząc reakcję mężczyzny. Ta była nad wyraz wymowna. Jak opisywał naoczny świadek tamtych wydarzeń: twarz Biędy oblała się purpurą, po czym mężczyzna wstał, jednym ruchem ręki zdjął serwetkę wciśniętą za kołnierz oryginalnej włoskiej koszuli, rzucił ją na talerz i bez słowa wyszedł z sali, żegnany wybuchami perlistego śmiechu siedzących przy stole osób.

Ksiądz Sambor zadzwonił do Nowickiego, ten odebrał już po drugim sygnale.

- Może pan wejść na Internet? - zaczął wikary bez zbędnego wstępu. - Na stronę swojej gazety, do archiwum.

- Czego szukamy? - spytał dziennikarz.

- Artykułu zatytułowanego „Nawet miliony nie wpuszczą cię na salony”.

122

- Mam - powiedział po dłuższej chwili.

- Pan to napisał?

- Nie, koleżanka. Jest podpisana na samym dole artykułu.

- Faktycznie, nie zauważyłem.

- A co księdza konkretnie interesuje? To była głośna sprawa, szeroko komentowana, także na dziennikarskiej giełdzie, może więc będę mógł w czymś pomóc.

- Oby - zatarł ręce. - Kim jest Maciej Bięda?

- Milionerem, który w szybkim czasie dorobił się majątku na sklepie internetowym. Ale jak to w takim biznesie bywa, żeby go rozkręcić, trzeba mieć wcześniej jakiś milion w kieszeni.

- Nasz bohater miał?

- Miał. Tajemnicą poliszynela jest, że ładnych parę lat temu szmuglował papierosy, jak zresztą wielu innych mu podobnych, dziś szanowanych i praworzędnych obywateli tworzących śmietankę towarzyską naszego miasta. Podob-

no Bięda jest nie do ruszenia, nikt miejscowy mu nie podskoczy, bronią go policjanci, prokuratorzy, nawet sędziowie. Z jednym chodził do szkoły, z innymi gra w golfa, niektórym funduje zagraniczne wycieczki. I podobno na każdego ma jakiegoś haka.

- Ale ja myślałem, że on się do tej śmietanki nie załapał

- zdziwił się.

- Książk mowi o tej gali? Nie, miałem na myśli zupełnie inne towarzystwo. Jak by to powiedzieć: nuworyszów. Natomiast grupa, która dała mu tak do wiwatu, to zupełnie inna historia.

- Burżuazja, tak?

- Tak się o nich mówi - potwierdził. - W każdym razie Z byle plebem się nie zadają. O czym się Maciej Bięda boleśnie przekonał. Podobno do dziś nazywają go Purpurowym Milionerem, z racji koloru twarzy, jaki przybrał po tej słynnej uwadze Kluczyka.

123

- A kojarzy pan, jacy jeszcze burżuje, oprócz tego Kluczyka, siedzieli przy tamtym stole, co Bięda?

- Marian i Helena Wasilewscy, ci kamienicznicy - zaczął wyliczać. - Jeśli dobrze pamiętam, byli też Zdzisław i Teresa Rozwadowscy, potomkowie pierwszych powojennych osadników, w porównaniu do reszty biedni jak mysz kościelna, ale wciąż ogromnie wpływowi...

- Wasilewscy? - przerwał mu nagle wikary. - Czy aby rodzice Adrianka, pierwszej ofiary seryjnego mordercy, nie nazywają się Wasilewscy?

- Tak, ale oni mają już dorosłe dzieci - odpowiedział dziennikarz. - Jezus, Maria!

-Co?

- Chwilę, sprawdzam coś w Internecie - przez kilkanaście sekund po drugiej stronie słuchawki było słyhać tylko ciszę. - Tak myślałem. Adrianek to ich wnuk. Jedynty! wnuk.

- A Rozwadowscy?

- Nie mają dzieci, jestem pewien. Siostra Rozwadowskiej I ma córkę, która ma na imię Sandra.

- Ta Sandra?

- Tak, to z pewnością ona - umysł dziennikarza pracował na najwyższych obrotach. - Nazwisko jest inne, ale to ta sama dziewczynka, siostrzenica Rozwadowskiej.

- Jak ma na nazwisko Rafalek?

- Moment, sprawdzę w notatkach - przez dłuższą chwilę w telefonie słyhać było tylko szelest kartek. - Wierzbnia.

- Stefan Wierzbnia - powiedział cicho wikary.

- Tak, ten Stefan Wierzbnia...

- A reszta dzieci?

- Nie wiem, musiałbym sprawdzić. To może mi zająć trochę czasu. Ale...



-Tak?

124

- Nieprzypadkowo połączył ksiądz Macieja Biełdę z tymi ludźmi, prawda?

- Raczej nie.

- Chce ksiądz przez to powiedzieć, że to on jest porywaczem?

- Nie chcę niczego powiedzieć - ton jego głosu mówił zupełnie co innego. - Szukam tylko mordercy. I tak się złożyło, że wpadłem na taki, a nie inny trop.

- Co ksiądz teraz zrobi?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Chyba pójde z tym na policję. A pan co by zrobił?

- Chyba też poszedłbym na policję - odpowiedział po chwili namysłu.

- Zawahał się pan.

- Wie ksiądz, jak to czasem bywa z policją - zaczął tłumaczyć. - Zdarza się, że jakiś nadgorliwy funkcjonariusz robi z Bogu ducha winnego człowieka przestępcę.

- Nie dalej jak dziś rano miałem okazję z takim policjantem gawędzić przez godzinę. Pod koniec naszej rozmowy czułem się tak, jak to pan określił? Niemal jak przestępca. (:hyba już nawet o tym panu opowiadałem.

- O tym właśnie mówiłem. Dlatego zalecałbym ostrożność.

- Tak zrobię - zapewnił wikary. - Mogę prosić o telefon, gdy ustali pan nazwiska pozostałych dzieci?

- Oczywiście.

Rozdział 14

- Komisarz Zielnicki, słucham.

- Z tej strony ksiądz Sambor. Chciałbym rozmawiać z panią nadkomisarz, a nie mogę się do niej dodzwonić.

- Bo pewnie jest w domu i odpoczywa po całym dniu ciężkiej pracy - mruknął. - Wie ksiądz, która jest godzina?

- Niech pan to powie tym dzieciom, które zostały porwane

- wikary nawet nie silił się na grzeczność.

- Dzwoni ksiądz w tej sprawie? - spytał zaniepokojony.

- A w jakiej innej miałbym do pana dzwonić o takiej porze? - zachnął się. - To pilne.

- Proszę księdza, my tu mamy tylko pilną robotę. Wszystko jest albo na teraz, albo na wczoraj.

- Wiecie już, kto jest porywaczem?

- Ksiądz wybacz, ale nie mogę udzielać takich informacji.

- Czyli nie wiecie - westchnął. - A ja wiem.

- Słucham?!

- Powiedziałem, że ja wiem, kto jest porywaczem - powtórzyl z zadowoleniem. - Albo inaczej: mam mocno uzasadnione podejrzenia, kto nim może być.

- Bardzo ciekawe...

- Bardzo ciekawe to będzie dopiero wtedy, kiedy coś państwu pokażę. Ale tego się przez telefon nie da zrobić.
- Kiedy może się ksiądz u nas zjawić?
- Choćby za kwadrans.
- Niech będzie za pół godziny, muszę wpierw ściągnąć panią nadkomisarz.

126

Posiadłość sędziego Stanisława Pięknego była jedną z najbardziej okazałych na osiedlu domków jednorodzinnych Międzylesie. Cała dzielnica słynęła w mieście jako ta, w której swoje domy - szczerze mówiąc właściwszym byłoby określenie rezydencje - budują największe znakomitości: sędziowie, prokuratorzy, adwokaci, biznesmeni, lekarze. Pośród mnóstwa ogromnych willi ta należąca do sędziego Pięknego wyróżniała się najbardziej. Była największa, najwyższa i najdroższa, przynajmniej kilka lat temu, zanim ceny w budownictwie zaczęły ostro szybować w górę.

Maciej Bięda podjechał pod bramę, wstukał kod, skrzydła zaczęły się otwierać. Wjechał na ogromny dziedziniec, zaparkował auto, zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Podbiegł do drzwi wejściowych, już miał nacisnąć dzwonek, gdy te się otworzyły.

- Już myśleliśmy, że nie przyjedziesz - powiedział sędzia Piękny z wyraźną dezaprobatą w głosie i drinkiem w dłoni.
  - Tylko nie zaczynaj znowu wykładu o punktualności - odciął się Bięda, mijając sędziego i wchodząc do środka.
  - Ludzie o naszym statusie...
  - Miałem ważną sprawę do załatwienia - uciął dyskusję.
- Przeszli do salonu. Przy kominku siedziało dwóch mężczyzn. Wyższy i przystojniejszy nazywał się Ferdynand Brzoza i był zastępcą naczelnika aresztu śledczego. Cieszył się wśród osadzonych mianem najbardziej bezwzględного i sadystycznego klawisza zachodniej Polski. Obok niego siedział, a właściwie zapadł się w fotelu Albert Jakubski, zastępca komendanta miejskiego policji, człowiek, o którego apetycie krążyły legendy. Mając zaledwie 160 centymetrów wzrostu ważył ponad 110 kilogramów, wiecznie się pocił, a ze zwałów tłuszczu na twarzy spozierały małe, lisie oczka.

127

Bięda rozejrzał się dookoła, patrząc przez chwilę na każdego z obecnych. Przypomniał sobie podobny wieczór ponad trzy lata temu, kiedy pierwszy raz otrzymał zaproszenie do Klubu Czterech, stowarzyszenia tak ekskluzywnego, że o jego istnieniu wiedziało tylko kilka, może kilkanaście osób w mieście. Żeby do niego należeć, trzeba było cieszyć się szacunkiem pozostałych byłych lub aktualnych członków, mieć niebotyczny majątek i umieć trzymać język za zębami. To ostatnie było zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, czym się członkowie klubu podczas swoich cotygodniowych spotkań zajmowali. Przez

pierwsze lata „działalności” organizowali orgie seksualne, wynajmując luksusowe prostytutki zarówno płci żeńskiej, jak i męskiej. Z czasem jednak przestało im to wystarczać, posunęli się więc do eksperymentów, angażując do seksualnych harców coraz młodsze kobiety i mężczyzn, później nastolatki. Pewnego dnia przekroczyli barierę: zaczęli wykorzystywać seksualnie dzieci z rodzin patologicznych, sownie wynagradzając ich rodziców za to, by przywozili swoje pociechy do „wujków”, trzymając przy tym buzie zamknięte na kłódkę. Każdy z pozostałych trzech mężczyzn niewątpliwie zostałby zdiagnozowany przez psychiatrów i seksuologów jako osoba z poważnymi zaburzeniami psychicznymi, emocjonalnymi i seksualnymi, żaden jednak - co by powiedzieć o tym, w jaki sposób krzywdzili dzieci - nigdy nie posunąłby się do morderstwa.

Gdy Maciej Bięda zamordował pierwszego chłopca, pozostali członkowie Klubu Czterech zaprotestowali, o ile można tak nazwać awanturę, jaką zrobili koledze. Ten jednak nie przejął się ani trochę, zagroził im też, że jeśli doniosą na niego na policję, ujawni całą prawdę o wieloletniej działalności klubu i udziale każdego z pozostałych członków.

Bięda jeszcze raz rozejrzał się po salonie. - Tak, mam ich w garści - uśmiechnął się nieznacznie.

128

- Znowu się spóźniłeś - warknął komendant, wycierając chusteczką spocone czoło.

- Wpiszesz mi uwagę do dzienniczka? - prychnął Bięda.

- W telewizji podali, że znaleziono zwłoki Sandry - wtrącił naczelnik. - To też twoja robota?

- A co? Chcesz się przyłączyć? - zaśmiał się Bięda.

- Jesteś chory - sapnął komendant.

- Jak cię złapią... - zaczął sędzia.

- Jak mnie złapią, to pociągnę was za sobą - przerwał mu Bięda bezceremonialnie.

- Tylko że ty dostaniesz czapę - zauważył komendant.

- Taki spec od prawa powinien wiedzieć, że w naszym kraju kary śmierci już się od dawna nie wykonuje - odciął się Bięda.

- Może i nie dostaniesz czapy, ale dożywocie bez prawa do wcześniejszego zwolnienia na pewno - stwierdził sędzia, pijąc kolejny łyk drinka. - Akurat ja się na tym znam.

- A my dostaniemy najwyżej po kilka lat - dodał komendant.

- Kilka lat? - powiedział Bięda. - Z wyrokiem za gwałcenie dzieci w żadnym więzieniu nie przeżyjecie dłużej niż kilka miesięcy. Chciałbym was zobaczyć pod więziennym prysznicem. Wiecie doskonale, jak więźniowie traktują gwałcicieli i pedofilów.

- Zejdz mi z oczu. Rzygać mi się chce, jak cię widzę - sędzia podszedł do Biędy, nagłym ruchem dłoni chlusnął mu

w twarz resztką drinka.

Biełda otarł piekące oczy rękawem swetra.

- I kto to mówi - uśmiechnął się w typowy dla siebie sposób. Na widok tego uśmiechu większość ludzi przechodził dreszcz. - Masz czelność tak się do mnie odzywać? Nie jesteś lepszy ode mnie i dobrze o tym wiesz. To pewnie ta świadomość bycia taką samą miernotą jak ja tak

129  
cię denerwuje. Jestem nikim, ale ty jesteś takim samym nikim jak ja.

Sędzia nic nie odpowiedział, ręką wskazując wymownie na korytarz. Biełda splunął na dywan, obrócił się na pięcie i wyszedł na zewnątrz, nie zamykając za sobą drzwi.

- To się tak nie skończy - ciszę, jaka zapadła po wyjściu Biełdy, przerwał sędzia Piękny. - Przez tego dupka wpadniemy.

- Zgadzam się - stwierdził naczelnik Brzoza, wychylając drinka. - Trzeba z nim coś zrobić.

- Tak? - spytał komendant Jakubski, odpinając guzik od kołnierza koszuli. - Ale z was inteligenci. Nie zastanawialiście się nigdy, dlaczego on jest taki pewny siebie?

- Bo nas zna i myśli, że może nam ufać - odpowiedział naczelnik. - Cóż, chyba trzeba będzie to zaufanie nieco nadwerężyć - stwierdził nieco filozoficznym tonem, wpatrując się w dno pustej szklanki.

- Ale z was debile! - komendant aż spurpurowiał na twarzy. Raptem jednym ruchem ręki zrzucił tackę z drinkami na podłogę. Na odgłos tłukącego się szkła obaj pozostali rozmówcy podskoczyli na krzesłach. Jakubski wstał i podszedł do sędziego. - Przecież on nas trzyma w garści - zaczął wymownie wymachiwać zaciśniętą pięścią przed jego nosem. Piękny odchylił się maksymalnie do tyłu. Jeszcze trochę i krzesło by się przewróciło.

- A niby jak? - zdziwił się naczelnik.

- Niby jak? - spytał komendant, podchodząc tym razem do naczelnika. Sędzia odetchnął z ulgą, opuszczając przednie nogi krzesła na podłogę. - W schowku jednego z banku zdeponował czarny nesoser. Podejrzewam, że trzyma w nim kompromitujące nas materiały.

130

- Może to głupie pytanie, ale skąd o tym wiesz? Powiedział ci? - spytał sędzia.

- Nie - komendant pokiwał głową. - Kilka tygodni temu zainteresował się nim pewien komisarz z wydziału gospodarczego.

- Rany! - westchnął naczelnik. - Przecież ten dureń może nas wszystkich wsypać. - Wzdrygnął się na samą myśl o takiej możliwości. Podszedł do barku, nalał drinka i wypił jednym haustem.

- Nie wsypie - komendant pośpieszył z zapewnieniem.

- Ten komisarz ma u mnie dług wdzięczności, kiedyś ochro-

niem jego tyłek, ratując go od zarzutu przyjęcia wysokiej łapówki.

- Akurat w tym przypadku jego wdzięczność może nie wystarczyć - syknął sędzia. - Nie porównuj tego z zarzutami łapówkarstwo. Nikt nie będzie ryzykował oskarżenia o ukrywanie dowodów takiego przestępstwa.

- Będzie - przerwał mu komendant. - Wystarczy mieć dowód, że on tę łapówkę wziął. A ja mam.

- A ja mam to gdzieś - warknął naczelnik. - Co z tym neseserem?

- Cóż... - komendant zawiesił głos.

- Nie masz go? - spytał sędzia.

- Czy go mam? - zirytował się komendant. - Stasiu, ten alkohol chyba wyplukał ci z mózgu resztki rozumu. Przecież gdybym miał ten neseser, to nie opowiadałbym wam o tym, że Maciek umieścił go w banku.

No tak, to logiczne - przyznał sędzia.

Jestem ci ogromnie wdzięczny, że się ze mną zgadzasz - komendant nawet nie próbował ukryć sarkastycznego tonu. Możemy się zająć w końcu tym neseserem? - wtrącił niecierpliwie naczelnik.

131

- Jutro rano jestem umówiony z dyrektorem tego banku. Pokażę mu pismo z Komendy Głównej Policji z prośbą o udostępnienie go na kilka godzin - uśmiechnął się Jakubski.

- Oczywiście pismo nie jest oryginalne? - rzekł sędzia Piękny.

- Oczywiście - zachnął się komendant.

- A jeśli dyrektor będzie oponował i zasłoni się tajemnicą bankową? - naczelnik Brzoza pochylił się na krześle.

- Wolałbym tego uniknąć - westchnął komendant. Sędzia już miał coś powiedzieć, ale policjant uciszył go jednym ruchem dłoni. - Na taki obrót wypadków też jestem przygotowany. Jeśli dyrektor będzie robił trudności, to mu pokażę kilka zdjęć. Bardzo ciekawych zdjęć - wyciągnął z kieszeni kopertę, z niej kilka fotografii, podał sędziemu.

- Ładna - Piękny aż cmoknął z podziwu. - A jakie ma balony.

- Mogą być - mruknął Jakubski. - Najważniejsze, że to nie jest jego żona.

- Słuchajcie - wtrącił się Brzoza. - Nie chciałbym wam przerywać kolejnej porcji rozrywki, ale jest jeszcze jedna rzecz dotycząca Maćka, która może nam się odbić czkawką.

- Jaka? - komendant zmarszczył brwi.

- Dwa dni temu bredził coś o jakimś księdzu, któremu jakoby miał się spowiadać z tego, co robi... - Brzoza zawiesił głos.

- Co?! - sędzia podskoczył na równe nogi.

- Ja też tak zareagowałem - naczelnik zagryzł wargi. - Wtedy zaczął mnie uspokajać, że to niczym nam nie grozi, bo księdza obowiązuje tajemnica spowiedzi. Że niby nie wiem, co by się działo, klecha nie może puścić pary z ust.

132

- Nawet jeśli chodzi o coś takiego? - spytał komendant Jakubski, nie dowierzając.

- Nawet - potwierdził Brzoza. - Ale to nie wszystko...

- Nie... - sędzia Piękny klapnął zrezygnowany na krzesło.

- Coś jeszcze?

- Maciek, zadowolony z siebie jak nigdy wcześniej, stwierdził, że wpadł na pewien genialny plan - naczelnik Brzoza zamilkł na chwilę, zmarszczył brwi, próbując sobie coś przypomnieć. - Wtajemniczył mnie w jego ogólny zarys, bez szczegółów. Ale muszę przyznać, że ma duże szanse powodzenia. I, panowie - podniósł wskazujący palec prawej ręki do góry - nie uwierzycie, co jest jego pewną korzyścią.

Rozdział 15

- Dlaczego nie połączyliście tych nazwisk wcześniej?

- spytał ksiądz Sambor, wpatrując się wyzywająco w twarz policjantów.

- A co tu było łączyć? - obruszył się Zielnicki. - Nazwiska są różne, a nie mamy w zwyczaju łączyć wnuków z dziadkami. Z rodzicami i owszem, ale z dziadkami nie.

- Może tym razem trzeba było to zrobić? - warknął wikary.

- Może - Bielska wstała z krzesła i wyszła zza biurka. - Ale gdybanie nic nam teraz nie pomoże, prawda? Proszę nam jeszcze raz powiedzieć, co się księdzu udało ustalić.

- Troje dzieci porwanych jako pierwsze: Adrianek, Rafałek i Sandra, ma związek z trzema rodzinami, które trzęsą tym miastem. Chłopcy to wnukowie, a dziewczynka to siostrzenica, jak się ich określa?

- Burżujów - podpowiedział Zielnicki.

- Burżujów - powtórzył wikary. - Pobuszowałem trochę w Internecie, znalazłem artykuł - położył na stole wydruk z drukarki - który opisuje, jak Maciej Bięda, nasz miejsce wy milioner, kilka lat temu został przez te rodziny, krótko mówiąc, zmieszany z błotem. Dali mu w czytelny i mało delikatny sposób do zrozumienia, że ze swoimi milionami nie pasuje do ich towarzystwa.

- Bo jego pieniądze śmierdzą nowobogactwem - wtrąciła Bielska, przeczytawszy szybko artykuł.

- Ale to chyba jeszcze nie powód, żeby porywać czyjeś dzieci i je w taki sposób mordować? - w głosie komisarza pobrzmiwała nuta sceptycyzmu.

134

- Słyszałam o błahszych motywach zbrodni - zauważyła policjantka.

- Wciąż to tylko poszlaki - Zielnicki zaczął nerwowo obgryzać paznokcie.
- Widziałem zdjęcie Macieja Biędy na stronie internetowej, na której były też umieszczone fotografie dzieci - skonstatował wikary.
- To już coś - Bielska pokiwała głową. - Jaka to strona? Ksiądz podał nazwę domeny, zaznaczając, że po wpisaniu hasła nastąpi przekierowanie. Zielnicki podszedł do komputera, wpisał coś na klawiaturze.
- Niech to - syknął komisarz. - Na serwerze, na którym zamieszczona jest ta strona, mają akurat przerwę techniczną.
- Sprawdzisz to za chwilę - poleciała Bielska. - A pozostała trójka? - zwróciła się do wikarego.
- Nie rozumiem? - zdziwił się.
- Znalazł ksiądz powiązanie trzech pierwszych dzieciaków z potencjalnym mordercą. A pozostałe? Też coś je z nim łączy? - wytłumaczyła.
- Nie mam zielonego pojęcia. Ktoś to dla mnie próbuje ustalić - odpowiedział wikary. - Ale czy sprawdzanie takich informacji to nie powinna być wasza działka? - spytał z przekąsem.
- Zielnicki, rusz tyłek i sprawdź to - poleciała nadkomisarz.

Policjant, zerkając spod byka na księdza, bez słowa wyszedł z gabinetu. Chwilę później zadzwonił telefon Bielskiej. Odebrała, przez chwilę w milczeniu słuchała osoby z drugiej strony słuchawki, by powiedzieć tylko: „Będę za dwie minuty”.

- Muszę księdza na chwilę zostawić samego - rzekła, zakończywszy rozmowę. - Ale może nie tutaj, proszę sobie 135

spocząć w tym pokoju - otworzyła drzwi i wskazała dłonią na pomieszczenie znajdujące się naprzeciw jej gabinetu.

- W pokoju przesłuchań? - zdziwił się, zobaczywszy tabliczkę na ścianie.
- Tylko na chwilę - uśmiechnęła się niewyraźnie. - Tutaj na pewno nikt księdzu nie będzie przeszkadzał.
- Dobrze - westchnął. - W takim razie poczekam tutaj.

\$

Minęły może ze dwie minuty, odkąd Bielska zostawiła księdza Sambora w pokoju przesłuchań, gdy zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz, numer był zastrzeżony.

- Słucham - powiedział, odebrawszy połączenie.
  - Szczęść Boże, proszę księdza.
- Choć głos był zniekształcony, wikary rozpoznał go od razu.
- To ty - stwierdził krótko.
  - A gdzie „Szczęść Boże” albo „Bóg zapłać”?
  - Czego chcesz? - warknął. - I skąd masz numer mojej

komórki?

- Ależ ksiądz jest niegrzeczny.
- Odpowiedz na moje pytanie albo...
- Albo co? - przerwał mu. - Co ksiądz zrobi? Rozłączy się? Wtedy się ksiądz nie dowie pewnej bardzo ważnej rzeczy.
- Skąd masz numer mojej komórki? - powtórzył pytanie, ale już znacznie spokojniejszym tonem.
- To chyba nie jest istotne. Jest wiele ważniejszych spraw.
- Na przykład?
- Dwie godziny.
- Co: „dwie godziny”?
- Małe aniołki wkrótce pójną do nieba. A dokładniej, właśnie za dwie godziny. Tyle im zostało życia.
- Jak możesz, potworze! To są dzieci, dlaczego... - nie do-

136  
kończył zdania, usłyszawszy w słuchawce głuchy sygnał zerwanego połączenia. Zerknął na zegarek, była 23.00. Dwie godziny. Potarł dłonią zmęczoną twarz. Poczł się nagle tak zmęczony i stary, jakby przybyło mu dwadzieścia lat. Jeszcze raz spojrzł na zegarek, zamyślił się na ułamek sekundy, po czym wyszedł z pokoju przesłuchań, przeszedł korytarzem do głównego wejścia i, nie zatrzymywany przez nikogo z dyżurki, wyszedł z komendy.

Biełda schował komórkę do kieszeni i szeroko się uśmiechnął, spoglądając na ekran monitora księdza Sambora, który włączył, włamawszy się do mieszkania na plebanii.

- Wszystko idzie zgodnie z planem - szepnął zadowolony sam do siebie, wpisując na klawiaturze ciąg poleceń. Chwilę później na stronie internetowej, na której znajdowały się fotografie porwanych dzieci, zaszła zmiana. Zdjęcie Biełdy znikło, w jego miejsce pojawiła się fotografia roześmianej twarzy wikarego.

- Tak, trzeba nieskromnie przyznać, że jestem genialny Biełda uśmiechnął się jeszcze szerzej i zadowolony wyłączył komputer.

Bielska, wróciwszy do pokoju przesłuchań i nie zastawszy tam księdza, wyciągnęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła do Zielnickiego, pytając, czy wie, gdzie jest wikary. Gdy usłyszała, że nie, natychmiast poszła do dyżurki.

- Wychodził tędy przed chwilą ksiądz? - spytała oficera dyżurnego.

- Tak, jakiś kwadrans temu wyszedł tędy jeden taki.

- Dlaczego go wypuściliście?

- A ktoś kazał go zatrzymywać? Nie miałem żadnego rozkazu w tej sprawie - zdziwiony wzruszył ramionami.

137

- Świetnie - syknęła przez zęby, odwracając się na pięcie i wychodząc na korytarz.

- Co się stało? - spytał Zielnicki, który akurat pojawił się



przed dyżurką.

- Nasz ksiądz sobie poszedł - odpowiedziała.

-Co?!

- Wyszedł sobie stąd jak gdyby nigdy nic.

- A ty gdzie byłaś? Myślałem, że z nim zostałaś.

- Komendant mnie wezwał do siebie, zostawiłam księdza w pokoju przesłuchań. Nie miałam pojęcia, że się nam zerwie - Bielska złapała się za głowę.

- Na jego miejscu zrobiłbym to samo - oświadczył nagle.

- Dlaczego?

- Popatrz - podał jej plik kartek. - To jest wydruk strony internetowej, którą podał.

- No, widzę tu porwane dzieci, najpierw jest troje już nieżyjących - przełożyła pierwszą kartkę na spód - potem po zostały.

- Spójrz na sam dół strony, poniżej tego napisu „Ich koniec jest bliski. Małe aniołki wkrótce pójda do nieba”. To, o co chodzi, wydrukowało się na trzeciej kartce.

- Boże święty! - krzyknęła na widok zdjęcia roześmianej twarzy księdza Sambora. - To on!

- A myśmy go zgubili - pokręcił głową z niedowierza niem.

- Boże święty - powtórzyła, opierając się plecami o ścianę.

- Co teraz?

- Musimy go namierzyć i to szybko.

- Raczej nie spodziewam się, że znajdziemy go w tym momencie na plebanii.

- Masz numer jego komórki?

- Powinien być na jego dzisiejszym zeznaniu, kopię mam 138

u siebie - Zielnicki zerwał się i ruszył biegiem. - Namierzymy go po telefonie, o ile ma włączony - krzyknął już z oddali.

- Oby - szepnęła, błada jak kartki papieru, które wciąż trzymała w dłoniach.

Ksiądz Sambor, opuściwszy komendę, wsiadł do swojego samochodu i ruszył. Tylko przez chwilę zastanawiał się, dokąd jechać. Nie miał najmniejszego pojęcia ani żadnej wskazówki, gdzie morderca może przetrzymywać pozostałe dzieci. Jedynym miejscem, gdzie mógł znaleźć jakikolwiek trop, był dom porywacza. Na szczęście adres sprawdził jeszcze zanim przyjechał na rozmowę z policjantami. Dojazd zabrał mu dwanaście minut. Kolejnych pięć potrzebował na to, aby przeskoczyć wysokie ogrodzenie i dotrzeć do tyłu domu. Podszedł do drzwi tarasowych i, nie bawiąc się w zbędne ceregiele, rzucił w szybę stojącą obok doniczka. Szkło ledwie się zarysowało, ale nie pękło, za to doniczka rozsypała się w drobny mak. - Niech to - syknął przez zęby, szukając wzrokiem czegoś, co lepiej nadawałoby się na taran. Przy basenie stała figura krasnala z lampą w dłoni. Nie na-

myśląc się długo, chwycił krasnala pod rękę, wziął krótki rozbieg i ruszył w stronę drzwi. Tym razem szyba pękła na drobne kawałki. Odłożył pokiereszowaną figurę, ostrożnie przełożył rękę przez wybitą dziurę, namacał klamkę i otworzył drzwi.

Pobieżne przeszukanie wszystkich pomieszczeń zajęło mu niemal kwadrans. Nie znalazłszy niczego ciekawego, postanowił skupić się na pokoju, który najwyraźniej pełnił funkcję gabinetu. Przetrzęsnał wszystkie szuflady i szafki, zajrzał za obrazy wiszące na ścianie, bez rezultatu. Już miał wyjść, gdy jego wzrok spoczął na małym śmietniku, stojącym obok

139  
wielkiego biurka z litego drewna. Wysypał odpadki na blat, po kolei przeglądając każdy śmieć. Kiedy trafił na fakturę opłacającą wynajęcie starej hali przemysłowej przy ulicy Inżynierskiej, wiedział, że znalazł to, czego szukał.

- Namierzyli go - Zielnicki podniósł do góry zaciśniętą w geście triumfu pięść. - Nie zgadniesz, gdzie jest w tej chwili.

- Gdzie? - spytała Bielska.

- W domu Macieja Biędy.

- Jedziemy! - rzuciła. - Wezwij posiłki i helikopter.

- Może do niego zadzwonić?

- Pod żadnym pozorem! Spłoszymy go i wyłączy telefon

- rzuciła w biegu.

Dojechanie na miejsce i znalezienie właściwego adresu zabrało wikaremu ponad pół godziny. Tyle, bo ulica Inżynierska była długa niemal na dwa kilometry, a od połowy po obu jej stronach ciągnęły się dziesiątki hal przemysłowych. Ta, której szukał, znajdowała się na końcu, niemal w lesie.

Zaparkował auto na poboczu drogi, zgasił silnik, ze schowka wyjął latarkę, z bagażnika klucz do odkręcania kół i tak uzbrojony ruszył w stronę bramy.

Gdy ksiądz Sambor kluczem do odkręcania kół próbował zerwać kłódkę wiszącą na bramie wjazdowej, Zielnicki z Bielską i kilkoma innymi policjantami właśnie okrążyli dom Biędy. Kiedy komisarz dostrzegł wybitą szybę

140  
w drzwiach od tarasu, ruchem ręki nakazał Bielskiej zachowanie absolutnej ciszy. Wolno podszedł do drzwi, pchnął je lekko i ubezpieczony przez partnerkę wszedł ostrożnie do środka, za nim reszta funkcjonariuszy. Policjantom wystarczyły trzy minuty, żeby sprawdzić cały budynek.

- Nie ma go - rzucił nerwowo komisarz.

- To widzę - prychnęła Bielska. - Sprawdź telefon.

Zielnicki wyciągnął z kieszeni komórkę, wybrał numer,

przez chwilę rozmawiał.

- Jest na końcu Inżynierskiej. Od kilku minut prawie wcale się nie przemieszcza.

- Co jest przy tej ulicy?

- Baraki - spojrział na policjantkę, blady jak ściana. - Całe mnóstwo baraków.

Nagle, bez słowa, oboje rzucili się biegiem do samochodów, przywołując pozostałych funkcjonariuszy.

Rozdział 16

Dzień 9 (czwartek)

Uporawszy się z kłódką, ksiądz Sambor podszedł do hali, rozglądając się dookoła. Złapał ostrożnie za uchwyt, próbując delikatnie pchnąć, drzwi puściły od razu. Wszedł, w środku panował półmrok. Przez brudne okna próbowało przebijać światło z ulicznych latarni, niektóre szyby były wybite, a dziury zasłonięto kawałkami dykty. Zmrużył oczy, próbując przyzwyczaić je do ciemności, by rozpoznać topografię terenu. Spojrział na zegarek, dochodziła 0.45. Zostało mu piętnaście minut!

- Halo! Jest tu kto? - krzyknął, robiąc krok naprzód. Odczekał kilka sekund, wciąż przyzwyczajając oczy do półmroku. Chwilę potem obraz nieco się wyostrzył, na tyle, żeby mógł zobaczyć kilka wysokich kopców ziemi.

- Halo! Jest tu kto? - zawołał raz jeszcze.

Cisza.

Podszedł do pierwszego kopca, minął go z lewej strony i niemal wpadł do wykopanego obok dołu. Ostrożnie podszedł do krawędzi, wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do środka. Tam było jeszcze ciemniej niż w hali, ale to, co dostrzegł, poznał od razu. Charakterystycznej bieli otwartych ludzkich oczu nie sposób pomylić z żadnym innym widokiem.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

W odpowiedzi zobaczył potaknięcie głową.

- Dlaczego nie krzyczałeś, gdy wołałem? - zapytał ponownie.

- Nie mogę - usłyszał cichy głos, niemal szept. - Krzyki wywołują drgania, które odbijają się od konstrukcji hali i powodują osuwanie się piasku. I mnie zasypie. Tak powiedzia

142

ten pan. Raz, gdy zawołałem, na głowę spadło mi mnóstwo piachu. Bałem się wtedy, że się uduszę.

- Zaczekaj, zaraz cię stąd wyciągnę - powiedział, rozglądając się w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby posłużyć do pomocy.

- Niech pan się pośpieszy, ten pan zaraz przyjdzie - głos dziecka zaczął przechodzić w płacz.

- Skąd wiesz?

- Gdy przyniósł nam dzisiaj wodę, powiedział, że jak wróci, to nas wszystkich pozabija.

- Powiedział „nas”? To jest was tu więcej?

- Są jeszcze inne dzieci, w innych dziurach. To chyba dwie

dziewczynki.

- Słodki Jezu...

- Jezus tu nic nie pomoże, proszę księdza - na dźwięk tych słów wikarego przeszły dreszcze. Obrócił się. W drzwiach, cztery metry od niego, stał Maciej Bięda.

- Mój drogi księże, cały ten interes zostanie przypisany tobie. A ty się z tego nie wywiniesz, bo już nie będziesz żyć Bięda wyciągnął zza pazuchy pistolet, odbezpieczył go.

Wikary bezwiednie, w nagłym przypiływie złości, zły, że to on zostanie uznany za mordercę, który dopuścił się takich strasznych czynów, zrobił krok wprzód.

- Nawet o tym nie myśl - Bięda pomachał bronią.

Ksiądz Sambor przystanął w pół kroku. Myśli plątały mu się po głowie. Nie wiedział, co robić. Czuł, że koniec jest już bliski.

- Oszczędzę ci dylematu - morderca wycelował. Wikary zamknął oczy, czekając na huk wystrzału, ale ten nie nastąpił. Otworzył oczy, by zobaczyć, jak Bięda, ogromnie zdziwiony, podnosi pistolet na wysokość twarzy.

143

Widząc to, ksiądz rzucił się na niego. Bięda wycelował szybko broń w jego stronę i kolejny raz pociągnął za spust. Tym razem pistolet wystrzelił, ale wikary zdążył dobiec do strzelca. Lewą dłonią uderzył w prawą rękę napastnika na wysokości łokcia, podbijając ją w górę tak, że pocisk poszybował w stronę dachu. Chwycił go za rękę, próbując wytrząsnąć broń z dłoni. W odpowiedzi Bięda uderzył go lewą ręką w głowę, ksiądz rozluźnił nieco uchwyt, próbując zasłonić się przed kolejnym ciosem. Nagłym balansem ciała przesunął się w stronę prawego boku napastnika, cały czas trzymając rękę z pistoletem w uścisku. Bięda, sapiąc, kopnął wikarego w gołeń, ten upadł, pociągając mordercę za sobą. Padając na ziemię, w rozpaczliwym geście obrony ksiądz Sambor spróbował odepchnąć broń jak najdalej od siebie, przyciskając ją do piersi napastnika. Nagle pistolet wystrzelił i Bięda zwałił się na wikarego, wciąż leżącego na ziemi.

Przez kilka sekund leżeli tak obaj, chwilę później ksiądz Sambor usłyszał charczenie i poczuł na twarzy coś lepkiego i ciepłego. To była krew. Z odrazą odepchnął ciało Biędy które, przewróciwszy się na ziemię, wzbilo tuman kurzu. Wikary ukląkł przy napastniku, gdy ten raptownie otworzył oczy.

- Nie zostawiaj mnie - szepnął Bięda. - Wyspowiadaj mnie - z zalanych krwią ust wydobywały się czerwone pęcherzyki powietrza.

- Nie, tylko nie to, Boże błagam - szepnął wikary.

- Wyspowiadaj mnie, ojcze - złapał księdza za dłoń.

- Mów - powiedział cicho, zamykając na chwilę oczy.

Spowiedź trwała pięć minut, umierający Bięda niemal ze wszystkimi szczegółami opowiedział spowiednikowi o tym, co on i jego kompani robili porwanym dzieciom, a także jak on sam je później torturował i mordował.

144

Kiedy zaczął opowiadać, jak umierała Sandra, ksiądz nie wytrzymał, odwrócił głowę i zwymiotował. Gdy spojrzał ponownie na Biędę, ten milczał, jego oczy patrzyły martwo przed siebie, a usta uśmiechały się w tragikomicznym geście. Przytknął palce do szyi, sprawdzając puls. Morderca nie żył. Wstał, wycierając ze wstrętem spocone dłonie w spodnie, odwrócił się, chcąc podejść do dziury, gdy w tym momencie budynkiem targnęła potężna eksplozja. Drzwi znajdujące się za nim wyleciały z zawiasów, a pęd powietrza cisnął je w drugi koniec pomieszczenia. Przelatując obok księdza wywołały powietrzny wir, który obrócił nim i rzucił na ziemię. Huk wybuchu ogłuszył go na tyle mocno, że niemal nic nie słyszał.

- Stać! Nie ruszać się! Policja! - krzychały ubrane na czarno postacie, które wpadły do środka, rozbiegając się na wszystkie strony. Jedna z nich stanęła nad księdzem.

Nie ruszaj się! - krzyknęła postać, gdy wikary podniósł prawą dłoń, aby przetrzeć zakurzoną twarz. - Powiedziałem: nie ruszaj się!!! - wrzasnęła, jednocześnie przystawiając lufę karabinu do jego głowy. W tym czasie drugi policjant założył mu kajdanki.

- Ten jest już martwy - krzyknął kolejny z funkcjonariuszy, stojąc nad zwłokami Biędy.

- Gdzie są dzieci? - spytał policjant, przykładając usta niemal do uszu wikarego, aby przekrzyczeć huk helikoptera latającego nad halą.

Ksiądz Sambor zadarł powoli głowę do góry, by zobaczyć, jak dach drga od wibracji powodowanych przez maszynę. (Odwrócił głowę w stronę kopców, dostrzegając jak drobiny piasku turlają się, spadając do dziury. Nagle, w tle zawodzenia silników, usłyszał głos wołający o pomoc.

- Zabierzcie stąd ten helikopter! - krzyknął w stronę funkcjonariusza. - Błagam, zabierzcie stąd ten helikopter. Dzieci

145

są w dziurach w ziemi - wskazał głową w stronę jam. - Na głowy sypie im się piasek, uduszą się, jeśli nie zabierzecie stąd tej przeklętej maszyny!

Policjant popatrzył na niego tępym wzrokiem, wolno odwrócił głowę w kierunku kopców. Ułamek sekundy później z błyskiem zrozumienia w oczach szarpnął za krótkofalówkę przytroczoną do paska.

- Zabrać mi stąd helikopter! Natychmiast!!! - wykrzyczał.

- Dzieci są w dziurach wykopanych w ziemi. Natychmiast je wyciągnąć! - polecił funkcjonariuszom.

Dwie sekundy później warkot silników zaczął się odda-

lać, by po chwili ucichnąć całkowicie. Wtem jak spod ziemi w hali zjawilo się kilka kolejnych na czarno ubranych postaci, przy każdej jamie stanęły trzy. Jedna obwiązała się liną i, przytrzymywana przez dwie pozostałe, opuściła się na dół. Po minucie dzieci były już bezpieczne na powierzchni. Maluchy były brudne, buzie miały strasznie umorusane. Każdy ruch powodował sypanie się piasku z włosów, rękawów i nogawek.

- Jestem policjantem, już nic ci nie grozi - powiedział funkcjonariusz do chłopca stojącego najbliżej księdza. - Jak masz na imię?

- Aleks - szepnął maluch. - Ja chcę do mamy, chcę do mamy - zaczął płakać.

- Zaraz cię do niej zawieziemy, zaraz cię zawieziemy - policjant wziął chłopca na ręce i przytulił mocno do siebie. Przechodząc obok wciąż leżącego na ziemi księdza, spojrzął na niego wzrokiem pełnym odrazy, kiwając głową i zaciskając przy tym usta.

Do hali weszła Bielska, podeszła do wikarego, spojrziała mu w oczy i, nie odezwawszy się do niego, zwróciła się do funkcjonariusza.

- Zabierzcie go na komendę - poleciła beznamiętnym tonem.

146

Dwaj policjanci wzięli go pod ręce i zaprowadzili do stojącego na dworze radiowozu. Jeden otworzył drzwi, drugi pomógł mu wsiąść, trzymając za głowę, po czym zatrzęsął je, a sam zajął miejsce obok kierowcy.

Kiedy samochód ruszył, ksiądz Sambor spojrzął za siebie przez tylną szybę, by zobaczyć wciąż stojącą tam policjantkę. Ona też go zobaczyła. Ich oczy spotkały się, spojrzeli na siebie. Chwilę później zamknął powieki, spod których popłynęły łzy.

Kwadrans później wikary siedział na niewygodnym krześle w pokoju przesłuchań, tym samym, w którym był dwie godziny wcześniej.

- Czy mógłbym wreszcie dostać coś do picia? - spytał cicho funkcjonariusza siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Pić się zachciało? - policjant nachylił się w jego stronę.

Popatrz, popatrz. To teraz pewnie ksiądz rozumie, jakie pragnienie czuły te dzieciaki, siedząc godzinami w tych ziemiankach, bez kropli wody?

- Ja ich tam nie wrzuciłem. Ile razy mam to panu powtarzać? Jestem niewinny! - krzyknął, nagle głos ugrzązł niu w gardle, zaczął kaszleć.

- Tak, już ksiądz mówił, że jest niewinny. Nie trzeba tego w kółko powtarzać - policjant pokiwał głową.

- To dlaczego mnie tu trzymacie? - chciał się pochylić w stronę stołu, ale przeszkodziły mu kajdanki przepięte przez oparcie fotela.

- Bo jakoś nie wierzymy, że ksiądz jest niewinny - uśmiech-

nał się szeroko, odsłaniając zepsute zęby.

- To spytajcie tego chłopca. On wam powie, że chciałem go ratować, gdy do środka wszedł ten porywacz.

- Chłopca już pytaliśmy.

-I co?!

147

- Słyszał, jak ksiądz się z kimś kłócił - zrobił pauzę. - Pewnie poszło o to, który z was pierwszy się do niego dobierze, co? Ale z księdza menda... - spojrzał mu głęboko w oczy.

- Koniec tego migdalenia się - do pokoju weszła nadkomisarz Bielska w towarzystwie starszego stopniem policjanta.

- No, Mirek, zmykaj.

- Jest wasz - funkcjonariusz wstał zza stołu. - A szkoda, bo chętnie bym sobie jeszcze z nim pogadał. Ale w inny sposób. Po swojemu - rzucił, zamykając za sobą drzwi.

- To jest zastępca komendanta miejskiego policji, Albert Jakubski - Bielska przedstawiła towarzyszącego jej policjanta.

- Siedzi ksiądz tutaj od godziny i nie chce nic powiedzieć

- policjant usiadł na stole tak, aby być jak najbliżej przesłuchiwanego. - Dlaczego? Złoży ksiądz zeznanie, podpisze je i będzie mógł pójść spać. Jest grubo po drugiej w nocy, nie jest ksiądz zmęczony? Nie chce się spać? Z tego, co słyszałem, to ostatnie noce miał ksiądz bardzo pracowite. Więc jak?

- Już mówiłem: jestem niewinny - powtórzył wikary szepem.

- Znowu to samo - komendant klasnął w dłonie, aż ksiądz Sambor się wzdrygnął. - Jest ksiądz bardzo uparty.

- Mam się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłem? - zmarszczył brwi.

- Dobrze - powiedział policjant. - Skoro ksiądz się upiera, że jest niewinny, to niech ksiądz złoży szczegółowe zeznanie i dokładnie opisz swój udział w tej sprawie. Na przykład skąd zna Macieja Biele? Co księdza z nim łączy...

- Nie mogę - rzekł cicho.

-Co?!

- Nie mogę - powtórzył głośnie.

- A niby dlaczego? - podszedł do niego wolnym krokiem, z bliskiej odległości zajrzał mu głęboko w oczy. - Czyżby miał ksiądz coś do ukrycia?

148

- Nie mogę złożyć zeznania.

- Jak ksiądz chce - wyprostował się, zniecierpliwiony.

Jadę do domu, wy tu jeszcze nad nim trochę popracujcie, a potem na dołek go. Sam tego chciał - zwrócił się do Bielskiej.

- Tak jest - odpowiedziała. Gdy komendant wyszedł, usiadła po drugiej stronie stołu.

- Ale ksiądz pogrywał. Niemal dałam się nabrać na te opowiadki - westchnęła. - Jeszcze nikt mnie tak nie oszukał. Mało brakowało, a kolejna trójka dzieci straciłaby przez

to życie - wzdrygnęła się, czując przechodzący po plecach dreszcz. - Na szczęście te trzy maluchy, które ma ksiądz na sumieniu, były ostatnimi.

Spojrzał na nią rozbieganym wzrokiem. W głowie wciąż szumiło mu po wybuchu, w ustach czuł piasek, który zgrzytał między zębami przy każdym ruchu szczęki, wykręcone nienaturalnie ręce bolały od zaciśniętych kajdanek. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale zmarszczył tylko brwi i spuścił głowę w dół.

- Wiem, że pewnie pani w to nie uwierzy, ale jestem niewinny - szepnął.

- Ma ksiądz rację: nie uwierzę w to.

- Może mi pani przynieść wody?

- Wiem, że pewnie ksiądz w to nie uwierzy, ale akurat mamy awarię wodociągu - wycedziła, po czym wstała i wyszła z pokoju.

Część trzecia

Proces

Rozdział 17

Policjanci niemal do 4.00 trzymali księdza Sambora w pokoju przesłuchań, bez kropli wody i grama jedzenia. Kiedy wreszcie nad ranem - porę dnia rozpoznał, gdy został wyprowadzony na korytarz i w oknie zobaczył promyki wschodzącego słońca - prowadzili go do radiowozu, kajdankami skutego za ręce i nogi, miał wrażenie, że gdyby nie pomoc funkcjonariuszy, upadłby. Ból z ramion, nienaturalnie wykręconych od kilku godzin, promieniował na barki, szyję i odcinek piersiowy kręgosłupa. Każdy, nawet najmniejszy ruch głową, wywoływał zawroty, od których tracił równowagę. W ustach mu kompletnie zaschło, język był tak skołowaciały, że z trudem nim poruszał, a wargi spierzchnięte, jakby dopiero co wędrował przez pustynię.

- Tędy - jeden z policjantów szarpnął za lewą rękę, próbując skierować aresztanta w odpowiednie drzwi, ten jednak, straciwszy równowagę, poślizgnął się i runąłby niczym kłoda, gdyby nie przytrzymał go drugi z mundurowych. Jednakże silny uchwyt, jaki zastosował konwojent, był o wiele za mocny. Wikary poczuł przejmujący ból w prawym ramieniu, osunął się na posadzkę.

- Chyba mu wyskoczył bark - zawyrokował drugi policjant, pochyliwszy się nad wijącym się z bólu księdzem.

- Nastawią mu w areszcie - syknął pierwszy funkcjonariusz, próbując siłą podnieść aresztanta. W tym momencie ksiądz Sambor zemdlał. - To nawet lepiej, szybciej z nim pójdzie - zawyrokował.

Policjanci podnieśli wikarego i, jakby to był worek ziemniaków, a nie żywy człowiek, cisnęli na tył radiowozu. Kwa-  
152

drans później ksiądz, wciąż nieprzytomny, był w areszcie śledczym przy ulicy Zabuzkańskiej. W sali szpitalnej lekarz



dyżurny nastawił mu bark, zaaplikował środki przeciwbólowe i tak zaopatrzonego zawieziono go do celi.

Obudziła go kapiąca z sufitu woda, padająca wprost na czoło. Otworzył oczy, by natychmiast zmrużyć je, w reakcji na intensywne światło żarówki. Przyłożył dłoń do czoła i w ten sposób zabezpieczony podniósł powieki raz jeszcze, rozglądając się wokół.

Znajdował się w pomieszczeniu mającym trzy metry na dwa, bez pryczy, jedynie ze starym, wytartym i śmierdzącym zgnilizną materacem, rzuconym wprost na posadzkę. Okna tu nie było, tak samo jak sedesu. Podniósł się powoli, opierając się na zdrowej ręce. Podszedł do ściany, w rogu zobaczył ziejącą w posadzce dziurę, najwyraźniej robiącą za ubikację, co można było poznać po dolatującym z niej odorze.

- Spacer! - aż wzdrygnął się na krzyk, jaki doleciał zza drzwi. Po chwili usłyszał szczęk otwieranego zamka i ujrzał w drzwiach strażnika.

- Dwa razy nie będę powtarzał - warknął klawisz.

- Która jest godzina? - spytał wikary.

- Gówna to księdza obchodzi - syknął. - Marsz na spacerniak.

- O tej porze?

- Dla specjalnych aresztantów mamy specjalne traktowanie.

Chwilę później wikary, prowadzony przez strażnika, dotarł do klatki otoczonej ze wszystkich stron murem, a od góry siatką przetkaną drutem kolczastym, nazywanej dumnym mianem spacerniaka.

Poczuł na twarzy powiew świeżego, chłodnego porannego

153  
powietrza, pierwszy raz od momentu aresztowania. Uśmiechnął się, biorąc głęboki wdech. W tym samym momencie, gdy porcja świeżego tlenu dotarła do płuc, poczuł potężne uderzenie w plecy, dokładnie na wysokości nerki, ułamek sekundy później w brzuch. Padając na kolana, próbował spazmatycznie nabrać powietrza, które uderzenie wyparło z płuc. Zdażył tylko jeszcze obrócić głowę na tyle, aby dostrzec, jak potężna pięść zmierza w jego stronę. Miał wrażenie, że cios, który otrzymał, roztrzaskał mu szczękę. Momentalnie stracił przytomność.

Ocknął się dopiero, gdy strażnik chlusnął mu w twarz wodą. Poczuł piekący ból, skrzywił się. Powoli podniósł się z kolan, przy okazji urażając prawy bark, syknął z bólu i ponownie upadł. W końcu przy wydatnej pomocy klawisza udało mu się wstać. Wytarł wierzchem dłoni krew z rozbitego nosa.

- Dziękuję - szepnął.

- Słuchaj, ksiądz - syknął klawisz, rozglądając się nerwowo. - Nie robię tego dlatego, że mi ciebie żal. Gardzę tobą i nie mam zamiaru mieć z tobą cokolwiek wspólnego. Nie

chcę tylko mieć problemów. A niewątpliwie miałbym je, gdybyś wykitował na mojej zmianie - odcharknął i splunął na ziemię. - Ale jeśli któryś z chłopaków wsadzi ci kosę nie na mojej służbie, nic mi do tego. Wręcz ucieszyłbym się, że cię dopadli. Szmaciarzu - odcharknął raz jeszcze, ale tym razem splunął wikaremu prosto w twarz.

Strażnik, nie pozwoliwszy mu się nawet umyć, odprowadził go z powrotem do celi, by pół godziny później zaprowadzić aresztanta do sali widzeń. W środku czekał już szpakowaty mężczyzna z aktówką pod pachą.

154

- Co się stało, proszę księdza? - spytał.

Wikary, zarośnięty, z podbitym lewym okiem, opuchniętym nosem i wargami, wyglądał, jakby przed chwilą stoczył dwunastorundową walkę z bokserem wagi superciężkiej i to bynajmniej nie wygraną.

- Miałem ciężką noc i jeszcze gorszy poranek - w zgorzkniałym głosie wikarego przebijało zmęczenie. - Kim pan jest?

- Adwokatem księdza - odparł, siadając do stołu. - Nazywam się Albin Marcinkowski.

- To ja potrzebuję obrońcy? - zdziwił się. - A gdzie w ogóle jestem, bo nikt nie był uprzejmy mi niczego wyjaśnić.

- W areszcie śledczym przy ulicy Zabużańskiej. W takim miejscu jak to nikt niczego nie wyjaśnia, a już na pewno nie w uprzejmy sposób. Czego zresztą, jak widzę po twarzy, już się ksiądz dowiedział.

- Odbyłem małą rundkę na spacerunku...

- Spacer o szóstej rano?

- Też się zdziwiłem.

- Pierwsza noc w areszcie dla każdego jest ciężka - pokiwał głową. - Ale takiego czegoś to jeszcze nie widziałem - wstał i podszedł do księdza. - Spytam jeszcze raz: co się stało?

Wikary pokrótce opowiedział mu o wydarzeniach, jakie spotkały go pierwszej nocy po zatrzymaniu.

- Cela? To chyba karcer, a nie cela. Żeby nie było pryczy i sedesu? - zdziwił się adwokat.

- Podobno to jedyna pojedyncza cela w tym hotelu. Takiego określenia użył strażnik, zanim mnie tu przyprowadził.

- I pewnie wrzucili tam księdza dla bezpieczeństwa? - nawet nie próbował ukryć ironii.

Wikary w milczeniu wzruszył ramionami i znów syknął z bólu, ponownie uraziwszy obolały bark.

- Teraz omówimy dzisiejsze przesłuchanie, które zacznie

155

się za dwie godziny. A potem pójdę do naczelnika tego burdelu - stwierdził Marcinkowski, otwierając teczkę i wyciągając z niej plik dokumentów oraz długopis. - Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co się stało.

- Obawiam się, że to nie jest takie proste...

- Nie rozumiem?

- Z pewnych względów, których nie mogę panu ani zresztą nikomu innemu wyjawić, nie wolno mi dzielić się niektórymi informacjami.

- Cóż - westchnął. - W takim razie niech ksiądz chociaż opowie o tym, o czym może mówić.

Wikary w kilkanaście minut zrelacjonował obrońcy wydarzenia ostatnich dni, pomijając te informacje, które Maciej Bielda przekazał mu podczas spowiedzi.

- Czyli, jeśli dobrze rozumiem - adwokat zaczął bezwiednie gryźć długopis - zainteresował się ksiądz porwaniami oraz morderstwami dzieci i rozpoczął prywatne śledztwo. Skontaktował się ksiądz z dziennikarzem lokalnej gazety, załatwił też nagranie z kamery przemysłowej szkoły muzycznej, by potem włamać się do WORD-u i tam skopiować nagranie z kamery umieszczonej na samochodzie egzaminacyjnym.

Nadażam?

- Na razie tak.

- Potem dzięki temu nagraniu rozpoznał ksiądz porywacza, namierzył go, dał o tym znać policji, a w końcu gdy ten do księdza zadzwonił, mówiąc, iż wkrótce zabije pozostałe dzieci, pojechał ksiądz do niego do domu, tam znalazł ślad, który zaprowadził do hali na Inżynierskiej. Tam doszło do szamotaniny pomiędzy księdzem i porywaczem, w wyniku której ten drugi został przypadkowo postrzelony i zginął.

Tak?

- Mniej więcej tak to wszystko wyglądało.

- Wie ksiądz, co? - adwokat poprawił się na krześle, patrząc

156  
wikaremu prosto w oczy. - Obawiam się, że prokurator w to nie uwierzy. Za dużo tu niedomówień, delikatnie mówiąc.

- To, że jestem w areszcie śledczym, a nie policyjnym, o czymś świadczy, prawda? - spytał w odpowiedzi, ignorując wcześniejszą uwagę prawnika.

-Tak.

- O czym?

- O tym, że prokuratura jest przekonana, iż ma tak mocne dowody winy księdza, że sąd zastosuje areszt tymczasowy.

- Winy?

- Nie rozumiem?

- Powiedział pan, że prokuratura sądzi, iż ma mocne dowody mojej winy. A co ja niby miałem zrobić?

- Teraz to ksiądz chyba żartuje? - podniósł brwi w geście zdziwienia.

- Bynajmniej.

- Naprawdę ksiądz nie wie, o co prokuratura chce księdza oskarżyć?!

- Naprawdę nie wiem - odpowiedział wyraźnie zniecierpliwiony.

- O współudziale w porwaniu, torturowaniu i zamordowa-

niu trojga dzieci, a także w porwaniu i usiłowaniu pozbawienia życia kolejnej trójki dzieci oraz zabójstwa Macieja Biędy, księdza współnika.

- Mojego współnika?! - poderwał się z krzesła.
- Tak twierdzi prokuratura, ale szczegółów nie znam, nie zdążyłem jeszcze zapoznać się z aktami sprawy.
- Musi mi pan pomóc - usiadł z powrotem. - Jestem niewinny, a tego człowieka, o którym pan mówi, Macieja Biędy, wcześniej na oczy nie widziałem.
- Żeby mi mógł księdzu pomóc, najpierw ksiądz musi pomóc mi.
- W jaki sposób?

157

- Podając więcej informacji - pstryknął długopisem. - Tylko w ten sposób będziemy mogli przyjąć linię obrony i spróbować oczyścić księdza z zarzutów. Podkreślam: spróbować, bo jak na razie ta sprawa wygląda na skomplikowaną i, wręcz beznadziejną. Obawiam się, że innego określenia nie jestem w stanie znaleźć...
- Więcej informacji? Kiedy ja nie mogę panu nic więcej powiedzieć!
- Dlaczego? Kogoś się ksiądz obawia?

-Nie.

- Ochronia ksiądz kogoś?...

Wikary nic nie odpowiedział, patrzył na adwokata.

- Nie mogę powiedzieć - odparł po chwili namysłu.
- Świetnie - zachnął się Marcinkowski. - Na pytanie, dlaczego ksiądz nie może powiedzieć niczego więcej, też pewnie nie usłyszę odpowiedzi?

-Nie.

- Cudownie. Po prostu cudownie - zaczął pakować papiery do aktówki. - Teraz pójdę do naczelnika aresztu interweniować w sprawie warunków, w jakich ksiądz przebywa. Potem zapoznam się z aktami sprawy, gdy tylko prokuratura mi je udostępni. Zobaczymy się za dwie godziny na wstępnym przesłuchaniu.

- Dobrze.

- A księdzu radziłbym, żeby przez ten czas dobrze się zastanowić, czy mądrze ksiądz robi, decydując się na milczenie.

Adwokat księdza Sambora, przekroczywszy próg gabinetu naczelnika więzienia, od razu przeszedł do sprawy.

- Czytał pan „Hrabiego Monte Christo” Aleksandra Dumasa ojca? - spytał.

158

- Czytałem - twarz naczelnika rozjaśnił szeroki uśmiech, jakby domyślał się, w jakim kierunku zmierza rozmowa.
- Klitka tak mała, że stojąc przy drzwiach nosem zaważda się o przeciwległą ścianę - zaczął wyliczać. - Brak choć-

by najprostszej przycz. Zamiast tego śmierdzący stęchlizną i przemoczony materac, pamiętający jeszcze chyba demobil po stanie wojennym. Skoro już mowa o wilgoci, to z sufitu cieknie woda.

- Skończył pan, mecenasie? - naczelnik podszedł do adwokata, stanął tak blisko niego, że ich twarze niemal się stykały. - Gdyby był pan obrońcą z urzędu, zrozumiałbym. Ale nie mogę pojąć, jak może pan z własnej woli bronić takiej mendy - wycedził wolno.

- Dopóki sąd nie udowodni mu winy...

- Oczywiście. Te wasze prawnicze triki - zamachał rękoma. - Areszt to nie sanatorium, proszę pana. Ale jeśli pański klient ma uwagi co do warunków pobytu w mojej placówce, to może napisać skargę do centralnego zarządu więziennictwa. Rozpatrzą ją bezzwłocznie. Jeśli się nie mylę, to obecnie czas oczekiwania na odpowiedź wynosi trzy miesiące

- uśmiechnął się ironicznie. - Żegnam.

## Rozdział 18

Przesłuchanie miało odbyć się w prokuraturze okręgowej. Choć od zatrzymania księdza Sambora minęło zaledwie kilka godzin, o sprawie wiedziały już niemal wszystkie lokalne i ogólnopolskie gazety, telewizje i radia. Przy bramie wjazdowej do budynku prokuratury kłębił się tłum dziennikarzy i fotoreporterów.

Kiedy zamknięty samochód, którym przewożono aresztanta, pojawił się w zasięgu oczu żurnalistów, momentalnie zakończyli rozmowy i rzucili się do kamer, aparatów fotograficznych i mikrofonów. Auto podjechało pod bramę, kierowca zatrafił na blokujących wjazd gapiów. Ci niechętnie i przy wydatnej pomocy poganiających ich policjantów rozstąpili się na boki. Samochód w błysku fleszy wjechał na dziedziniec prokuratury, zatrzymał się kilka metrów za bramą. Wysiedli z niego dwaj funkcjonariusze, podbiegli do tylnych drzwi, otworzyli je, nie czekając, aż automatyczna brama się zamknie.

Na ten moment, jak sępy na dogorywającego lwa, czekali fotoreporterzy i operatorzy kamer. Gdy tylko drzwi samochodu zostały otwarte i pojawił się w nich wikary, trzymany pod ramiona przez strażników, rozbłysły dziesiątki fleszy. Ksiądz Sambor, nieświadomy czekającego go powitania, zeskakując z paki samochodu, podniósł nieco głowę, by spojrzeć przed siebie. Na widok tłumu zdziwił się niepomiernie.

Tę zdziwioną twarz można było zobaczyć tego dnia we wszystkich serwisach informacyjnych stacji telewizyjnych krajowych i zagranicznych, takich jak brytyjska BBC, ame-  
160

rykańskie CNN, ABC i CBS, włoska RAI 1, niemiecka ZDF, a nawet arabska Al Jazeera.

- Zanim zaczniemy przesłuchanie, chciałbym złożyć ofi-

cialną skargę na sposób, w jaki mój klient jest traktowany w areszcie. Został umieszczony w karcerze, bez pryczy, z przeciekającym dachem... - zaczął Marcinkowski. Po prawej ręce miał wikarego, po przeciwnej stronie stołu siedzieli prokurator okręgowy Przemysław Brodnicki i jego zastępca Marcin Wojciechowski. W pokoju przesłuchań znajdowało się też dwóch policjantów, zajęli miejsce przy drzwiach.

- Z tego, co mi wiadomo, wybrano taką celę, aby zapewnić księdzu bezpieczeństwo - przerwał mu Brodnicki, uśmiechając się kwaśno. - Inni więźniowie, gdy tylko dowiedzieli się o jego osadzeniu, jawnie zagrozili, że go zabiją. Stąd taki krok naczelnika aresztu. To tylko i wyłącznie troska o osadzonego, zresztą zdaniem niektórych troska mocno przesadzona - wydał usta w typowy dla siebie sposób.

- Trudno w to uwierzyć, patrząc choćby na twarz mojego klienta - mruknął obrońca. - Dziś rano, dwie godziny po przewiezieniu do aresztu, został wyprowadzony na spacer-niak i tam pobity przez niezidentyfikowanych sprawców.

- Jestem pewien, że ta sprawa zostanie wyjaśniona w odpowiednim trybie - prokurator wstał i wykonał rękoma gest, który dawał jasno do zrozumienia, że uważa dyskusję w tej kwestii za definitywnie zamkniętą. - Nie spotkaliśmy się tutaj, żeby rozmawiać o warunkach panujących w areszcie na Zabużańskiej. Do rzeczy - kiwnął głową na swojego zastępcę.

- Jest ksiądz oskarżony o czyn z artykułu... - Wojciechowski zerknął na leżącą na stole kartkę, zaczął wyliczać kolejne paragrafy.

161

Wikary próbował się skupić, ale prawniczy język był tak zawily, że już po pierwszym paragrafie przestał zwracać uwagę na liczby, koncentrując się na sensie słów wypowiedzianych przez prokuratora. Jak przez szybę dźwiękoszczelnego pomieszczenia słyszał kolejne zarzuty, które uderzały w niego niczym grad w karoserię samochodu. Włamanie... Rozpowszechnianie treści pornograficznych z udziałem małoletniego... Pozbawienie wolności... Doprowadzenie przemocą do obcowania płciowego i gwałtu... Działanie ze szczególnym okrucieństwem, wspólnie i w porozumieniu z Maciejem Biędą, wobec którego postępowanie, w związku ze śmiercią oskarżonego, umorzono... Zabójstwo osób małoletnich...

- Zrozumiał ksiądz zarzuty? - spytał śledczy na koniec.

Wikary milczał, nie usłyszał pytania, w głowie jak echo porzmiewały wciąż słowa: porwanie, gwałt, zabójstwo...

- Pytałem, czy zrozumiał ksiądz zarzuty? - powtórzył Wojciechowski.

- Tak - odparł wikary grobowym szeptem.

- Przyznaje się ksiądz do winy? - spytał Wojciechowski.

- Nie - odparł krótko wikary.

- Będzie ksiądz składał zeznania? - rzucił Wojciechowski.  
- Przypomnę tylko - wtrącił Marcinkowski - że mój klient ma prawo do odmowy składania zeznań na każdym etapie postępowania.  
- Tak, ma ksiądz takie prawo, ale nie musi ksiądz z niego skorzystać - skontrował Wojciechowski. - Więc?  
- Odmawiam składania zeznań - wikary nerwowo przełknął ślinę.  
- Rozumiem - stwierdził Wojciechowski. - Panie mecenasie, prokurator okręgowy złożył już wniosek w tutejszym sądzie o zastosowanie środka zapobiegawczego w postaci 162 trzymiesięcznego aresztu tymczasowego ze względu na wagę zarzutów i obawę mataczenia.  
- Uważam te argumenty za mocno chybione - zaprotestował adwokat.  
- Zostawmy to ocenie sądu, mecenasie - Brodnicki się uśmiechnął. - Skoro pański klient nie chce składać zeznań, to na razie wszystko. Na godzinę 10.00 zaplanowaliśmy okazanie podejrzanego.  
- Komu? - spytał Marcinkowski.  
- Jednemu z dzieci, które udało się uratować dzięki szybkiej i zdecydowanej akcji policji - odpowiedział Wojciechowski.  
- To ja je uratowałem, a nie policja! - ksiądz Sambor zerwał się z krzesła. - Gdyby nie ja, policjanci w życiu by tam nie trafili!  
- Cenna uwaga, proszę to zaprotokołować - Brodnicki skinął głową na swojego zastępcę. - Może jednak ksiądz zdecyduje się zeznawać? - zwrócił się z tym pytaniem do wikarego.  
- Nie mam nic więcej do powiedzenia - ksiądz Sambor opadł zrezygnowany na krzesło.  
- W takim razie proszę odtransportować osadzonego do pokoju zatrzymanych, gdzie poczeka na okazanie - polecił prokurator policjantom.  
i  
- Nie bój się, żaden z tych panów cię nie widzi - ton głosu prokuratora Brodnickiego był miły i spokojny, zupełnie inny niż kilka minut wcześniej.  
- Zupełnie jak głos mojego taty - pomyślał Aleks, zerkając w bok na stojącego dwa kroki dalej ojca, ten spróbował się uśmiechnąć, ale niezbyt mu się to udało, był jeszcze bardziej 163 zdenerwowany i spięty od swojego syna. - Na pewno mnie nie widzi? Tata ma taką samą szybę w samochodzie i przez nią wszystko widać - powiedział chłopiec na głos.  
- Ta szyba jest specjalna, z tamtej strony nic nie widać. To takie lustro, do którego można podejść i zobaczyć własne odbicie, ale nie można zobaczyć niczego, co się znajduje po

drugiej stronie - wyjaśnił cierpliwie prokurator. - Czy poznajesz któregoś z tych panów?

- Tak - odpowiedział chłopiec.

- Zastanów się dobrze, nie śpiesz się. Mamy dużo czasu, dokładnie im się wszystkim przyjrzyj.

- To on.

- Który?

- Ten z numerem trzy.

- Jesteś pewien?

- Tak! - Aleks pokiwał energicznie głową. - To on ze mną rozmawiał, zanim wszystko zaczęło się trząść i piasek zleciał mi na głowę. A potem, jak panowie policjanci mnie wyciągnęli, to on stał cały zakurzony.

- Dobrze się spisałeś - pogłaskał chłopca po głowie.

- Mogą już państwo zabrać syna - zwrócił się do stojących obok rodziców.

- Już więcej nie będzie wzywany ani przesłuchiwany? - spytała matka, powstrzymując płacz.

- Nie, przesłuchanie już było - odpowiedział Brodnicki.

- A w sądzie? - wtrącił ojciec.

- Przesłuchanie zostało nagrane i zostanie odtworzone przed sądem - wytłumaczył prokurator. - Postępujemy tak w przypadku dzieci. Wszystko po to, aby oszczędzić im wracania do traumatycznych przeżyć. Czynności, jakie właśnie wykonaliśmy z państwa synem, były ostatnimi, więcej nie będziemy was niepokoić - uśmiechnął się, zerkając kątem oka na pomieszczenie z drugiej strony weneckiego lustra. Było już puste.

Posiedzenie sądu okręgowego, podczas którego miała zapaść decyzja odnośnie tymczasowego aresztowania, było właściwie formalnością. Nikt z zebranych na sali rozpraw osób, włączając adwokata księdza, nie brał pod uwagę innej możliwości. Waga zarzutów była tak ciężka, że tylko cud mógłby sprawić, aby sędzia Edmund Waza zdecydował się na inny wariant. A gdyby ktoś miał jednak jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, to uleciałyby one jak piórko na wietrze na widok wyrazu twarzy sędziego, w momencie, gdy otrzymał odpowiedź na pytanie, czy oskarżony złożył zeznanie.

- Nie - padło tryumfalnie z ust prokuratora Brodnickiego.

W tym momencie sędzia podniósł wzrok znad akt sprawy i spojrzał przeciągle na adwokata. Zmarszczył przy tym brwi tak mocno, że obie niemal zlały się w jedną.

- Odmówił składania zeznań? - sędzia powtórzył pytanie.

- Tak, Wysoki Sądzie, mój klient odmówił składania zeznań - potwierdził Marcinkowski, uprzednio wstawszy.

- Ach tak - stwierdził sędzia, poprawiając łańcuch, na końcu którego wisiał złoty orzeł, symbol władzy sądow-



niczej. - W takim razie sąd postanawia przychylić się do wniosku prokuratury i zastosować wobec oskarżonego jako środek zapobiegawczy areszt tymczasowy na okres trzech miesięcy. Pisemne uzasadnienie decyzji zostanie wydane stronom za piętnaście minut, sąd musi je wpierw przelać na papier. Od decyzji przysługuje odwołanie do sądu apelacyjnego za pośrednictwem sądu okręgowego. To wszystko.

165

- Nie mam dla księdza dobrych wieści - zaczął Marcinkowski, gdy tylko wszedł do pokoju widzeń. - Tak jak się spodziewałem, areszt na trzy miesiące.
- Obawiam się, że tyle czasu to ja tutaj nie wytrzymam
- stwierdził wikary smutnym głosem.
- Musi ksiądz - adwokat usiadł na krześle naprzeciwko.
- Innego wyjścia nie ma.
- Trzy miesiące to pewnie dopiero początek - westchnął.
- W takich sprawach jak ta, o porwanie i zabójstwo, dochodzenie trwa zwykle od dwóch miesięcy do pół roku, czasem zdarza się, że nawet rok...
- Tyle będę musiał siedzieć w tej norze, zanim sprawa trafi do sądu?
- Jest pewna nadzieja - Marcinkowski ugryzł się w język. - Użyłem nieodpowiedniego słowa w tej sytuacji. Jest szansa - poprawił się - iż w tej sprawie wszystko potoczy się szybciej. Rozmawiałem ze znajomym prokuratorem, zdradził mi, że zainteresowanie mediów jest tak duże, iż w sprawę zaangażowało się Ministerstwo Sprawiedliwości. Minister Żebro ostatnio jest na cenzurowanym i zrobi wszystko, żeby odwrócić uwagę od swojej osoby. Szybki proces byłby dla niego w takim przypadku idealnym rozwiązaniem.
- Ale mnie pan podniósł na duchu - wikary zmierzwił ręką włosy. - Mam się cieszyć z tego, że będę głównym bohaterem nowego reality show? Może jeszcze się zaraz okaże, że zostanie zaangażowany przez telewizję jako odtwórca głównej roli? A pan będzie negocjował mój kontrakt? - ironizował.
- Nie o to mi chodziło - zasepił się. - Ale ma ksiądz rację, nie powinienem tego tak określać. Rozumiem księdza rozgoryczenie...
- Wątpię - prychnął.
- Chodziło mi tylko o to, że jest szansa, iż proces szybko się rozpocznie. A na tym chyba księdzu zależało?
- Zależy mi, żeby ktoś wreszcie uwierzył w moją niewinność.
- Zastanowił się ksiądz?
- Nad czym? - spytał, zdziwiony nagłą zmianą tematu.
- Nad tym, czy zacznie ksiądz zeznawać.
- Tu się nie ma nad czym zastanawiać - machnął zdenerwowany ręką. - Już panu mówiłem, mecenasie, że nie mogę.

- Wciąż mam nadzieję, że gdy zacznie się proces, zmieni ksiądz zdanie. Inaczej trudno będzie coś w tej sprawie zrobić. Chyba że uda mi się opracować plan obrony na podstawie aktu oskarżenia. Co oczywiście nie będzie łatwe. Delikatnie mówiąc.

- Wie pan... - zamyślił się. - Wciąż nie wiem, w jaki sposób został pan moim obrońcą? Ktoś pana wynajął? Biskup?

- Nie, proszę księdza. Sprawa jest o wiele bardziej prozaiczna - uśmiechnął się. - Dzisiaj w nocy dyżur obrońcy z urzędu miał mój przyjaciel. Ponieważ nie chciał brać takiej sprawy, poprosił mnie o wyręczenie. A ja się zgodziłem.

- Proszę mi wybaczyć tę uwagę - zaczął. - Ale mam nadzieję, że jest pan dobrym adwokatem.

- Najlepszym - znów się uśmiechnął. - Ale...

- Ale co?

- Mogę być szczerzy?

- A do tej pory pan nie był?

- Nie to miałem na myśli.

- Wiem - mruknął wikary. - Proszę mówić.

- Jestem świetnym obrońcą i mam na koncie kilka, można powiedzieć że błyskotliwych, sukcesów. Ale to może być za mało, żeby księdza wybronić, biorąc pod uwagę brak chęci współpracy.

167

- Nie mogę. Chcę, ale nie mogę - powtórzył. - To różnica.

- To jest bez znaczenia - odparł Marcinkowski. - Liczy się efekt. A ten jest taki: poruszam się niemal po omacku, znając sprawę jedynie z informacji przekazywanych mi przez prokuraturę. Obawiam się, że w sądzie zostanę zaskoczony. I tą nie raz.

- Zawsze może pan do tego podejść jak do największego wyzwania w swojej dotychczasowej karierze zawodowej.

- Zobaczymy - machnął ręką. - Zmieńmy temat. Jadł ksiądz coś?

- Dobrze pan to określił: coś - skrzywił się, jakby właśnie połknął cytrynę. - Nie.

- Dlaczego? Musi ksiądz jeść! Jest ksiądz coraz bardziej blady. Nie jest ksiądz głodny?

- Umieram z głodu.

- To nie rozumiem, dlaczego ksiądz nie je.

- To dziś znalazłem w zupie na obiad - z kieszeni wyciągnął coś przypominającego kształtem szary sznurek.

- Co to? - spytał adwokat zaintrygowany, biorąc przedmiot do ręki.

- Ogon szczura.

- Boże święty! - rzucił „sznurek” na blat stołu.

- Na śniadanie była czarna kawa z chlebem, masłem i dżemem. W kawie pływało chyba z dziesięć petów, chleb był

tak spleśniały, że nie dało się zjeść ani kawałka, masło było zjełczałe, a dżem sfermentowany. Chociaż właściwie to teraz żałuję, że go nie zjadłem. Dżemu, znaczy się.

- Mógł ksiądz interweniować u oddziałowego.

- Interweniowałem - wzruszył ramionami. - Usłyszałem, że skargi i wnioski przyjmuje naczelnik, ale trzeba się wpierw do niego zapisać na rozmowę.

168

- Nie wierzę - Marcinkowski pokręcił z niedowierzaniem głową. - Myślałem, że takie rzeczy skończyły się w 1989 roku. Najwyraźniej byłem w błędzie.

- Szczerze mówiąc, przy takim obrocie sprawy to się teraz nawet cieszę, że sufit przecieka. Zbieram sobie wodę do kubka. Inaczej nie miałbym nawet czego się napić.

- Jutro przyniosę księdzu coś do jedzenia.

- Nie da rady - rzekł cicho. - Oddziałowy już zapowiedział, że nie mam co liczyć na paczki od odwiedzających. Jestem, jak to określił, więźniem podwyższonego ryzyka i jako taki nie mam prawa do otrzymywania czegokolwiek od osób z zewnątrz.

Rozdział 19

Dzień 10 (piątek)

Kolejny poranek w areszcie był jeszcze gorszy niż ten pierwszy. Po nocy, prawie w całości nieprzespanej z powodu oślepiającego światła żarówki i walenia w drzwi co pół godziny przez przechodzącego strażnika, czuł się jeszcze gorzej niż dzień wcześniej.

Tym razem na szczęście spaceru o świcie nie było. Punktualnie o 7.00 drzwi od celi się otworzyły, stanął w nich strażnik, rzucił na podłogę ćwiartkę chleba.

- Kubek - warknął.

Ksiądz Sambor zerwał się z posłania i jednym susem znalazł się przy drzwiach, podstawiając naczynie. Strażnik zanurzył chochlę w wiadrze z kawą, nabrał do pełna i wlał do kubka. Wikary przybliżył naczynie do nosa, powąchał i aż się uśmiechnął na myśl o tym, że za chwilę skosztuje pierwszego ciepłego napoju od prawie dwóch dni. Kawa - po zapachu można było poznać, że to inka - nie prezentowała się może najlepiej, ale w porównaniu do tego jedzenia, z którym miał do czynienia wcześniej, był to istny napój bogów. Już miał wziąć do ust pierwszy łyk, gdy klawisz rzucił w niego zwinętą gazetą, trafiając prosto w rękę, w której trzymał kubek. Choć mimo zaskoczenia uderzeniem nie wypuścił go z dłoni, siłą rzeczy wstrząsnął nim tak, iż większość kawy oblała mu twarz. Nie bacząc na to, że parzyła skórę, bezwiednie obliznął usta, próbując spić jak najwięcej. Drugą dłonią otarł czoło; i policzki, obliznął palce, patrząc bez wyrazu na strażnika wciąż stojącego w drzwiach.

- Oj, się wylało. Jaka szkoda - zarechotał klawisz. - To pre-

170

zent od naczelnika. - Pokazał palcem na leżący na podłodze rulon, cofnął się i z hukiem zamknął drzwi.

Wikary zajrzał do kubka, przechylił go, dostrzegłszy na dnie resztki kawy. Wypił je, przez kilkanaście sekund stojąc z kubkiem uniesionym nad wargami i czekając, aż ostatnia kropla wpadnie do ust. Potem podniósł z ziemi chleb, dmuchnął na niego, próbując oczyścić z paprochów, położył na posłaniu. Dopiero później wziął do ręki gazetę.

To był „Super Fakt”, największy i najpoczytniejszy tabloid w kraju. Całostronicowy tytuł na pierwszej stronie głosił wielkimi literami: „Bestialski morderca dzieci skarży się na współwięźniów”. Niżej, nieco mniejszą czcionką dopisano: „Źle mu w jednoosobowej celi, luksusy to za mało”. Całość dopełniało zdjęcie księdza Sambora zrobione dzień wcześniej podczas wysiadania z radiowozu przed budynkiem prokuratury.

Przewertował kilka kartek, szukając dalszej części artykułu. Znalazł go w samym środku numeru. - Skąd oni to mają?! - krzyknął na widok zdjęcia zajmującego całą stronę. To było, bez dwóch zdań, zdjęcie z jego prymicji. Pamiętał doskonale ten moment: poproszony przez kolegów z roku, usiadł na parapecie okna wychodzącego na ogród przy seminarium, by zapozować w świetle zachodzącego słońca. To była ta fotografia, swojej własnej roześmianej i rozradowanej buzi nie mógłby pomylić z żadną inną. Tylko reszta się nie zgadzała. Zamiast parapetu, siedział na wielkim wodnym łożku. W tle nie było widać słońca, a jedynie wielki ekran plazmowego telewizora. Podpis pod zdjęciem był nader wymowny: „Seryjny zabójca naszych dzieci spędza czas w areszcie w luksusowych warunkach i to za nasze pieniądze. Skandal!” Zaczął czytać tekst. Przeczytał raz, drugi, trzeci. Kiedy skończył, zaczął bezgłośnie łkać. Odłożył gazetę w kąt, schował głowę w dłoniach, zaczął szlochać.

171

Mecenas Marcinkowski wcale nie przesadził, mówiąc, że sprawą seryjnego mordercy zainteresowało się Ministerstwo Sprawiedliwości, włącznie z ministrem Zembrą. Ten ostatni był w tak złej sytuacji - w każdej chwili groziło mu odwołanie ze stanowiska, czego domagała się partia koalicyjna - że dziękował Bogu na wieść o tak bulwersującej zbrodni, jaka dokonała się w niewielkim, w porównaniu do Warszawy, mieście w zachodniej Polsce. Gdy minister Żebro znalazł je na mapie, kazał asystentowi zebrać wszelkie dostępne informacje o toczącym się dochodzeniu. Kilka godzin później, po lekturze sporej grubości opracowania, wsiadł do rządowego śmigłowca, by na miejscu spotkać się z prowadzącymi sprawę prokuratorami. Zebranie było oficjalne, a krótka relacja z niego, okraszona anegdotką ministra znanego przecież z talentów medialnych, znalazła się w wieczornych serwi-

sach telewizyjnych. Za to o poleceniu, jakie wydał prokuratorom ich warszawski szef, nie było słowa. Żebro krótko określił podwładnym, czego oczekuje. Dochodzenie miało być przeprowadzone błyskawicznie, a akt oskarżenia trafić do sądu „niezwłocznie”. Na nieśmiałe pytanie prokuratora Brodnickiego, co ów termin oznacza dokładnie, z ust ministra padła odpowiedź: „Najlepiej w ciągu tygodnia. Dacie radę?”. Usłyszawszy to, prokurator okręgowy niezauważalnie dla innych westchnął, po czym pośpieszył z zapewnieniem, że oczywiście zdążą. Nie dodał już jednak, że przy takim terminie niemożliwe będzie kompleksowe zweryfikowanie wszystkich dowodów, jak też zrekonstruowanie wydarzeń, jakie rozegrały się z udziałem głównego oskarżonego. Nie mówiąc już o tym, że policja nie zdąży sprawdzić wszystkich przyjętych wersji zdarzeń. - Cóż, skoncentrujemy się na tej jednej, wiodącej, co do której i tak nie ma już chyba cienia wątpliwości - stwierdził w duchu Brodnicki, uśmiechając się

172

do ministra i zastanawiając się, jak ta wizyta i szykujący się proces wpłyną na losy jego dalszej kariery.

Tak jak media nie wspomniały o rozmowie Żebry z prokuratorami, tak nie zająknęły się nawet słowem o spotkaniu ministra, jakie odbyło się w zaciszu jednej z miejskich Posiadłości tuż przed północą. Skąd bowiem dziennikarze mieli wiedzieć, że Żebro odwiedzi swojego starego znajomego z czasów studiów, obecnego prezesa sądu okręgowego? Panowie długo siedzieli przy kominku, popijali dwunastoletnią szkocką, rozcieńczoną minimalną ilością wody, wspominając stare dzieje. Niemal niezauważalnie dla prezesa sądu minister zwrócił tory rozmowy na temat zbliżającego się procesu księdza Sambora. Dwa drinki później sędzia solennie obiecał koledze, iż sprawa, gdy tylko trafi przed oblicze miejscowej Temidy, zostanie poprowadzona błyskawicznie, co oczywiście nie wpłynie na rzetelność procesu.

- Oczywiście - potwierdził radośnie minister, wychylając jednym haustem kolejną porcję whisky.

Może był to wpływ ministra, może jego dar przekonywania, a może też zwykła ludzka chęć wybicia się i zrobienia kariery, trudno rozstrzygnąć. Faktem jest, że zaledwie w pięć dni prokuratura sporządziła akt oskarżenia i przesłała go do sądu okręgowego, zaś jego prezes wyznaczył termin pierwszej rozprawy nazajutrz.

Tydzień, jaki wikary spędził w oczekiwaniu na skierowanie sprawy na wokandę, kosztował go mnóstwo sił i nerwów. Żadnej z nocy nie udało mu się przespać w spokoju. Nie potrafił - mimo chęci i zdawania sobie sprawy, iż musi wypocząć i nabrać sił, a w jego sytuacji sen jest jedynym sposobem, żeby to zrobić - zasnąć na dłużej niż kilkanaście, czasami kilkadziesiąt minut. Co rusz budził się, jeśli nie prZy

zmianie pozycji, kiedy oślepiające światło wdzierało się pod powieki, to zrywany łomotaniem w drzwi celi.

Tyle dobrego, że jedzenie, najwyraźniej wskutek interwencji adwokata, nie było już zepsute. Niestety, porcje były tak małe, a żywność w większości przypadków najwyraźniej pozbawiona jakichkolwiek wartości odżywczych, iż księdzu Samborowi towarzyszył nieustający głód. Gdy dodać do tego pragnienie - wciąż nie mógł bowiem się doprosić o cokolwiek do picia, poza kubkiem porannej i wieczornej inki - nie mógł dziwić fakt, że zaledwie w tydzień schudł dobre dziesięć kilogramów. Jednak nie to było najgorsze. Największe zagrożenie dla jego zdrowia niosło ze sobą odwodnienie. Już po trzech dniach zauważył pierwsze symptomy: ciągle spierzchnięte usta, suchość w gardle, przyśpieszone bicie serca, niemal kompletny brak pocenia się i problemy z oddawaniem moczu. No i jeszcze to uczucie osłabienia i ciągle zawroty głowy. Między innymi dlatego wieść o rozpoczęciu się procesu przyjął, jeśli można to tak określić, z radością. Mając w pamięci słowa adwokata, liczył, że przebiegnie on szybko. Żył nadzieję, że zostanie uniewinniony, choć coraz mocniej docierało do niego, iż ta nadzieja może się okazać płonna.

## Rozdział 20

### Dzień 17 (piątek)

Pierwszy raz w historii miejscowego wymiaru sprawiedliwości rozprawa miała się odbyć poza budynkiem sądu. Powód był jeden: ogromne zainteresowanie procesem. Kiedy prezesowi sądu zaanonsowało swoje przybycie aż osiem telewizji krajowych i zagranicznych, nie miał wyjścia, musiał wyznaczyć inną lokalizację. Największa sala sądu mieściła czterdzieści, góra pięćdziesiąt osób. Z ledwością wystarczyłoby miejsca dla ekip telewizyjnych, nie mówiąc o prasie i radiowcach oraz publiczności, której nawału też można się było spodziewać.

Pierwszym pomysłem było przeniesienie rozprawy do sali gimnastycznej jednej ze szkół, ale ze względu na fatalną akustykę ideę zarzucono, zanim jeszcze na dobre się wykluli. Potem było jeszcze kilka innych koncepcji, które skreślono równie szybko. Koniec końców padło na salę kolumnową urzędu marszałkowskiego, gdzie odbywały się zwykle posiedzenia sejmiku. Była przestronna, z powodzeniem mogła pomieścić ponad dwieście pięćdziesiąt osób i, co najważniejsze, cechowała się zerowym wręcz pogłosem. Jedynym problemem mogły być kwestie bezpieczeństwa, ale i na to znaleziono szybko rozwiązanie. Jedno z pomieszczeń przy sali zaadaptowano na pokój zatrzymanych, a właściwie zatrzymanego, zaś drugie na salę dla trzech sędziów, którzy mieli poprowadzić rozprawę. W takiej bowiem sprawie jak ta, o porwanie i zabójstwo, prawo przewidywało trzyosobo-

wy skład sędziowski.

175

Rankiem w dzień pierwszej rozprawy pozwolono się wikarremu umyć - pierwszy raz, odkąd trafił do aresztu - i ogolić. Dostał też obfitsze i smaczniejsze niż zwykle śniadanie. Nigdy wcześniej przez myśl mu nawet nie przeszło, iż może poczuć taką radość na widok pajdy chleba posmarowanej margaryną, z plasterkiem grubo pokrojonego salcesonu. I choć w ciągu całego swojego życia nie przełknął ani jednego kawałka tej wędliny, na sam widok salcesonu brało go bowiem na wymioty, tym razem rzucił się na jedzenie tak łapczywie, jakby to był największy przysmak na ziemi.

- Chce ksiądz iść w garniturze czy w sutannie? - padło pytanie. Wikary podniósł wzrok, by zobaczyć stojącego w drzwiach adwokata.

- W sutannie - odpowiedział. - A mogę?

- Może ksiądz- Wyprana i wyprasowana. Przywiozłem z plebanii - Marcinkowski wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał wieszak z odzieniem.

Ksiądz Sambor podszedł, wziął do rąk sutannę, podniósł ją na wysokość oczu, czując, jak zachodzą łzami ze wzruszenia.

- Ma ksiądz kwadrans, potem musimy jechać do sądu - rzucił adwokat, zamykając drzwi. - Niech się ksiądz pomodli! - krzyknął już z korytarza.

- Modłę się, cały czas się modłę - szepnął cicho do siebie.

- Nigdy w życiu nie spędziłem tyle czasu na modlitwie. Tylko czy dobry Bóg zechce jej wysłuchać?

Kiedy konwój pojazdów dojeżdżał do budynku urzędu marszałkowskiego - tym razem służby penitencjarne zdecydowały się nie wysyłać samej więźniarki, a wspomóc ją towarzystwem dwóch dodatkowych opancerzonych wozów, jakby aresztant miał się stać celem ataku co najmniej dobrze

176

zorganizowanej grupy przestępczej - ksiądz Sambor usłyszał tumult tłumu czekającego na schodach przed tylnym wejściem, tym którym wikary miał zostać doprowadzony do środka. I może dobrze, że tylko usłyszał, a nie zobaczył. Pikietę w ekspresowym tempie zaledwie dwóch dni zorganizował Ruch na Rzecz Wolnego Forum Wszystkich Istot Czujących Cokolwiek. Demonstranci byli przygotowani, aż za dobrze jak na manifestację, która podobno była przejawem oddolnej inicjatywy. Ogromne transparenty głosiły: „Przywrócić karę śmierci!”, „Dajcie go nam!”, „Czarny do piachu!”, „Oko za oko, ząb za ząb”. Gdy tylko więzienna furgonetka w asyście policyjnych wozów pojawiła się w zasięgu wzroku demonstrantów, zaczęli skandować: Dajcie go nam! Dajcie go nam!

- Szkoda, że ksiądz tego nie widzi. Spory tłumek się zebrał - rzucił przez kratę strażnik siedzący na miejscu dla

pasażera, odwróciwszy wcześniej głowę w stronę aresztanta.  
- Może chce ksiądz wysiąść i wygłosić okolicznościowe kazanie? - zarechotał, kiedy konwój się zatrzymał. - A ja w tym czasie szybko przejdę z tacą. Może wystarczy na adwokata  
- zaniósł się śmiechem.

Rozprawa rozpoczęła się z piętnastominutowym opóźnieniem. Tyle czasu potrzebowali woźni sądowi, aby zapanować nad tłumem, który wdarł się do sali. Chętnych do oglądania procesu na żywo było co najmniej trzy razy tyle co miejsc. Początkowo nic nie wskazywało na to, aby udało się pokierować tak liczną grupą ludzi. Dopiero gdy ktoś wpadł na pomysł, aby sporządzić listę chętnych i wpuszczać według kolejności - tyle osób na każdą rozprawę, ile się zmieści, na następną zaś od pierwszej osoby ze spisu, której nie udało się wejść dzień wcześniej - poszło już jak z płatka.

177

Zanim przewodniczący składu sędziowskiego, sędzia Waza, rozpoczął posiedzenie, krótko i dobitnie wyjaśnił publiczności zasady obecności w sali.

- Wysoki Sąd nie będzie tolerował żadnych krzyków i komentarzy - zaczął, lustrując salę groźnym spojrzeniem.

- Jeśli ktoś z sali odezwie się nieproszony, choćby jednym słowem, zostanie wyprowadzony - tłumaczył z zawodową obojętnością. - Możemy zaczynać.

- Wysoki Sądzie, chciałbym zgłosić wniosek formalny  
- Marcinkowski wstał.

- Słucham, panie mecenasie - sędzia Waza rzucił przez ramię, patrząc na ekran laptopa. - Mam tylko nadzieję, że nie jest to krok obliczony na przeciąganie postępowania. Z góry zaznaczam, że nie będę tego tolerował - rzucił ostro.

- Wysoki Sądzie, od sporządzenia aktu oskarżenia do skierowania go na wokandę upłynęły zaledwie niecałe dwa dni  
- adwokat wskazał ręką na pięć opasłych tomów leżących na stole sędziowskim. - Obrona nie miała fizycznej możliwości zapoznania się z materiałem.

- A miałem nadzieję, że powstrzyma się pan, mecenasie, od grania na zwłokę. Widzę jednak, że srodze się zawiodłem  
- wychrypiął sędzia Waza. - Dobrze, skoro tak, sąd zarządza dziesięciminutową przerwę celem podjęcia decyzji w tej sprawie. Proszę opuścić salę.

Publiczność zareagowała na te słowa jękiem zawodu, jednak już chwilę później ludzie posłusznie wstali z miejsc, szykując się do wyjścia na korytarz. Jeden z fotoreporterów - nie pracujący dla żadnej konkretnej redakcji, będący wolnym strzelcem sprzedającym swoje zdjęcia każdemu chętnemu - postanowił wykorzystać zamieszanie i podszedł do barierek odgradzających część dla widzów. Skierował obiektyw w stronę siedzącego w ławie księdza Sambora, nacisnął spust migawki, salę rozświetlił flesz lampy. Widząc to wikary in-



stynktownie spojrział w stronę, skąd padło światło, zasłoniwszy się ręką. Pilnujący go policjant, którego uwagę do tej pory pochłaniała siedząca przy stole sędziowskim protokółantka, nie dostrzegł fotografa. Wyczuwszy ruch ze strony aresztanta, pomyślał, że ten chce go zaatakować. Bez namysłu obrócił się i zastosował chwyt obezwładniający - tak jak był uczony - wsuwając swoją lewą rękę pod prawe ramię księdza, by ułamek sekundy później pociągnąć go w dół. Siła, z jaką to zrobił - a bynajmniej nie wpajano mu bycia delikatnym, lecz skutecznym - była tak wielka, że wikary uderzył czołem w kant ławki. Z rozciętej brwi natychmiast trysnęła krew, zalewając policzek i nos.

Fotoreporter, który przez cały czas trwania zajścia nie spuszczał palca ze spustu, uśmiechnął się szeroko, widząc zakrwawioną twarz aresztanta, spoglądającą na niego z małego monitora wbudowanego w aparat. Dzień później to zdjęcie twarzy pełnej bólu i zaskoczenia, zalanej krwią, pojawiło się na czołówkach niemal wszystkich większych gazet. „Sprawiedliwość górami, zbrodniarz ukarany już na sali rozpraw, „Pedofil. Pierwsza krew” czy „Boska ręka już go dosięgła”, to były tylko niektóre z wymownych tytułów.

O dziwo, incydent nie wpłynął znacząco na szybkość opróżniania sali rozpraw. Woźnym, widać mieli już wprawę w tym, co robili, zajęło to zaledwie cztery minuty. Przeważnie jednak przedłużyła się za sprawą konieczności opatrzenia rany księdza Sambora. Ponieważ karetka z lekarzem czekała w pogotowiu - przy tak licznej liczbie świadków i dziennikarzy zdecydowano się bowiem na taki profilaktyczny krok - zrobiono to na miejscu.

- Mogę zszyć ranę pod znieczuleniem, ale taki głupi Jaś oznacza przynajmniej częściową utratę świadomości - ostrzegł lekarz.

- A nie można księdza zabrać do szpitala i tam dokonać

zabiegu? - spytał Marcinkowski, wyraźnie zaniepokojony stanem zdrowia klienta.

- Można - stwierdził krótko medyk.

- Nie można - warknął policjant, ten sam, którego reakcja na sali rozpraw skończyła się w taki, a nie inny sposób.

- Pan już swoje zrobił - skonstatował złośliwie adwokat.

- Kolega ma rację - wtrącił się drugi funkcjonariusz. - Procedury jednoznacznie zabraniają przewożenia aresztantów do publicznego szpitala, za wyjątkiem sytuacji zagrażających życiu.

- A skąd pan wie, iż uderzenie pańskiego kolegi nie było na tyle silne, żeby spowodować u księdza, dajmy na to, wstrząs mózgu? - prychnął obrońca.

- Niech pan nie przesadza - zaczął pierwszy z policjantów.

- Pan jest lekarzem? - zgasił go Marcinkowski.
- Nie...
- Co pan na to, doktorze? - drugi funkcjonariusz skierował to pytanie do lekarza.
- Tutaj nie jestem w stanie tego jednoznacznie stwierdzić
- medyk wzruszył ramionami. - Ale patrząc na ranę, jeśli powstała ona w wyniku uderzenia w twarde przedmiot...
- Bardzo twarde - rzucił kąśliwie adwokat.
- Najlepszym rozwiązaniem byłoby przewiezienie chorego na szczegółowe badania - dokończył lekarz.
- W takim razie wracamy do aresztu, tam zbada go nasz personel. Sprzęt mamy odpowiedni - stwierdził pierwszy policjant. - Pół godziny na jazdę tam, pół na powrót, plus godzina na badanie, stracimy ze dwie godziny. Chyba że księdza położą na oddziale.
- To będzie oznaczać odroczenie rozprawy - zauważył cennie drugi funkcjonariusz.
- A mamy inne opcje? - wikary włączył się do dyskusji.

180

- Mogę to zszyć bez znieczulenia - odparł medyk. - Ale ostrzegam, że będzie bolało. Okolice oczu są mocno unerwione. Bardzo mocno.
  - Odradzam - zaproponował Marcinkowski.
  - Zaryzykuję - ksiądz Sambor skinął głową w stronę lekarza. Jednak już przy pierwszym wbiciu igły w skórę skarcił się w duchu za taką decyzję. Ból był tak przejmujący, że zacisnął obie dłonie na oparciach krzesła, aż zbieleły mu palce. Syknął przeciągle.
  - Jeszcze trochę - sapnął lekarz, przeciągając nić przez skórę. - Jeszcze tylko trzy szwy.
  - Włóżcie mi coś w usta - wychrypiał wikary.
  - Pałka! - rzucił Marcinkowski w stronę policjantów. Jeden z nich, ten sam, który był sprawcą całego zamieszania, z oporem wyciągnął pałkę zza pasa i zbliżył do ust aresztanta. Ksiądz Sambor, nie namyślając się wiele, chwycił ją zębami i z całej siły zacisnął. Kiedy dwie minuty później zabieg był skończony, a lekarz obmywał ranę specjalnym preparatem, wikary otworzył usta. Na gumowej pałce było widać wyraźne ślady jego uzębienia.
  - Jeszcze bark - wyszeptał ksiądz Sambor.
  - Słucham? - spytał medyk.
  - Zanim ten gość - wikary zerknął przez ramię na mundurowego - rąbnął mnie twarzą w ławkę, wyrwał mi niemal ze stawu prawe ramię. To samo, które tydzień temu jego kolega po fachu mi wybił.
- Nie pytając o nic więcej, lekarz poszperał w przepastnej torbie, wyciągnął strzykawkę i zaaplikował księdzu blokadę, następnie nastawił bark.
- Dziesięć minut później sala rozpraw była ponownie zapełniona. Jako ostatniego wprowadzono aresztanta. Na widok

opatrunku skrywającego brew przez pomieszczenie prze-  
181

biegł pomruk ni to zdziwienia, ni aprobaty. Można było jednak wyczuć, iż była to nie tyle reakcja w uznaniu medycznej misji uśmierzenia bólu, co raczej radość z cierpienia, jakiego doznawał w tym momencie oskarżony.

- Sąd postanowił odrzucić wniosek obrony, który zdaniem sądu nie ma zamocowania procesowego i zmierza jedynie do przedłużenia postępowania - sędzia Waza spojrzał groźnie na Marcinkowskiego. - Obrona miała wystarczająco dużo czasu na zapoznanie się z aktami, które liczą zaledwie pięć tomów i każdy z tutaj obecnych sędziów zdążył zapoznać się z nimi dogłębnie. Dokładnie taką samą szansę miała obrona. Stąd wniosek o odroczenie rozprawy jest, zdaniem Wysokiego Sądu, jedynie próbą gry na zwłokę.

Na dźwięk tych słów obaj prokuratorzy odetchnęli z ulgą. Gdy chwilę później sędzia poprosił o odczytanie aktu oskarżenia, prokurator Brodnicki wstał, poprawił czerwony żabot i zaczął czytać. Osiem minut zajęło mu samo przedstawienie zarzutów, okraszone każdorazowo cytowaniem poszczególnych artykułów i paragrafów. Skończywszy, spojrzał doniośle na sędziego, odchrząknął.

- Teraz, Wysoki Sądzie, oskarżenie chciałoby przedstawić zrekonstruowaną wersję wydarzeń, w oparciu o bogaty materiał dowodowy, który został do tej sprawy zgromadzony - powiedział.

- Bardzo proszę, panie prokuratorze - sędzia Waza kiwnął głową aprobująco.

Rozdział 21

- Zacznę od koronnego dowodu, jakim było ujęcie oskarżonego na miejscu zbrodni, czyli w opuszczonej hali przemysłowej przy ulicy Inżynierskiej, w której to oskarżony przetrzymywał troje z porwanych dzieci. Chciałbym tu podkreślić - prokurator zrobił pauzę dla podkreślenia wagi słów, które miał zaraz wypowiedzieć - że tylko dzięki zdecydowanej akcji tutejszej policji, ściślej mówiąc grupy specjalnej wyznaczonej do tego zadania, udało się ująć oskarżonego, zanim uśmiercił te niewinne dzieci.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - odezwał się Marcinkowski.

- Zdaniem obrony nie ma podstaw, aby sądzić, iż podsądny nosił się z zamiarem zabicia porwanych.

- Panie prokuratorze? - sędzia Waza spytał znacząco.

- Wysoki Sądzie, oto dowód - prokurator podszedł do stołu sędziowskiego z zadrukowaną na kolorowo kartką papieru. - To tak zwany zrzut ekranu strony internetowej. Widać na nim zdjęcia trojga nieżyjących już dzieci, które zostały przez oskarżonego uprowadzone i zamordowane, co oskarżenie udowodni w późniejszym toku postępowania. Są tutaj także fotografie kolejnych pokrzywdzonych, o których była już mowa. Pod ich zdjęciami widnieje napis - Brodnic-

ki głęboko odetchnął. - Cytuję: „Ich koniec jest bliski. Małe aniołki wkrótce pójną do nieba”, koniec cytatu. Prokuratura, w oparciu o opinię biegłych psychiatrów, którzy sporządzili szkic osobowościowy oskarżonego i jego współnika, uważa, że to jest jakby swoiste wyznanie przysięgłego mordercy, afirmacja jego chorych dążeń do, jakkolwiek nieprawdopodobnie to zabrzmie, uchronienia dzieci przed niebezpieczeństwami tego świata.

- Proszę zaprotokołować - sędzia Waza zwrócił się do siedzącej obok protokolantki. - Sąd dołącza do akt sprawy dowód rzeczowy numer jeden. Proszę dalej, panie prokuratorze.

- Podczas okazania oskarżonego zidentyfikował jeden z porwanych chłopców - prokurator zerknął na dokumenty - Aleks Stefaniak. Świadek jednoznacznie potwierdził, że to oskarżony rozmawiał z nim, zanim do budynku hali wkroczyli policjanci.

- Tak, panie mecenasie? - spytał sędzia Waza, widząc, że adwokat chce coś powiedzieć.

- Chłopiec potwierdził jedynie, że podsądny rozmawiał z nim na chwilę przed wkroczeniem policji - dowodził obrońca. - Mój klient próbował uwolnić porwanych...

- Akurat! - krzyknął głos z sali.

- Papuga broni mordercy - zawtórował ktoś inny.

- Cisza! - krzyknął sędzia Waza. - Cisza! Jeszcze jedna taka uwaga ze strony publiczności i każę opróżnić salę - zagroził.

- Uwaga obrony zostanie zaprotokołowana. Proszę kontynuować - zwrócił się do prokuratora.

- Chciałbym się odnieść do uwagi pana mecenasa - prokurator uśmiechnął się znacząco. - Otóż z tego oto bilingu połączeń telefonu komórkowego należącego do oskarżonego wynika jednoznacznie, iż na około dwie godziny przed zatrzymaniem oskarżonego, o godzinie 22.59, Maciej Biełda zadzwonił do oskarżonego i rozmawiał z nim dokładnie trzydzieści siedem sekund. To właśnie w tym momencie obaj porywacze uzgadniali ostatnie szczegóły wspólnego planu, który miał pracę policjantów pchnąć na fałszywy tor, a im dać czas na zabicie pozostałej trójki dzieci i pozbycie się zwłok.

184

- To jakaś wierutna bzdura! - ksiądz Sambor zerwał się z miejsca. - Jak możecie łączyć mnie z tym potworem...

- Pouczam oskarżonego, że nieproszony ma się nie odzywać i zachować milczenie - przerwał mu sędzia Waza. - Jeszcze przyjdzie pora na zeznania oskarżonego.

Wikary usiadł zrezygnowany.

- Gdyby było tak, jak mówi oskarżony - mówił dalej prokurator - to jak obrona wytłumaczy zażyłość, jaka łączyła oskarżonego z Maciejem Biełdą?

- Zażyłość? - spytał głośno obrońca.

- Szef grupy specjalnej policji zeznał, iż tuż przed wejściem siłowym do budynku hali widział, że oskarżony trzyma Biełdę za rękę. I to przez dłuższy czas. Takie gesty rezerwuje się dla osób bliskich.

Marcinkowski obrócił się w stronę duchownego, pytając go o coś.

- Mój klient w tym momencie spowiadał Biełdę - rzekł adwokat.

- Bardzo ciekawe - skonstatował prokurator. - A czy oskarżony mógłby nam przybliżyć, o czym rozmawiał z Maciejem Biełdą?

- Wysoki Sądzie - obrońca wyduł usta w geście triumfu.

- Chciałbym w tym miejscu przypomnieć, że artykuł 178 Kodeksu postępowania karnego, punkt drugi, jednoznacznie zabrania przesłuchiwania jako świadka duchownego co do faktów, o których dowiedział się podczas spowiedzi.

- Tak, obrona ma rację - potwierdził sędzia Waza. - Uchyłam to pytanie. Panie prokuratorze, proszę więcej nie pytać świadka o kwestie związane ze spowiedzią.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Ani przez moment celem oskarżenia nie było łamanie obowiązującego w naszym państwie porządku prawnego - Brodnicki teatralnym gestem uderzył się w piersi. - Oskarżenie chciało tylko, podejmując 185

tę kwestię, zwrócić uwagę na pewien niuans prawny mający ogromne znaczenie dla niniejszej sprawy.

- Mianowicie? - ponaglił sędzia. - Panie prokuratorze, proszę się streszczać, a swoje błyskotliwe wywody, z których skądinąd jest pan doskonale znany tutejszej palestrze, zachować na mowę końcową. Jaki to niuans?

- Oskarżony już podczas postępowania przygotowawczego odmawiał składania zeznań, nie podając przy tym powodu swojego działania. Teraz wiemy już, dlaczego. Tłumaczenie, że nie może o czymś mówić i tym samym odpowiadać na pytania Wysokiego Sądu oraz oskarżenia, bo obowiązuje go tajemnica spowiedzi, jest ogromnie istotne. W ten sposób może unikać każdego z niewygodnych pytań. Ale prokuratura ma na to radę.

- Jaką? - spytał sędzia.

- Udało nam się zrekonstruować niektóre wydarzenia, przynajmniej te, które miały znaczący wpływ na przebieg całej sprawy. Zrobiliśmy to bez udziału oskarżonego.

- Wrócimy do tego po małej pauzie - sędzia Waza zerknął na zegarek. - Zarządzam przerwę do godziny 12.00.

- Mają jakiegoś asa w rękawie - mruknął Marcinkowski, chodząc w kółko po pokoju zatrzymanych.

- Asa? - spytał ksiądz Sambor zaniepokojony.

- Słyszałem wymianę zdań między prokuratorem i jego zastępcą. Ten drugi był najwyraźniej czymś zdenerwowany. Szef poklepał go tylko po plecach i powiedział coś takiego:

„Przy takich dowodach nikt się nie wywinie”.

- Co to może oznaczać?

- Nie mam pojęcia, szczerze mówiąc - odparł spiętym głosem. - Możliwe, że prokuratura chowa coś w zanadru - zamyslił się. - Niedługo się przekonamy, co to takiego.

186

Punktualnie o 12.00 sędzia Waza wznowił rozprawę, prosząc prokuratora Brodnickiego o kontynuowanie.

- Oskarżenie chciałoby wrócić do wątku podjętego przez podsądnego, to jest udzielonej przez księdza spowiedzi. To kolejny dowód na to, iż oskarżony współpracował z Maciejem Bięłą - prokurator podniósł do góry niewielkie pudełko. Choć z daleka nie było widać dokładnie, co to za przedmiot, wikary rozpoznał go od razu. - Ten film, zatytułowany „Wyznaję”, został wyreżyserowany przez Alfreda Hitchcocka w 1953 roku - kontynuował Brodnicki. - Płytę DVD z tym właśnie filmem znaleźliśmy w mieszkaniu oskarżonego - sięgnął po kolejny przedmiot leżący na stole. - A to druga płyta DVD, z tym samym filmem, znaleziona w mieszkaniu Biędy.

Po tych słowach przez salę przetoczył się szmer zdziwienia.

- Cisza! - warknął sędzia Waza.

- Zdaniem prokuratury - ciągnął dalej oskarżyciel. - Jest to kolejny dowód na to, że oskarżony działał w porozumieniu z Maciejem Bięłą. Co więcej, biorąc pod uwagę fabułę tego filmu, można śmiało postawić tezę, iż posłużyła ona obu mężczyznom do przygotowania doskonałego wytłumaczenia na wypadek, gdyby obecny tutaj oskarżony wpadł w ręce organów ścigania przed zatarciem wszystkich mogących go obciążać śladów. I właśnie tak się stało! - krzyknął, uderzając głośno pudełkiem o stół.

- Panie prokuratorze, uprzedzałem, że nie będę tolerował żadnych popisów medialnych - ostrzegł sędzia Waza.

- Najmocniej przepraszam, Wysoki Sądzie.

- O czym jest ten film?

- Opowiada historię młodego księdza oskarżonego o zamordowanie pewnego prawnika. Podczas śledztwa kapłan

187

odmawia odpowiedzi na zadawane przez policję pytania.

Dlaczego? Żeby nie złamać tajemnicy spowiedzi.

Publiczność zareagowała podobnie jak chwilę wcześniej.

Ale tym razem nie spotkało się to z żadną uwagą prowadzącego rozprawę. Sędzia Waza był co najmniej tak samo zaskoczony jak widzowie.

- Wziąwszy pod uwagę, iż zarówno oskarżony, jak i Maciej Bięła, byli w posiadaniu tego filmu, a można domniemywać, że go obejrze... - prokurator zamilkł na moment.

- Oskarżenie stawia tezę, iż przyjęta przez oskarżonego linia obrony, czyli uchylanie się od zeznań to nic innego, jak używana z pełną świadomością i premedytacją sztuczka,

obliczona na uniknięcie trudnych pytań. Prokuratura uważa, Wysoki Sądzie, że oskarżony obawia się, iż odpowiadając na nie, mógłby się pogryźć. A nic tak nie uwiarygodniłoby odmowy składania zeznań przez oskarżonego, jak zasłanianie się tajemnicą spowiedzi, co mecenas Marcinkowski chwilę temu skwapliwie wykorzystał. Oczywiście trzeba brać też pod uwagę i taką opcję, że faktycznie, oskarżony udzielił Maciejowi Biełdzie sakramentu spowiedzi i tym samym obowiązuje go tajemnica. Rozstrzygnięcie tego oskarżenia pozostawia w gestii Wysokiego Sądu.

- I bardzo dobrze - rzucił sucho sędzia Waza. - Bo już przez moment myślałem, że pan prokurator chce przejąć prerogatywy sądu. To wszystko?

- Ależ skąd, Wysoki Sądzie - zaproponował Brodnicki. - Na obecnym etapie przewodu sądowego oskarżenie chce przedstawić jeszcze dwa dowody.

- Zanim to nastąpi, pozwolimy obronie odnieść się do poprzedniego. Pytania, panie mecenasie?

- Chwileczkę, Wysoki Sądzie - adwokat odwrócił się w stronę wikarego. - Mój klient chciałby się wypowiedzieć w tej kwestii.

188

- A tajemnica spowiedzi? - sarkazm w głosie prokuratora ciał jak brzytwa.

- Panie prokuratorze - wtrącił się sędzia. - Proszę powstrzymać się od takich uwag. Są nie na miejscu.

- Przepraszam - bąknął Brodnicki.

- Oskarżony chce coś powiedzieć, tak? - sędzia zwrócił się do księdza.

- Tak - odparł wikary.

- W takim razie, proszę - sędzia Waza skinął zachęcająco głową.

- Niczego z Maciejem Biełdą nie uzgadniałem, jeśli chodzi o ten film - zapewnił ksiądz Sambor.

- To w jakich okolicznościach oskarżony wszedł w jego posiadanie? - spytał sędzia.

- Kupiłem w Empiku - powiedział wikary.

- Z jakiegoś określonego powodu? - spytał sędzia Waza.

- Zajmując się sprawą tych porwań...

- Oskarżony zajmował się sprawą porwań? - przerwał mu prokurator.

- Teraz pytania zadaje sąd - zauważył celnie sędzia. - Do tego wątku wrócimy później. Najpierw niech oskarżony wyjaśni kwestię filmu.

- Jak już mówiłem - kontynuował wikary - zajmowałem się sprawą tych porwań. Próbowałem dowiedzieć się coś więcej za pomocą Internetu. W wyszukiwarce wpisałem hasło „Otto”, które morderca zostawiał napisane na kartce przy porzucanych zwłokach, i wtedy pojawiła się informacja o tym filmie.

- Wysoki Sądzie! - Brodnicki wstał. - Czy oskarżenie może zadać pytanie?

- Proszę - zezwolił sędzia Waza.

- Oskarżony powiedział przed chwilą, że wpisał słowo „Otto” do wyszukiwarki internetowej i jako wynik pojawiła 189

się informacja o filmie „Wyznaję” - prokurator zaczął wertować akta. - Tak się składa, że policja też dokonała takiej operacji. I jej wynik był diametralnie inny niż przytoczony tutaj przez oskarżonego. Po wpisaniu słowa „Otto” pojawia się ponad 74 miliony 300 tysięcy stron zawierających to hasło. Film Alfreda Hitchcocka zaś jest dopiero na stronie numer - Brodnicki zerknął do notatek - 16.367. Oskarżony sprawdził wszystkie 16.367 stron czy może od razu cudownym zbiegiem okoliczności trafił na tę najbardziej nas interesującą?

- Oprócz słowa „Otto” wpisałem jeszcze inne hasło, to było... - ksiądz Sambor wstrzymał oddech, uświadomiwszy sobie, że nie może zdradzić, iż była nim „tajemnica spowiedzi”. Musiałby wtedy powiedzieć, że udzielił tego sakramentu Maciejowi Biedzie znacznie wcześniej niż w hali przy Inżynierskiej, gdy ten kilkakrotnie zjawił się w konfesjonale. A tym samym mógłby naruszyć tajemnicę. Co innego spowiedź w hali, tam byli świadkowie w osobach policjantów i faktu odbycia tego sakramentu ukrywać nie musiał.

- Tak? - spytał sędzia Waza. - Jakie to było hasło?

- Nie mogę powiedzieć - odparł cicho wikary.

- Nie może oskarżony powiedzieć? - dopytywał sędzia.

- Nie mogę.

- Wysoki Sądzie - znów odezwał się Brodnicki. - Chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie.

- Proszę - zezwolił sędzia.

- O to drugie hasło nie będę pytał, bo oskarżony, jak stwierdził, nie może go podać - prokurator chrząknął znacząco. - Spytam więc o to pierwsze. Oskarżony wspomniał, że wpisał słowo „Otto” do wyszukiwarki, tak?

- Nie musi ksiądz odpowiadać - syknął Marcinkowski, wyczuwając podstęp ze strony oskarżyciela.

- Tak - wikary zignorował uwagę adwokata.

- W takim razie proszę powiedzieć, skąd oskarżony wie-  
190

dział o zostawianych przez mordercę karteczkach przy ciałach dzieci, podpisanych tym imieniem? - spytał Brodnicki.

- Policja nigdy nie podała tego faktu do publicznej wiadomości.

Ksiądz Sambor zawahał się. - Jeśli zdradzę źródło, dziennikarz może mieć nieprzyjemności, najpewniej zostanie mu postawiony zarzut przekazania osobie nieupoważnionej informacji niejawnych. Jeśli nie powiem, skąd wiem o karteczkach, znów wyjdzie na to, że coś ukrywam. Co robić? - myślał intensywnie, ocierając dłonią czoło.



- Czekamy - ponaglił prokurator.  
- Otrzymałem tę informację od zaprzyjaźnionego dziennikarza - odparł wikary.  
- Proszę podać imię i nazwisko tego dziennikarza - mówił dalej Brodnicki.  
- Nie mogę - odparł stanowczo wikary.  
- Nie może ksiądz? A to niespodzianka! - prokurator klaśnął w dłonie. - Przepraszam, Wysoki Sądzie - zwrócił się do sędziego Wazy, uprzedzając kolejne przywołanie do porządku. - To była bezwiedna reakcja, nie zrobiłem tego specjalnie. Po prostu zbulwersowało mnie to, iż oskarżony kolejny raz unika odpowiedzi na trudne pytanie.  
- Chciałbym panu prokuratorowi przypomnieć, że mój klient, zgodnie z prawem, nie musi odpowiadać na pytania - wtrącił Marcinkowski.  
- Oczywiście - przyznał Brodnicki. - Jednakże takie zachowanie nie działa na jego korzyść.  
- Sąd weźmie zachowanie podsądnego pod uwagę przy rozstrzygnięciu zarzutów - zapewnił sędzia Waza. - Jeśli w tej kwestii strony nie mają już więcej pytań, przejdziemy do kolejnego wątku. Dlaczego ksiądz zajmował się porwaniami?  
- Ta bulwersująca sprawa budziła ogromne zainteresowanie - odpowiedział wikary.

191

- Ale ksiądz interesował się nią o wiele bardziej niż przeciętny obywatel tego miasta - zauważył prokurator. - Może ksiądz powiedzieć, dlaczego?  
Odpowiedziała mu cisza.  
- Nie odpowie ksiądz na pytanie prokuratora? - spytał sędzia Waza.  
- Może oskarżony nie dosłyszał pytania - uśmiech na twarzy prokuratora zajaśniał niczym wschodzące słońce. - Dlaczego ksiądz tak mocno interesował się sprawą porwań?  
- powtórzył.  
- Nie mogę odpowiedzieć - szepnął wikary, zdając sobie sprawę, że nikt nie uwierzy w bajeczkę o koledze księdzu, któremu chciał pomóc. Lepiej już było milczeć.  
- Przepraszam, nie dosłyszałem - Brodnicki obrazowo nadstawił ucho. - Proszę powtórzyć głośniej. Tak, żeby wszyscy w tej sali usłyszeli odpowiedź oskarżonego.  
- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie! - krzyknął ksiądz Sambor zdenerwowany do granic możliwości. - Nie mogę!!!

Rozdział 22

Po krótkiej przerwie, podczas której sędzia Waza musiał kilkakrotnie przywoływać publiczność do porządku - część widzów po wybuchu księdza Sambora zareagowała bardzo emocjonalnie - prokurator wrócił do przedstawiania zarzutów. O dziwo, sędzia nikogo nie wyrzucił za drzwi, choć wcześniej groził takim właśnie posunięciem - Można tylko przypuszczać, że także na nim zachowanie oskarżonego wy-

warło duże wrażenie. Konia z rzędem temu, kto zgadłby, czy było to wrażenie negatywne czy może wręcz przeciwnie? Nie sposób było tego odgadnąć, bowiem swoje emocje sędzia Waza skrył głęboko pod maską nieprzeniknionego spokoju.

- Przed chwilą oskarżony przyznał, że sprawa porwań dzieci z jakiegoś, dla nas teoretycznie niewiadomego powodu, interesowała go. Dlaczego powiedziałeś "teoretycznie"?  
- Brodnicki zaakcentował znacząco ostatnie słowo. - Ponieważ zdaniem prokuratury motywy jego postępowania były przez cały czas skonkretyzowane, a próba uniknięcia odpowiedzi na zadane przed chwilą pytania tylko to potwierdza. Oskarżony szukał informacji o porwaniu, bo chciał się w ten sposób dowiedzieć, ile na ten temat wie policja. Dlaczego? Odpowiedź jest banalnie prosta, ta wiedza była mu potrzebna do tego, aby planować swoje następne posunięcia: kolejne porwania dzieci, kolejne wykorzystywanie ich seksualnie, kolejne tortury i w końcu kolejne mordowanie  
- oświadczył, patrząc na wikarego.

Książd Sambor spuścił wzrok, pochylił głowę, chowając twarz w dłoniach. Westchnął głęboko, niemal doświadczając zmysłami pogrążania się w otchłani. Czuł się zupełnie tak,  
193

jakby znalazł się w wielkiej beczce lepkiej smoły, mając przy tym związane oczy i zakneblowane usta. Jakby szukał rękoma brzegu kadzi, jednak ślepy, miotał się tylko, nie mogąc też wezwać pomocy. A każdy kolejny ruch zamiast prowadzić go ku wolności, pogrążał tylko coraz głębiej i głębiej...

- To nie wszystko, Wysoki Sądzie - zaczął wolno prokurator. - Oskarżony przyznał, że szukał informacji o porwaniach w Internecie. To jeszcze można by faktycznie, gdyby nie inne dowody, podciągnąć pod zwykłe zainteresowanie tematem, który przecież w tamtych dniach był szeroko komentowany przez chyba wszystkich mieszkańców naszego miasta. Setki, jeśli nie tysiące internautów surfowało wtedy po sieci, sprawdzając niezliczone ilości stron. Ale czy któryś z nich wchodził na stronę z pornografią dziecięcą, ściągając przy tym dziesiątki obrzydliwych zdjęć?! - wykrzyczał ze wstrętem.

- To nie tak! - wikary zerwał się z krzesła.

- Proszę natychmiast usiąść! - polecił sędzia Waza.

- Wysoki Sądzie - mówił dalej prokurator. - Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, oskarżenie chętnie wysłucha, co oskarżony ma w tej sprawie do powiedzenia.

- Proszę - rzucił sucho sędzia. - Oskarżony może się odnieść do postawionego zarzutu.

- Te zdjęcia same ściągnęły się na komputer, gdy przez przypadek wszedłem na stronę pornograficzną - wychrypiął bezradnie książd Sambor. - Szukałem informacji o pedofilii, wchodziłem na dziesiątki stron traktujących o tym problemie, ale jedna z nich okazała się być stroną właśnie z takimi

zdjęciami. Kiedy tylko na nią wszedłem, na pulpicie zaczęły się pojawiać fotografie jedna za drugą. Próbowałem to powstrzymać, ale się nie udało, naciskanie jakichkolwiek klawiszy tylko pogarszało sprawę, bo zdjęcia kopiowały się jeszcze szybciej.

194

- I co w tym momencie oskarżony zrobił? - spytał sędzia Waza wyraźnie zadowolony.

- Wyłączyłem komputer z prądu - odpowiedział krótko wikary.

- A zdjęcia? Co oskarżony z nimi zrobił? - rzucił prokurator.

- Nic. Gdy wyłączyłem komputer, to już ich nie było - padła błyskawiczna odpowiedź ze strony księdza Sambora.

- Wysoki Sądzie - Brodnicki podszedł do stołu z grubym plikiem kartek. - To są wydruki sześćdziesięciu ośmiu fotografii zawierających pornografię dziecięcą.

Biegły z dziedziny seksuologii jednoznacznie stwierdził, że zachowania prezentowane na tych fotografiach nie tylko odbiegają od przyjętych norm współżycia społecznego, ale są wręcz przejawem totalnego zezwierżenia. Tylko człowiek pozbawiony jakichkolwiek skrupułów moralnych może odczuwać przyjemność przy oglądaniu tego typu obrazów.

- Przecież one znikły! - wykrzyczał ksiądz Sambor.

- Panie prokuratorze? - powiedział pytająco sędzia.

- Oskarżony, owszem, ma rację, mówiąc, że po włączeniu komputera zdjęcia znikły z pulpitu - Brodnicki zrobił krótką pauzę - ale to nie znaczy, że znikły też z komputera. Podczas przeszukania zawartości twardego dysku znaleziono je w katalogu plików tymczasowych, w którym przechowywane są kopie plików ściąganych z Internetu. Tak więc każda z tych sześćdziesięciu ośmiu fotografii była wciąż dostępna. Gdyby oskarżony faktycznie chciał się ich pozbyć, jak twierdzi, powinien opróżnić folder plików tymczasowych, a potem jeszcze tak zwany kosz, dokąd by trafiły.

- Dlaczego oskarżony tego nie uczynił? - spytał sędzia Waza.

- Bo... - wikary zaczął odpowiadać, zaskoczony - ... nie wiedziałem o tym.

195

- Kłamca! - krzyknął ktoś z publiczności. - Parszywy kłamca! Na krzesło z nim!

- Spokój! - tym razem sędzia zareagował błyskawicznie.

- Kto się odezwał?

Odpowiedziała mu tylko cisza.

- Czy któryś z woźnych sądowych zauważył, kto krzyknął?

- spytał tubalnym głosem sędzia Waza.

- Tak, Wysoki Sądzie! - odparł woźny stojący przy głównych drzwiach.

- Proszę tę osobę wyprowadzić z sali, na zewnątrz ją wyle-

gitymować i spisać dane. Niniejszym sądzę za zakłócanie przebiegu rozprawy wymierza tej osobie 200 złotych grzywny. Tym razem nie każę opróżnić całej sali z publiczności. Ale jeśli taka sytuacja powtórzy się choćby raz, zrobię to - sędzia przebiegł groźnym wzrokiem po widowni. - Proszę kontynuować, panie prokuratorze.

- Wysoki Sądzie, przyjmijmy, że oskarżony mówił prawdę - po tych słowach Brodnickiego przez salę przetoczył się pomruk zdziwienia, szybko jednak ucichł, bo sędzia Waza znacząco podniósł wzrok. - Założmy, iż oskarżony rzeczywiście przypadkowo wszedł na stronę z pornografią dziecięcą i jego komputer został zalany falą tych obrzydliwych zdjęć bez jego wiedzy i zgody. Niejednemu z obecnych na tej sali zdarzyło się pewnie podczas surfowania po Internecie coś podobnego. Można nieświadomie ściągnąć wirusa komputerowego, można klikając na krzyżyk zamykający niechcianą reklamę, zamiast się jej pozbyć, włączyć ją. Internet pełen jest takich pułapek, prawda? - oskarżyciel spojrzał na księdza, delikatnie się uśmiechając.

Wikary poczuł, jak serce zaczyna mu szybciej bić. - Czyżby mnie rozumiał?... - pomyślał, odwzajemniając uśmiech. - Przypuśćmy więc, że oskarżony przypadkowo wszedł na stronę internetową z pornografią dziecięcą i do komputera te

196  
zdjęcia faktycznie trafiły bez jego wiedzy - prokurator kontynuował spokojnym głosem. - W takim razie jak wytłumaczyć, że trzy dni później ten sam oskarżony, który niby padł ofiarą hakera, wchodzi na inną stronę internetową, wpisuje poprawne hasło i zostaje przekierowany na kolejną stronę, na której znajdują się zdjęcia trojga porwanych i zamordowanych już wtedy dzieci? A także fotografie pozostałej trójki maluchów, które udało się uratować z rąk zbrodniarzy tylko dzięki pełnej poświęcenia pracy policji?! - krzyknął. - Na tej samej stronie internetowej, na której zalogował się oskarżony - krzyczał dalej - znajdowały się zdjęcia ukazujące torturowanie ofiar tej potwornej zbrodni! Na tej samej stronie internetowej, na której zalogował się oskarżony, widniało zdanie „Ich koniec jest bliski. Małe aniołki wkrótce pójdą do nieba”, a pod nim zdjęcie oskarżonego!!!

- Co? - zdziwił się wikary. - Moje zdjęcie? To nieprawda! Tam było zdjęcie Macieja Biełdy!

- Tak? - spytał Brodnicki. - Proszę Wysoki Sąd o udostępnienie na chwilę dowodu rzeczowego numer jeden. Chciałbym okazać go oskarżonemu.

- Proszę - sędzia Waza podał prokuratorowi kartkę.

- To jest tak zwany zrzut ekranu tej strony, który prezentowaliśmy już na początku rozprawy. Oskarżenie specjalnie jednak nie podjęło w tamtym momencie tematu tego zdjęcia

- Brodnicki podszedł do ławy oskarżonych. - Czy oskarżony rozpoznaje tę osobę? - wskazał palcem na zdjęcie księdza

Sambora widniejące tuż pod roześmianymi buziami Martynki, Aleksa i Nikoli.

Wikary wpatrywał się w kartkę, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Oskarżony poznaje tę osobę? - powtórzył Brodnicki głosem głośniejszym o jeden ton.

- Tak - wykrztusił ksiądz Sambor. - To moje zdjęcie. Ale to niemożliwe - podniósł głowę, patrząc na prokuratora roz-  
197

bieganymi oczami. - Kiedy wchodziłem na tę stronę, było tam zdjęcie Macieja Biędy. Rozpoznałem tego mężczyznę i natychmiast poinformowałem o tym policję. Spytajcie panią nadkomisarz Weronikę Bielską i pana komisarza Patryka Zielnickiego - mówił roztrzęsionym głosem. - Oni to na pewno potwierdzą.

- Policjanci prowadzący śledztwo w sprawie seryjnego mordercy dzieci przyjęli takie zgłoszenie od księdza - potwierdził Brodnicki beznamiętnym głosem, wciąż stojąc przed ławą oskarżonych. - To jednak nie jest żaden dowód na to, że oskarżony działał w interesie porwanych maluchów. Może za to być dowodem na to, iż działał ksiądz jedynie w swoim własnym interesie, możliwe, że również w interesie swojego współnika, ale tego się już, niestety, nie dowiemy, bo Maciej Bięda nie żyje. Przypomnę tylko, iż został zabity przez oskarżonego - wrócił na swoje miejsce.

- Rozumiem, że pan prokurator wyjaśni nam to bliżej?

- wtrącił sędzia Waza.

- Już to robię. Otóż zdaniem oskarżenia owe zgłoszenie księdza Sambora na policję miało odwrócić uwagę od niego samego i jego zbrodniczej działalności. Oskarżonego zgubiła jednak pycha. Oto natychmiast po wyjściu z komendy miejskiej policji, gdzie udał się jakoby pomóc funkcjonariuszom w złapaniu porywacza i mordercy w jednej osobie, wrócił do swojego mieszkania, włączył komputer i umieścił na tejże stronie internetowej własne zdjęcie - Brodnicki uderzył pięścią w stół. - Wychodzi więc, iż oskarżony mówił prawdę, twierdząc, że na tej stronie internetowej widniało zdjęcie Macieja Biędy. Zapomniał jednak dodać, że później osobiście zastąpił je własną fotografią. Jak ocenił biegły psychiatra, takie posunięcie mogło być spowodowane tym, że oskarżony chciał pokazać całemu światu swoje w cudzysłowie, „dzieło”.

198

- Czy oskarżony odniesie się do tego zarzutu? - spytał sędzia, przeciągając nieco słowa, patrząc przed siebie, chwilę wcześniej zauważył bowiem, jak jeden z fotoreporterów przymierza się, żeby zrobić mu zdjęcie.

Ksiądz Sambor nie odezwał się, patrząc tępym wzrokiem na prokuratora i trawiąc usłyszane przed momentem zarzuty. Odwrócił wolno głowę, zerkając na sędziego Wazę, na sekundę, dwie zawieszając na nim wzrok.

- Czy oskarżony chce się odnieść do tego zarzutu? - powtórzył sędzia, cedząc słowa.

Wikary wciąż milczał. Odwrócił głowę w drugą stronę, przyglądając się widzom. Twarze większości przybrały taki wyraz, że bez problemu można było wyczytać w nich, jaki mają stosunek do księdza Sambora.

Na sali zaległa cisza. Przebijało się przez nią jedynie coraz bardziej wyczuwalne napięcie wśród publiczności, przybierające formę szeptów. Wikary, wciąż twarzą skierowany do ludzi, zamknął oczy, nabrał głęboko powietrza w płuca, by po chwili wypuścić je z sykiem. Otworzył oczy, koncentrując spojrzenie na siedzącej najbliżej kobiecie w średnim wieku. Wpatrywała się w niego oczami pełnymi nienawiści. Przeniósł spojrzenie na mężczyznę obok, przez niego przemawiały te same uczucia.

- Ja... - ksiądz Sambor zaczął mówić. - Wysoki Sądzie...

- zawałał się znów. Dopiero teraz dotarło do niego, jak trudna jest sytuacja, w której się znalazł. Wszystkie dowody i przesłanki wskazywały na niego. Nie dość tego, im bardziej się tłumaczył, próbując oczyścić się z tych potwornych zarzutów - cały czas mając na względzie obowiązującą go tajemnicę spowiedzi - tym bardziej się pograżał. Na każde jedno wyjaśnienie prokurator wyciągał, zupełnie jak magik z kapelusza króliki, dziesięć kolejnych dowodów świadczących o winie.

- Wysoki Sądzie... - zaczął raz jeszcze.

199

- Kiedy oskarżony zwraca się do sądu, ma wstać! - przerwał mu sędzia Waza.

Wikary skinął głową na znak, że zrozumiał. Kiedy podnosił się, mimowolnie zerknął na siedzącego przed nim adwokata, by zobaczyć, jak ten długopisem zamalowuje kolejne kwadraciki w leżącym na stole zeszycie. - Nawet mój własny obrońca nie wierzy w moją niewinność - pomyślał. - Nikt mi nie wierzy. Zostałem zupełnie sam - zagryzł wargi w poczuciu bezsilności.

Wstał, przytrzymując się dłońmi krawędzi ławy. Raptem poczuł, jak robi mu się gorąco. To organizm, nadwerężony stresem ostatnich wydarzeń i poniżającym traktowaniem w areszcie, przemęczony do granic wytrzymałości, powiedział „Dosyć!” Ksiądz Sambor zemdlał, padając z hukiem na podłogę.

Rozdział 23

- Ten człowiek jest poważnie osłabiony. Jego reakcja nie była spowodowana tylko stresem dzisiejszego przesłuchania - ksiądz Sambor słyszał głos, ale ten znajdował się jakby gdzieś hen, daleko. - Podejrzewam odwodnienie i osłabienie organizmu. Pacjent powinien zostać natychmiast poddany hospitalizacji - głos był coraz bliżej.

Wikary otworzył oczy, zobaczył stojącego obok mężczyznę w białym kitlu.

- Czy to aby nie jest tania sztuczka obliczona na odroczenie rozprawy? - spytał czyjś głos. Chwilę trwało, zanim ksiądz Sambor zidentyfikował go jako głos prokuratora Brodnickiego-

- Moim zdaniem nie - odparł krótko lekarz. - Nie ma mowy, żeby człowiek mógł symulować takie reakcje.

- W takim razie nie ma innego wyjścia, jak przerwać rozprawę - zgodził się bez wahania sędzia Waza, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

Wikary podniósł się na łokciach. - Wracamy na salę - szepnął.

- Co pan powiedział? - spytał medyk, obróciwszy się w jego stronę.

- Powiedziałem, że chcę wrócić na salę rozpraw - wychrypiał ksiądz Sambor.

- Ależ pan jest w złym stanie! - zaproponował lekarz. - Dalszy stres może spowodować groźne dla zdrowia i życia skutki. Jeśli wróci pan, znaczy się, jeśli ksiądz wróci na salę, może się to skończyć tragicznie!

- Wracam - oznajmił zdecydowanie wikary, próbując  
201

wstać z noszy. Syknął z bólu, uraziwszy niedoleczony bark. Kręciło mu się w głowie, zbierało na wymioty. Ale przechodzić to wszystko jeszcze raz? Poranną toaletę, podczas której ręka trzymająca maszynkę do golenia drżała niczym u alkoholika? Rewizję osobistą, w której ramach musiał rozbierać się do naga, a później poddawać się upokarzającemu badaniu, odzierającemu człowieka z resztek intymności? Godzić się na transport z aresztu do sali rozpraw, z tymi wszystkimi ludźmi trzymającymi transparenty i krzyczącymi na niego niczym Rzymianie podczas walk gladiatorów, upajający się cudzym cierpieniem i krwią? - Nie - stęknął.

- Co? - sędzia Waza nachylił się, żeby lepiej słyszeć.

- Powiedziałem, że wracam na salę. Nie chcę żadnego odroczenia rozprawy - powtórzył szybko wikary, zaciskając zęby.

- Wie ksiądz, gdzie się znajduje? - westchnął lekarz, świecąc mu latarką po oczach.

- W karetce - odpowiedział ksiądz Sambor.

- To jak? - wtrącił się prokurator.

- Chwileczkę - odparł medyk. - Pamięta ksiądz, co się stało?

- Zemdlałem - szepnął wikary. - Jak się tu znalazłem?

- Sanitariusze przenieśli księdza do karetki - wyjaśnił lekarz. - Moim zdaniem - zwrócił się do sędziego - wskazana jest hospitalizacja.

- Ale przecież oskarżony sam stwierdził, że chce wrócić na salę rozpraw! - zauważył Brodnicki. - Wszyscy to słyszeliśmy - aż ciarki go przeszły na myśl, że ostatnia część przemówienia, przygotowanego w najdrobniejszych detalach, mogłaby się dziś nie odbyć. A przecież najefektowniejszy fragment trzymał na koniec!

- Tak, potwierdzam - sędzia Waza pokiwał dostojnie głową. - Czy oskarżony podtrzymuje swoje zdanie i chce kontynuować rozprawę? - zwrócił się z tym pytaniem do księdza.  
- Tak - potwierdził wikary bez chwili namysłu.

202

- Odradzałbym księdzu taki krok - zza drzwi karetki wychynał adwokat, do tej pory nie zabierający głosu. - Powinien ksiądz posłuchać lekarza i pojechać do szpitala.  
- A od kiedy to pan mecenas zaczął się przejmować moim losem? - w zgorzkniałym głosie księdza Sambora przebijała nutka słabo skrywanej urazy do obrońcy. - Przecież i tak nie wierzy pan w ani jedno moje słowo. Nikt mi nie wierzy. Zapadła cisza. Po chwili przerwał ją sędzia Waza.  
- Skoro oskarżony podjął decyzję, wracamy na salę rozpraw. Wznawiam posiedzenie za piętnaście minut.  
- Oto kolejny dowód na to, że tłumaczenia oskarżonego są tylko nieudolną próbą uniknięcia odpowiedzialności za potworne zbrodnie popełnione na niewinnych stworzeniach, jakimi były zamordowane dzieci - ton głosu prokuratora Brodnickiego był pełen patosu. Gdyby wyrok miał zostać wydany tylko i wyłącznie na podstawie jego wystąpienia, ksiądz Sambor zostałby bez wątpienia uznany za winnego.  
- Oto kopia nagrania wykonanego przez kamerę samochodu Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego na ulicy Kazimierza Wielkiego, na wysokości szkoły muzycznej, do której uczęszczała Sandra Bednarz, trzecia ofiara, bestialsko zamordowana. Wysoki Sądzie, chciałbym teraz odtworzyć to nagranie.  
- Bardzo proszę - sędzia Waza potaknął głową. - Proszę woźnego o włączenie nagrania.

Przygotowanie dwóch telewizorów - na jednym nagranie mieli oglądać sędziowie, prokuratorzy i obrona, drugi został skierowany w stronę mediów i publiczności - zajęło woźnemu pięć minut. Chwilę potem na ekranie pojawiła się postać mężczyzny ubranego w policyjny mundur, podchodzącego do małej dziewczynki.

203

- Ten mężczyzna w mundurze policjanta - rzekł Brodnicki, naciskając pauzę i zatrzymując kadr - to Maciej Bięda, w momencie porwania Sandry Bednarz. Nagranie wykonano przypadkowo, podczas przejazdu samochodu egzaminacyjnego. Zostało znalezione w komputerze oskarżonego po tym, gdy ukradł je z siedziby Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego, włamawszy się do biura. To dowód na to, iż oskarżony, chcąc zatrzeć ślady, które mogły policję doprowadzić do jego współnika, a w efekcie do niego samego, zdecydował się na kradzież tego istotnego dowodu. Popułnił jednak błąd, zgrał bowiem nagranie z komputera ośrodka na dysk przenośny, ale pierwotnej wersji nie skasował, dzięki czemu policja badająca spra-



wę włamania weszła w jej posiadanie, co z kolei pozwoliło rozpocząć poszukiwania Macieja Biędy. Wróćmy na chwilę do momentu kradzieży nagrania - podniósł prawą dłoń z wyciągniętym palcem wskazującym. - Skąd pewność, że to oskarżony osobiście włamał się do ośrodka? Przecież posiadanie nagrania w komputerze to tylko poszlaka - zawiesił na chwilę głos. - Prokuratura ma jednak niezbitą dowód. Oto odcisk buta włamywacza zostawiony na gliniastym podłożu tuż przy ogrodzeniu, przez które przeskoczył, uciekając z miejsca zdarzenia. Taki sam but posiada oskarżony.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zerwał się Marcinkowski.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. Butów o takim, a nie innym bieżniku mogą być tysiące.

- Zgadza się z uwagą obrony - oznajmił z widocznym zadowoleniem prokurator. - Tak się jednak składa, że rankiem tego samego dnia, w którym dokonano włamania, trawniki na posesji należącej do Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego zostały poddane zabiegowi pielęgnacyjnemu w postaci posypania środkiem chwastobójczym. Ślady tego

204  
środka chemicznego wykryto na podeszwie butów oskarżonego. To chyba wystarczający dowód?

- Ocena dowodów leży w gestii składu sędziowskiego - zauważył sędzia Waza. - Czy pan prokurator już skończył?

- Jeszcze tylko jedna kwestia.

- W takim razie proszę kontynuować.

- Ostatni dowód, jaki oskarżenie pragnie przedstawić, łączy się z zaprezentowanym przed chwilą nagraniem. W tym miejscu należałoby bowiem zadać pytanie: w jaki sposób oskarżony i jego współlnik dowiedzieli się o tym nagraniu? Już odpowiadam. Podczas standardowych czynności, jakie policjanci tutejszej komendy przeprowadzili w miejscu pracy oskarżonego, jedna z pracujących tam osób przekazała funkcjonariuszom ogromnie istotne informacje - Brodnicki wstrzymał głos. - Tą osobą jest nauczycielka historii, Maria Piecuch. Jak zeznała, oskarżony tuż po upublicznieniu sprawy porwania Sandry Bednarz w mediach zadzwonił do niej, pytając, czy zna kogoś, kto pracuje w szkole muzycznej, tej samej, sprzed której dokonano porwania dziewczynki. Gdy usłyszał, że w tejże placówce jest zatrudniona jej koleżanka, zwrócił się do nauczycielki historii z pewną prośbą. Jaka? Aby uzyskała od tej koleżanki nagranie z kamery przemysłowej, ale żeby przy tym nie zdradziła, że to on chce wejść w jego posiadanie - relacjonował prokurator. - Jednak na tym nagraniu widać jedynie, jak Sandra Bednarz czeka na mamę przed szkołą i jak w pewnym momencie rusza w stronę ulicy. Nie widać jednak, do kogo podchodzi. Przyglądając się jednakże uważniej temu nagraniu, można dostrzec jadący od strony ulicy Bankowej

samochód egzaminacyjny Ten sam, z którego nagranie zostało skradzione i zaprezentowane przed chwilą Wysokiemu Sądowi - powiedział z zadowoleniem. - Właśnie dzięki temu nagraniu, wykonanemu przez kamerę zamontowaną

205  
na budynku szkoły muzycznej, obaj porywacze dowiedzieli się o potencjalnej możliwości zarejestrowania momentu porwania przez kamerę umieszczoną na samochodzie egzaminacyjnym. I to właśnie dlatego oskarżony włamał się do Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego, aby sprawdzić owe nagranie i je zniszczyć, jeśli zawierałoby niebezpieczną z ich punktu widzenia treść. Jak już mówiłem, w tym momencie oskarżony popełnił błąd, nie kasując oryginalnego nagrania - stwierdził triumfalnie. Podniósł szklankę z wodą stojącą na stole, wypił łyk. - Wysoki Sądzie, w tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę na bezwzględność postępowania oskarżonego. Nie wahał się wykorzystać koleżanki z pracy, która całe swoje życie poświęciła wychowywaniu młodzieży w zgodzie z zasadami uczciwości. Oskarżony nie wahał się też wykorzystać szacunku, jakim nauczycielka historii go darzyła, szacunku należnego księdzu. Wykorzystał ją w perfidny sposób do prowadzenia swojej bezwzględnej i obrzydliwej gry!

Tuż po tym wybuchu prokuratora na sali zaległa cisza.

- Czy obrona chce zabrać głos? - spytał sędzia Waza po chwili milczenia.

Adwokat obrócił się w stronę swojego klienta, zerkając pytająco. Wikary, zrezygnowany, niemal niezauważalnie pokiwał przecząco głową.

- Nie, Wysoki Sądzie, obrona nie ma pytań - odpowiedział Marcinkowski.

- Czy strony zamierzają zgłaszać kolejne wnioski dowodowe? - spytał sędzia.

- Nie, Wysoki Sądzie - oznajmił szybko Brodnicki.

- Nie - rzucił krótko adwokat.

- Jeśli tak, to odraczam rozprawę do poniedziałku do godziny 4.00 - zarządził sędzia Waza, zamykając z hukiem teczkę z aktami.

206

Sala rozpraw nie zdążyła na dobre opustoszeć, gdy na schodach przed budynkiem urzędu marszałkowskiego ustawił się rząd dziennikarzy, czekających na zapowiedzianą wcześniej konferencję prasową prokuratora okręgowego z udziałem komendanta miejskiego policji.

Gdy Brodnicki wyszedł z budynku, wystrzeliły flesze aparatów fotograficznych. Śledczy wolnym krokiem podszedł do ustawionego naprędce stojaka, do którego przyczepiono co najmniej kilkanaście mikrofonów. Odczekał chwilę, wpatrując się w obiektywy aparatów, uśmiechając się po kolei we wszystkie strony, aby każdy z fotoreporterów miał szansę

uwiecznić go z jak najlepszej pozycji.

- Jakiego wyroku zażąda oskarżenie? - padło pierwsze pytanie.

- W obliczu bestialstwa oskarżonego, wniosek prokuratury może być tylko jeden: dożywocie bez prawa do przedterminowego zwolnienia warunkowego - odpowiedział stanowczym głosem prokurator. - Jeśli mogę sobie pozwolić na prywatną uwagę. Pracując nad tą sprawą żałuję, iż w naszym kraju nie wykonuje się kary śmierci. Ale podkreślam: to jest moje prywatne zdanie.

- Kiedy policja wpadła na trop porywaczy? - spytał kolejny dziennikarz.

- Niestety, na to pytanie nie mogę szczegółowo odpowiedzieć. Jedyne co mogę powiedzieć, to że oskarżony został zatrzymany na podstawie działań operacyjnych - odparł komendant miejski policji Przybylski. - Chciałem przy tym zaznaczyć, iż to dzięki ofiarnej pracy naszych funkcjonariuszy, dzięki uruchomieniu wszelkich zasobów osobowych, jakimi dysponuje nasza komenda, udało się zdobyć niepodważalne dowody winy tego zbrodniarza...

207

- Najpotworniejszego zbrodniarza świata od czasów doktora Mengele - Brodnicki wszedł w słowo komendantowi, robiąc przy tym pauzę, aby ci z dziennikarzy, którzy notowali jego słowa, mieli odpowiednio dużo czasu, by zapisać je w kajetach. - Ale niniejszym mogę państwu obiecać jedno: już nikt przez tego pana życia pozbawiony nie będzie. Prokuratura dysponuje na tyle silnymi dowodami, iż z całą pewnością w tej sprawie zapadnie wyrok skazujący. Jestem o tym święcie przekonany.

- Czy adwokat oskarżonego skomentuje fakt, że ksiądz Sambor nie chce odpowiadać na pytania zadawane przez prokuratora i sąd? - padło kolejne zapytanie.

- Mój klient jak państwu jest wiadomo nie przyznaje się do winy, odmawia przy tym składania wyjaśnień - odpowiedział Marcinkowski.

- Dlaczego? - naciskał dziennikarz. - Jeśli jest niewinny, powinien współpracować z sądem. Nie boi się tego, że opinia publiczna zinterpretuje to milczenie jako chęć uniknięcia odpowiedzi na trudne pytania?

- To samo zasugerowałem Wysokiemu Sądowi na sali rozpraw - przypomniał Brodnicki, uśmiechając się szeroko.

- Czekamy na odpowiedź, panie mecenasie - ponaglił reporter.

- Obrona zdaje sobie sprawę, że opinia publiczna może negatywnie oceniać milczenie księdza Sambora. Ale to suwerenna decyzja mojego klienta, którą należy uszanować - powtórzył z naciskiem adwokat. - Zresztą, proszę państwa... będąc świadkiem dzisiejszej rozprawy i śledząc zachowanie zgromadzonej w sali publiczności, a także słysząc wypowie-

dzi obecnego tutaj prokuratora, mam wrażenie, że państwo już dawno wydaliście wyrok w tej sprawie - rzucił z niesmakiem, odwrócił się i zszedł ze schodów, zasłaniając się rękami przed błyskiem fleszy.

208

#### Rozdział 24

Tuż po powrocie do aresztu otwarły się drzwi karceru, ukazał się w nich strażnik. Gestem ręki nakazał wikaremu wyjść.

- Ma ksiądz gościa - warknął. - Idziemy do świetlicy.

Tam czekał już Jarosław Nowicki.

- Dziękuję księdzu - powiedział dziennikarz bez zbędnego wstępu.

- Za... ? - spytał cicho wikary.

- Za to, że nie podał ksiądz na rozprawie mojego imienia i nazwiska. Mógłbym mieć poważne nieprzyjemności.

- Przywiodła tu pana chęć odwdzięczenia się za przysługę?

- Nie - zaprzeczył energicznie. - To nieprawda, co ksiądz powiedział, że nikt księdzu nie wierzy, włącznie z adwokatem. Ja wierzę.

- Skąd pan wie o tej rozmowie w karetkce? - spytał zdziwiony.

- Powiedzmy, że mam swoje sposoby - uśmiechnął się szeroko.

- Więc po co pan przyszedł?

- Chcę księdzu pomóc. Tylko nie wiem jak.

- I myśli pan, że ja panu powiem? - westchnął. - Gdybym wiedział, jak można mi pomóc, jak sam mógłbym sobie pomóc, już dawno bym to zrobił.

- Ksiądz wie coś, czego nie może powiedzieć, prawda?

- rzucił bez uprzedzenia. - Skrywa jakąś tajemnicę?

Wikary nic nie odpowiedział, tylko się nieznacznie uśmiechnął.

209

- O to więc nie będę pytał, bo i tak mi ksiądz nic nie powie - stwierdził dziennikarz, zamyśliwszy się. - A mógłby mi ksiądz cokolwiek powiedzieć? Wskazać jakikolwiek trop, którym mógłbym pójść?

Wikary zagryzł wargi.

- Tak sobie myślę o tym wszystkim... - zaczął ksiądz Sambor. - Wie pan co? Wystarczyłoby, żeby policjanci bardziej przyłożyli się do swojej pracy.

-I...?

- I nie zadowalali się każdą pierwszą napotkaną odpowiedzią na swoje pytania. Czasem prawda skrywa się nieco głębiej. Tylko trzeba chcieć ją znaleźć.

- Nie każdy wniosek nasuwający się jako pierwsze i najbardziej prawdopodobne rozwiązanie jest celny?

- Trafił pan w sedno. Chyba sam bym tego lepiej nie ujął.

- A konkretniej?
  - Ma pan dojdzie do akt sprawy?
  - Mam.
  - Więc jeśli nadal chce mi pan pomóc, musi pan się do nich dostać, a potem przeprowadzić własne śledztwo. Ale trzeba podrażnić nieco głębiej niż zrobili to policjanci i prokuratorzy.
  - Tak zrobię - Nowicki wstał. - Im szybciej zacznę, tym lepiej.
  - Mam nadzieję, że uda się panu coś znaleźć - wikary uściśnął dłoń dziennikarza na pożegnanie. - Ale nawet gdyby się panu nie udało, chciałbym, żeby pan wiedział, iż ogromnie mi pomógł.
  - W jaki sposób?
  - Wierząc we mnie - odpowiedział cichym, ale nadzwyczaj mocnym głosem. - Jest pan chyba jedyną osobą, która wierzy w moją niewinność.
  - Kto to może wiedzieć? - zauważył filozoficznie Nowicki.
- 210
- Być może w tej kwestii ksiądz się myli? Może jednak są ludzie, którzy jeszcze księdza w swoich sercach nie skazali?

Maria Piecuch weszła do pokoju dziennego ze szklanką w dłoni. Czuła gorąco przebijające przez szkło. Szybko postawiła naczynie na stoliku, uprzednio położywszy podkładkę. Zobaczyła pyłek kurzu na blacie, pośliniła palec, dotknęła nim brudu i poszła do kuchni, aby wyrzucić do śmietnika. Wróciła do pokoju, usiadła w fotelu, naciskając guziczek pilota. Telewizor przez dłuższą chwilę nie zareagował, potem pokazał się obraz. Na widok czołówki jej ulubionego serialu „P jak problemy” uśmiechnęła się do siebie. Wtem rozległ się dzwonek do drzwi.

- Kogo niesie o tej porze? - zmarszczyła brwi, wyłączyła dźwięk w telewizorze i spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Nie spodziewała się tego dnia gości, tym bardziej o 19.00. Pewnie akwizytor. - Spojrzała na półkę pod telewizorem, gdzie od kilku tygodni stał niewielkich rozmiarów karton. „Cudowne garnki gotujące bez grama soli” - zachwalał sprzedawca. Tylko dlaczego słowem nie wspomniał, że przypała się już przy pierwszym gotowaniu? Zacisnąwszy pięści na wspomnienie tego wydarzenia i straconej gotówki, postanowiła zignorować dzwonek. Ale ten, kto stał za drzwiami, najwyraźniej nie zamierzał się tak szybko poddawać. Ciszę panującą w pokoju ponownie rozdarł dźwięk gongu, tym razem był dłuższy, a przez to jeszcze bardziej natarczywy. Piecuch spojrzała na ekran telewizora. Paweł Broczek akurat wymachiwał obiema rękoma, dyskutując ze swoim bratem bliźniakiem. - Znowu nie będę wiedziała, o co chodzi skrzywiła się, mimo to podeszła do drzwi. Przekręciła zamek, ale łańcucha nie ściągnęła. Zamierzając jak najszybciej

spławić niechcianego gościa, uchyliła tylko lekko drzwi.

211

- Chyba tak tego nie zostawimy? - rzuciła krótko Beatrycze Stawska, bo to ona stała na korytarzu.

Piecuch, zdziwiona niepomiernie, nic nie powiedziawszy, zdjęła łańcuch i wpuściła koleżankę do środka.

- Czego nie zostawimy? - spytała po chwili, gdy już oprzytomniała.

- Sprawy księdza Sambora, a niby czego? - odparła Stawska typowym dla siebie tonem.

- Chyba nie do końca rozumiem...

- To ja ci zaraz wszystko wyjaśnię - ucięła niecierpliwie.

- Chyba nie zamierzasz rozmawiać ze mną w przedpokoju?

- Najmocniej przepraszam, gdzie moje maniery? - Piecuch przyłożyła obie dłonie do policzków. - Wejdz do pokoju. Zrobić ci coś do picia? Akurat zaparzyłam sobie herbatki z ziółek.

- A masz coś zimnego?

- Sok pomidorowy! - krzyknęła z kuchni.

- Może być.

- Proszę - po chwili podała Stawskiej szklanę.

- Dziękuję - uśmiechnęła się. - A teraz do rzeczy. Co zrobimy w sprawie księdza Sambora?

- Nie rozumiem? Co masz na myśli?... - zmarszczyła brwi.

- Chodzi ci o moje zeznanie, które wykorzystała prokuratura podczas dzisiejszej rozprawy?

- A tak było faktycznie? Ksiądz Sambor prosił cię o nagranie z kamery zamieszczonej na szkole muzycznej?

- Tak - kiwnęła głową. - To było wtedy, gdy dowiedzieliśmy się o porwaniu tej dziewczynki.

- To chyba jeszcze o niczym nie świadczy, co nie? - spytała, gryząc paznokcie.

Piecuch nic nie odpowiedziała, wypila tylko łyk herbaty.

- Mogę ci zadać pytanie i oczekiwać szczerzej odpowiedzi?

- Stawska spojrzała koleżance głęboko w oczy.

212

-Tak.

- Wierzysz, że ksiądz Sambor to zrobił? Porwał, torturował, krzywdził i zabijał dzieci?

- Nie! - odparła Piecuch bez chwili namysłu. - Wiem, że był w jakiś sposób uwikłany w tę sprawę, ale nie wierzę, że mógłby kogokolwiek tak skrzywdzić, nie mówiąc już o dzieciach.

- Znasz go o wiele dłużej niż ja. I o wiele lepiej.

- Dlatego nie wierzę w to, co słyszałam dziś w sądzie.

- Ale to wszystko, co mówił prokurator, ma sens.

- Może i ma - Piecuch wzruszyła ramionami. - Lecz przypuścimy, że faktycznie wikary chciał się tylko dowiedzieć czegoś więcej o porwaniach...

- Po co?

- Mi powiedział, że jeden z tych chłopców chodził do szko-

ły, w której uczył jego kolega ksiądz. I że próbował znaleźć więcej informacji, żeby mu pomóc.

- Komu?

- Temu koledze księdzu.

- Tylko po co? - powtórzyła Stawska.

- Nie wiem - rozłożyła ręce w geście bezradności.

- Coś mi tu nie pasuje. To wszystko, o czym mówił prokurator, to... - zamilkła, szukając odpowiedniego określenia.

- To tak do siebie pasuje. Jak ulał.

- W niektórych momentach aż za bardzo.

- Właśnie! - pstryknęła palcami. - Oglądałaś dzisiejsze wiadomości?

- Wiadomości? - spytała Piecuch, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- W telewizji.

- Nie. Gdy wróciłam z sądu, położyłam się spać, bo mnie rozboleła głowa.

- To od nadmiaru wrażeń - Stawska znów przygryzła paznokiec. - Wracając do tych wiadomości: ludzie już wydali 213

na niego wyrok. Nawet jego obrońca, ta marneja, która nie potrafi sklecić porządnie jednego zdania, też się zachowuje, jakby był przekonany o jego winie. Jeśli my mu nie pomożemy, nikt się za nim nie wstawi i zgnije za kratkami.

- Mogę cię o coś spytać?

-Wal.

- Dlaczego chcesz pomóc wikaremu? Przecież masz uraz do księży.

- A kto mi kilka dni temu perorował o tym, że nie wolno wrzucać wszystkich do jednego worka?

-Ja.

- No właśnie.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie - rzekła Piecuch, patrząc rozmówczyni prosto w oczy. - Jeszcze kilka dni temu dopiekałaś wikaremu przy każdej okazji, a dzisiaj chcesz walczyć o jego dobre imię. Dlaczego?

- Dlaczego? - Stawska powtórzyła pytanie i zmarszczyła brwi. - Wiesz, tak szczerze, to chyba chcę się dowiedzieć, czy on naprawdę to zrobił. Nie znam go co prawda tak dobrze jak ty, ale i tak nie chce mi się wierzyć, iż byłby zdolny do takich potwornych rzeczy. Chcę się przekonać, czy mam rację.

- A jeśli miałyby się okazać, że jest winny? To co wtedy zrobisz?

- Przestanę wierzyć w bliźnich - odpowiedziała smutno.

- Jeśli okaże się, że jest winny, będzie to znaczyło, iż kompletnie nie umiem oceniać ludzi - westchnęła. - To od czego zaczniemy?

- Miałam nadzieję, że ty masz jakiś pomysł...

Stawska spojrzała na koleżankę, nic nie odpowiedziawszy.

Wtem zadzwonił telefon, Piecuch podniosła słuchawkę.

- Tak? - spytała. - Tak, kuzynie. W sprawie księdza Sambora? - zerknęła wymownie na Stawską. - Bardzo chętnie. Akurat jest u mnie koleżanka z pracy, która też go zna. Żadna

214  
z nas nie może uwierzyć, że on... Tak... Co?!... Naprawdę?! To by była wspaniała wiadomość! Tak, oczywiście, porozmawiamy z tobą... Za kwadrans?... Będziemy czekać.

- Kto to był? - rzuciła niecierpliwie Stawska, gdy tylko Piecuch odłożyła słuchawkę.

- Mój kuzyn, dziennikarz „Głosu Naszego Miasta” - odpowiedziała, wyraźnie podekscytowana. - Chce z nami porozmawiać o wikarym.

- A konkretnie? - pytała dalej zaciekawiona.

- O tym, że ksiądz Sambor jest niewinny.

Gdy wikary wrócił do karceru, na posadzce znalazł wydruk internetowego wydania „Super Faktów”, a w nim obszerną relację z rozprawy, okraszoną olbrzymim zdjęciem jego zakrwawionej twarzy, tym samym, które następnego dnia widniało na pierwszych stronach niemal wszystkich gazet. Zaczął czytać.

„Bezwzględny ksiądz pedofil nie przyznał się do winy i uporczywie odmawiał odpowiedzi na pytania sądu i prokuratury. Wykorzystując lekkie skaleczenie, usiłował przeciągnąć rozprawę, jednak zdecydowana postawa sędziego prowadzącego zapobiegła temu. Skandalem można nazwać zachowanie oskarżonego, który wielokrotnie podczas rozprawy uśmiechał się, śmiał, odnosząc się w ten sposób do stawianych mu zarzutów. Zdaniem naszych ekspertów, których spytaliśmy o opinię, takie zachowanie, biorąc pod uwagę odmowę składania zeznań, może świadczyć o specjalnie przyjętej taktyce. W ten sposób bowiem bestialskiemu mordercy dzieci może się wydawać, iż panuje nad sytuacją, upajając się jednocześnie każdym szczegółem tych potwornych zbrodni, opisywanym na forum publicznym przez prokuratora”.

215

Zacisnął pięści, spoglądając w stronę drzwi, by zobaczyć, jak opada zamknięcie od judasza. Zmiał kartki, postanowiwszy dalej nie czytać i nie denerwować się wymyślonymi przez dziennikarzy rewelacjami, nie mającymi nic wspólnego z rzeczywistością. Nagle wstał, podszedł do leżącej w kącie papierowej kuli, podniósł ją, rozwinął, rozprostowując na kolanie. Przeczytał tekst do końca. Pod artykułem widniały wyniki internetowej sondy. Pytania były dwa. Pierwsze: „Czy uważasz, że ksiądz jest winny?”, drugie: „Jaka kara powinna spotkać taką bestię?”. Spojrzał na liczby. W pierwszym momencie poczuł, jak lodowate ciarki przechodzą mu po plecach, chwilę potem żal, który szybko ustąpił uczuciu kompletnej bezsilności.



W sondzie wzięło udział 148 tysięcy 589 internautów. Jeśli wierzyć danym przytoczonym na stronie internetowej, zdaniem ich wszystkich (co do jednego!) był winny. Przy punkcie dotyczącym proponowanej kary widniały trzy liczby.

2 procent - tyle osób opowiedziało się za karą 25 lat więzienia, 26 procent - za dożywociem, pozostałe 72 procent wybrało opcję „kara śmierci”, którą zamieszczono z zastrzeżeniem, że w Polsce nie obowiązuje.

Spojrzał raz jeszcze na pierwszą liczbę. Ani jedna osoba nie wierzyła w jego niewinność. Ani jedna. Kartki wypadły mu z dłoni. Poczul się taki samotny.

Potwornie samotny i ogromnie zmęczony.

Rozdział 25

- Będę się streszczał, bo mamy bardzo mało czasu - zaczął Nowicki tuż po tym, jak kuzynka przedstawiła go Stawskiej.  
- Ale gdyby coś z tego, co zaraz powiem, było niezrozumiałe, pytajcie od razu.

- Jasne - rzekła krótko Stawska. - Tylko dlaczego mamy mało czasu?

- Bo z tego, co wiem, ksiądz Sambor jest w kiepskim stanie psychicznym i jeszcze gorszym fizycznym - odpowiedział szybko. - Jest bardzo źle traktowany w areszcie, fatalnie się odżywia, doznał urazu barku, został mocno pobity, a dziś rano najpewniej doszedł do tego jeszcze wstrząs mózgu. Sumując to wszystko dostajemy ogromnie niebezpieczną mieszankę. Lekarz, z którym rozmawiałem, a który rano badał wikarego, stwierdził, że bezwzględnie powinien się jak najszybciej znaleźć w szpitalu pod kroplówką.

- To dlaczego tam nie trafił? - zdziwiła się Piecuch.

- Bo nie chce - odparł, kiwając głową. - Boi się, że zostałyby to odebrane jako próba uniknięcia więzienia i odpowiedzialności. I za nic nie chce przedłużać sprawy w sądzie.

- Wcale mu się nie dziwię - mruknęła Stawska.

- Do rzeczy - ponaglił. - Pierwsza sprawa: chłopiec, który rozpoznał księdza Sambora. Stwierdził jedynie, że to ksiądz rozmawiał z nim na kilka minut przed akcją policji i uwolnieniem. Nie rozpoznał go jednak jako tego, który go porwał i uwięził. Dwa: zdjęcie księdza na stronie internetowej, na której były zamieszczone zdjęcia porwanych i zamordowanych dzieci. Fotografia została umieszczona na tej stronie zaledwie osiem minut po wyjściu wikarego z komendy. Nie-217

możliwe, żeby zdążył dojechać do mieszkania, włączyć komputer i podmienić zdjęcia. Wcześniej w tym miejscu widniała podobizna Macieja Biędy - przypomniał.

- To było tuż przed północą, prawda? - spytała retorycznie Stawska. - Miasto jest wtedy opustoszałe, na ulicach niewiele samochodów. Jazda z komendy do plebanii mogła zabrać cztery, góra pięć minut.

- Tak - przyznał szybko Nowicki. - Pod warunkiem, że

pojechałby z komendy prosto do siebie.

- A nie pojechał? - wtrąciła Piecuch z ożywieniem.

- Nie! - krzyknął triumfalnie, kładąc na biurku kartkę papieru. - To jest kopia zeznania jednego z policjantów, którzy go zatrzymali. Stwierdza tutaj, iż ksiądz mówił coś o tym, że włamał się do domu Macieja Biędy zaraz po tym, jak wyszedł z komendy, a zanim pojechał do hali przemysłowej na ulicy Inżynierskiej. Ksiądz twierdził, że włamał się do domu Biędy!

- Nie było o tym słowa na sali sądowej - zauważyła Stawska.

- To by tylko potwierdzało tezę, że policja trzyma się przyjętej z góry hipotezy, iż wikary jest winny - odparł celnie.

- O śladach włamania do domu Biędy mówiło też dwoje funkcjonariuszy prowadzących śledztwo, ci sami, z którymi ksiądz rozmawiał, próbując zwrócić ich uwagę na Biędę.

- Zdaniem prokuratury zrobił to, aby sprowadzić policję na ślepy tor - przypomniała Piecuch.

- To miałoby sens, gdyby wikary faktycznie współpracował z Biędą - zaproponował Nowicki.

- Tak samo trzyma się kupy wersja księdza Sambora.

- Stawska strzeliła palcami. - Jeśli faktycznie nie miał nic wspólnego z porwaniami, a w jakiś sposób wpadł na trop prawdziwego zabójcy, czyli tego Biędy, to...

- Proszę mówić dalej - zachęcił ją.

- To... poszedł na policję, żeby podzielić się swoimi podej-

218  
rzeniami. Policjanci pewnie zlekceważyli go, a wtedy postanowił sam działać.

- Mamy jeszcze rozmowę telefoniczną, Bięda dzwonił do księdza o - Piecuch zerknęła na do notatnika - 22.59, rozmowa trwała 37 sekund.

- Robiłaś notatki? - spytała Stawska zaciekawiona.

- Tak - Piecuch oblała się rumieńcem.

- I bardzo dobrze, kuzynko - pochwalił ją Nowicki. - Prokuratura upiera się, że obaj ustalali ze sobą plan działania wobec ostatniej trójki dzieci. Ksiądz twierdzi zupełnie coś innego: że Bięda zadzwonił do niego i powiedział, iż dzieciom pozostały dwie godziny życia.

- Dlaczego wikary nie opowiedział tego sądowi? - rzuciła Piecuch.

- Nie mam pojęcia - dziennikarz rozłożył ręce. - Może jest zbyt zmęczony? Może już się pogodził z losem? Wszystkie dowody i poszlaki przedstawiane przez policję i prokuraturę wskazują jednoznacznie na niego.

- Tylko że te poszlaki i dowody można roztrzaskać o kant nie powiem czego - prychnęła Stawska. - Jeśli to prawda i morderca zadzwonił do księdza, żeby mu powiedzieć, iż za dwie godziny zabije dzieci, to wersja wikarego nabiera jeszcze większego prawdopodobieństwa.

- Dokładnie! - potwierdził Nowicki. - Ale powiem pa-

niom jeszcze coś, od czego staną wam włosy na głowie. Ten telefon od Biędy o 22.59...

- Tak? - powiedziały jednocześnie.

- Wiecie, skąd Bięda dzwonił?... Z mieszkania księdza Sambora!

- Żartujesz? - Piecuch rozdziawiła usta z wrażenia.

- Skąd pan to wie? - spytała z kolei Stawska.

- Mam znajomego w sieci komórkowej - uciął. - Namierzyć miejsce, z którego dzwoniło, to bułka z masłem.

219

- Skoro wikary z komendy pojechał do mieszkania Biędy, to by znaczyło, że w tym samym czasie Bięda był w mieszkaniu księdza - dedukowała Stawska. - I to on wkleił zdjęcie wikarego na stronę internetową, zastępując nim swoje.

- Właśnie! A ksiądz myszkuje w domu Biędy znalazł coś, co podpowiedziało mu, gdzie porywacz ukrył dzieci - pod wpływem wydarzeń umysł dziennikarza wyrabiał nadgodziny. - I od razu tam pojechał. Tam, czyli na Inżynierską.

- Tylko jak udowodnić, że wikary faktycznie włamał się do domu Biędy? - skontrowała Piecuch.

- Nic prostszego - uśmiechnął się Nowicki. - Policja prowadzi w tej sprawie dochodzenie, które jak na razie bardzo się ślimaczy. Wystarczy, że sprawdzą odciski palców. Jeśli należą do księdza, sprawa jest jasna.

- A płyty z tym filmem? - wtrąciła Stawska.

- Na sali sądowej to się pięknie komponowało - odpowiedział podekscytowany. - Ale wystarczyło porównać daty zakupu. Ksiądz kupił płytę dopiero po trzecim porwaniu, Bięda dwa miesiące wcześniej. Gdyby planowali wykorzystać fabułę filmu do własnych celów, dokonaliby zakupu chyba w tym samym czasie? Nie mówiąc już o tym, że wystarczyłaby im do tego jedna kopia...

- Nie chce mi się w to wierzyć - przerwała mu Stawska.

- Sprawdziłem to dokładnie - zaproponował dziennikarz.

- Nie to miałam na myśli - dodała Stawska wyjaśniająco.

- Chodziło mi o to, że obalamy po kolei każdy dowód oskarżenia. A najdziwniejsze jest to, iż nasza wersja jest równie prawdopodobna, co wersja prokuratury. Dlaczego śledczy na to wszystko nie wpadli?

- Bo mają klapki na oczach - szydził Nowicki. - Od samego początku skoncentrowali się na tej wersji, która im najbardziej leżała. Potem tylko dopasowywali kolejne dowody jak elementy układanki. Faktycznie, one do siebie pasują,

220

tyle że jeśli im się dobrze przyjrzeć, to widać między nimi duże luki.

- Jak w puzzlach, które się źle złoży - porównała Piecuch.

- Jak w puzzlach - zgodził się bez wahania. - Tylko że my, widząc te luki, poszukaliśmy innych pasujących elementów układanki, zaś policjantom i prokuratorom najwyraźniej nie

chciało się w to bawić.

Piecuch zerknęła znów do notatnika.

- A ta karteczka z imieniem „Otto”... pewnie od ciebie dostał tę informację - ni to spytała, ni stwierdziła.

- Ode mnie - odparł.

- Mam jeszcze jedno pytanie - wtrąciła się Stawska. - Wikary załogował się na tę pornograficzną stronę internetową. Skoro znał hasło...

- Wystarczyło nieco przetrzepać jego komputer, by znaleźć kilka cennych informacji. Załogował się tylko raz, za to wcześniej kilkanaście razy wpisywał błędne hasło. Poprawne brzmiało „Michael Logan”, imię i nazwisko księdza z filmu Hitchcocka.

- Chcesz powiedzieć, że wikary, oglądając ten film, który wcześniej obejrzał morderca, wpadł na to, jakiego zabójca użył hasła, żeby zablokować wejście na swoją chorą stronę internetową? - Stawska zerknęła z niedowierzaniem.

- Pasuje, prawda? - w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko.

- I to jak! - Stawska pacnęła dłonią w nogę.

- Została nam już tylko sprawa zeznań mojej drogiej kuzynki i kwestia nagrań z kamer na szkole i w samochodzie egzaminacyjnym - rzekł Nowicki. - Nie masz się co obwiniać, nic złego nie zrobiłaś - pośpieszył z wyjaśnieniami, widząc, jak ta nabiera powietrza, chcąc coś powiedzieć.

- Nie? - spytała Piecuch niepewnie.

- Jeśli przyjąć naszą wersję wydarzeń, oba wątki wyglądają zupełnie inaczej. Ksiądz Sambor po prostu próbował namie-

221  
rzyć mordercę - tłumaczył dziennikarz. - Stąd jego prośba o nagranie z kamery. Oglądając je, zobaczył „elkę” i wpadł pewnie na pomysł, iż kamera z auta mogła coś ciekawego zarejestrować. Tyle.

- Genialne - stwierdziła Stawska z uznaniem. - Proste i genialne.

- Chodź, ksiądz - warknął strażnik, gdy tylko otworzyły się drzwi karceru.

- Ktoś do mnie przyszedł? - spytał cicho wikary.

-Nie.

- To gdzie mam iść?

- Do świetlicy.

- Po co?

- Zobaczyć się w telewizji - zarechotał.

- A jeśli nie będę chciał?

- Nie będzie ksiądz chciał? - klawisz zrobił krok w stronę wikarego. - To wtedy pogadamy inaczej - syknął, z całej siły uderzając go pałką w udo.

- Aaaa! - krzyknął, upadając na kolana.

- Idziemy do świetlicy czy może chce ksiądz dalej dyskutować? - spytał, przymierzając się do kolejnego ciosu.

Ksiądz Sambor spojrzał na niego bez słowa. Podźwignął

się z kolan i ruszył wolno przed siebie. W świetlicy nie było nikogo. Strażnik posadził go na krześle przed telewizorem, przykuł kajdankami do poręczy i włączył odbiornik. Po krótkim bloku reklamowym rozpoczęła się transmisja konferencji prasowej biskupa Tadeusza Batczyka. To znaczy miała się rozpocząć, bo najwyraźniej było małe opóźnienie.

- Proszę państwa - zaczęła mówić prezenterka serwisu informacyjnego. - Otrzymałam właśnie informację, iż biskup Batczyk nie weźmie udziału w konferencji. W jego zastęp-

222  
stwie wypowie się rzecznik kurii, ksiądz Krzysztof Bajna

- obok dziennikarki na drugiej połówce ekranu pojawiła się postać księdza podchodzącego do mikrofonu.

- Szczęść Boże. Dzień dobry państwu - rozpoczął rzecznik. - Jego ekscelencja ksiądz biskup Tadeusz Batczyk będzie się modlił za księdza Sambora - zapewnił.

- A co z ofiarami? Za nie też się pomodli? - wypalił jeden z dziennikarzy.

- Za ofiary księdza Sambora też... - ksiądz Bajna nagle przerwał. - To znaczy, chciałem powiedzieć: za ofiary mordercy, bo nie powinniśmy przesądzać o winie księdza Sambora. Tak więc chciałem powiedzieć, że ksiądz biskup za ofiary mordercy będzie się modlił jeszcze gorliwiej - stwierdził wyraźnie speszony.

Na dźwięk tych słów wikary tylko smutno się uśmiechnął. W takim miejscu jak to, w którym się znajdował, modlitwa, nawet samego biskupa, niewiele mogła mu pomóc. Odmawianie zdrowasiek też nie pomagało ukoić nerwów. Modlił się w celi długimi godzinami - choć nie przez cały czas, to prawda - ale ta modlitwa brzmiała w jego uszach coraz bardziej sztucznie.

- To na wszystkie pytania znaleźliśmy już odpowiedzi, poza jednym - zauważyła Stawska.

- Jakim? - zaciekała się Piecuch.

- Dlaczego ksiądz nie chce zeznawać. Wystarczyłoby, że powiedziałaby to wszystko, co wie i byłby wolny - oznajmiła Stawska.

- Kuzynie? - Piecuch spojrzała na Nowickiego. - Jak cię znam, znów nas czymś zaraz zaskoczysz.

- I dobrze mnie znasz - uśmiechnął się szeroko, biorąc do ręki pęk kartek. - To wydruki stron internetowych przeglą-

223  
danych przez księdza od momentu upublicznienia informacji o pierwszym porwaniu. Jest kilka stron pornograficznych, w tym ta jedna, skąd dostał niechcianą serię zdjęć, o których mówił prokurator. Do tego dziesiątki domen traktujących o walce z pornografią dziecięcą i... - zawiesił głos dla lepszego efektu - kilka stron o tajemnicy spowiedzi.

- Czyli to jednak prawda, że wcale nie chodzi o to, iż nie

chce zeznawać, tylko że nie może? - powiedziała niepewnie Piecuch.

- Tak to wygląda - odpowiedział z przekonaniem Nowicki.

- I w tym momencie wszystko układa nam się w zgrabną całość.

- I co teraz? - stwierdziła Stawska. - Wiedzieć to jedno, udowodnić to drugie.

- Proponuję opowiedzieć o tym wszystkim policjantom prowadzącym śledztwo. Wszystko, jak na spowiedzi. Wtedy... - Nowicki umilkł, gdy tylko dotarł do niego sens wypowiedzianych chwilę wcześniej słów.

- Jak na spowiedzi - westchnęła Piecuch. - Nie wiem, czy rozmowa z policjantami, którzy narobili już tyle złego, to dobry pomysł. Ale chyba nie mamy innego wyjścia. Tylko że musimy być naprawdę przekonujący. Bo wikary nam tej wersji nie potwierdzi.

- Dlaczego? - spytali jednocześnie Stawska i Nowicki.

- Jeżeli faktycznie wiąże go tajemnica spowiedzi, to nie dość, iż nie wolno mu zdradzić niczego, co podczas niej usłyszał, to nawet nie może ujawnić, że taka spowiedź w ogóle miała miejsce - rzuciła Piecuch.

- Chwileczkę, chwileczkę - zaproponowała Stawska. - Przecież podczas rozprawy adwokat przyznał, że ksiądz w hali spowiadał mordercę. obrońca mógł to wiedzieć tylko od niego. Czyżby jednak złamał tajemnicę?!

- Nie - odparła Piecuch bez zastanowienia. - Jeden z po-

224  
licjantów widział ten moment, jest więc świadek spowiedzi. Skoro tak, to sam fakt jej odbycia nie jest już tajemnicą. Co innego jeśli ten morderca spowiadał się u księdza wcześniej, na osobności. W tym przypadku ksiądz Sambor nic nam na ten temat nie powie. Ani słówka - tłumaczyła cierpliwie.

- W takim razie rzeczywiście musimy być naprawdę przekonujący - stwierdził nieco filozoficznym tonem Nowicki.

- Bo jeśli tymi informacjami nie przekonamy śledczych, nie zrobi tego nikt. A już na pewno nie wikary z taką blokadą na ustach.

Dochodziła 21.00, ale żadne z trójki Stawska, Piecuch i Nowicki nie zastanawiało się nawet chwili, czy odkładać rozmowę z policjantami do następnego dnia. Wsiedli do samochodu dziennikarza i po kwadransie byli w kenie. Tam dowiedzieli się, że nadkomisarz Bielska skończyła służbę i będzie w pracy jutro. Ta informacja zbiła ich z tropu, ale tylko na moment, okazało się bowiem, iż Nowicki wie, gdzie policjantka mieszka. Jazda pod jej kamienicę zabrała im dziesięć minut, więc gdy zapukali do drzwi, zbliżała się 21.30

- My w sprawie księdza Sambora - rzuciła Stawska, gdy tylko drzwi się otworzyły. Piecuch ze swoim kuzynem nie ode-

zwali się słowem.

- Proszę państwa, to moje prywatne mieszkanie - zaczęła mówić Bielska, wyraźnie zaskoczona wizytą. - Może wpadniecie państwo jutro do pracy? Zaczynam zmianę o 7.00.

- Ale... - zaoponowała Stawska.

- A tak właściwie, to kim jest ten pan? - przerwała jej policjantka. - Panie kojarzę, obie jesteście nauczycielkami ze szkoły księdza. Pana nie znam.

- Jarosław Nowicki - przedstawił się.

225

- „Głos Naszego Miasta”? O, nie! Nie będę z panem rozmawiała - Bielska wykonała ruch rękoma, jakby chciała się odgrodzić od dziennikarza. - Na temat tej sprawy z mediami rozmawia tylko rzecznik. Powiem panu słowo i będę miała nieprzyjemności.

- Jestem tu prywatnie - rzucił Nowicki. - Tak samo zresztą jak te panie.

- Wiemy, że jest późna pora - Piecuch wtrąciła się do rozmowy. - Ale nie przychodzilibyśmy do pani, gdyby to nie była pilna sprawa.

- Ale ja już się sprawą księdza Sambora nie zajmuję. Teraz to działka prokuratury - powiedziała policjantka.

- Nie? - spytała Stawska. - Ale się pani zajmowała. Powinno więc chyba panią interesować to, że naszym zdaniem ksiądz jest niewinny - stwierdziła z naciskiem.

- I oczywiście macie na to dowody - rzuciła Bielska sarkastycznie.

- Mamy - Nowicki uśmiechnął się, wyjmując z aktówki teczkę i machając nią policjantce przed oczami. - Całą masę.

- Więc jak? Wpuści nas pani i pogadamy, czy będziemy tak stać, aż spadnie pierwszy śnieg? - mruknęła Stawska.

Bielska jeszcze niechętnie, ale już z zaciekawieniem w oczach pozwoliła gościom wejść do mieszkania. Omówienie dowodów zajęło Nowickiemu kwadrans. Kilkakrotnie musiał powtarzać niektóre dane, policjantka zadawała bowiem mnóstwo pytań, ale z czasem można było po głosie funkcjonariuszki poznać, że te klocki zaczynają się i jej układać w pewną całość. Zaskakującą całość.

- To jednokrotne logowanie, poprzedzone wieloma nieudanymi próbami wejścia na stronę ze zdjęciami porwanych dzieci - Bielska zwróciła się w stronę dziennikarza.

226

- Pomyśleliście, iż takie działanie ze strony księdza mogło być celowe?

- Celowe? - zdziwiła się Piecuch.

- Jeśli przyjąć, że to jednak ksiądz Sambor był autorem lub współautorem tej strony, mógł doskonale znać hasło i wpisywać je błędnie tylko po to, aby stworzyć sobie w ten sposób wytłumaczenie - wyjaśniała cierpliwie policjantka. - Do-

kładnie takie wytłumaczenie, jakie właśnie podaliście.

- Że niby podwójny bluff, tak? - Stawska spojrzała podejrzliwie na Bielską. - Dobrze, przyjmijmy, iż ma pani rację, a to błędne logowanie było obliczone tylko i wyłącznie na stworzenie sobie czegoś w rodzaju alibi. To jest jedna z wersji przyjęta przez policję, tak?

- Tak - potwierdziła niepewnie Bielska, spodziewając się tego, co za chwilę nastąpi.

- A czy sprawdziliście drugą możliwą opcję, czyli tę naszą?

- cisnęła Stawska.

- Nie - odparła krótko policjantka.

- A mi się wydawało, że fundamentalna zasada brzmi: wszelkie wątpliwości powinno się rozstrzygać na korzyść oskarżonego, czy nie tak? - zauważyła Stawska. - A już na pewno każdy taki podwójny trop należałoby poddać analizie i zweryfikować. Wystarczyło przecież sprawdzić, kto jeszcze logował się na tej stronie i czy aby przypadkiem to nie ta druga osoba wpisywała hasło od razu poprawnie.

Nieprawdaż?

- Nie zrobiliśmy tego - przyznała Bielska, biorąc głęboki wdech.

- A my, i owszem - Nowicki podał jej zadrukowaną kartkę papieru. - To lista wejść na stronę przez cały miesiąc przed zalogowaniem się księdza Sambora. Ktoś na nią wchodził za pośrednictwem innych witryn internetowych

227  
rozsianych po całym świecie. Większości tych ścieżek nie uda się już odtworzyć, zaginęły w gąszczu sieci. Ale moim specem od komputerów udało się kilka namierzyć. Wszystkie prowadzą pod ten adres - dotknął palcem wytłuszczonego fragmentu.

- Dom Macieja Biędy - szepnęła policjantka.

- Skoro wystarczyło dokładniej sprawdzić kilka poszlak, to dlaczego wszystkim tak łatwo przyszło uznać go za winnego?

- Stawska zmieniła nagle temat, nie kierując jednak pytania do nikogo konkretnego.

- A pani nie uznała go za winnego, usłyszawszy to, co inni na sali sądowej? - Bielska odezwała się pierwsza, odpowiadając pytaniem na pytanie.

- Niemal to zrobiłam - przyznała Stawska z wahaniem.

- Bardzo łatwo jest oceniać kogoś na podstawie relacji w mediach. Szkopuł w tym, iż media często posługują się tylko strzępami informacji, najczęściej tymi najbardziej spektakularnymi, niekoniecznie jednak najważniejszymi i dającymi pełny obraz sytuacji - wtrącił Nowicki. - Natomiast kiedy człowiek zacznie się przyglądać detalom, zdarza się, że szybko zmienia zdanie.

- Cisza - syknęła policjantka. - Dajcie mi chwilę pomyśleć - zaczęła chodzić po pokoju, nerwowo pstrykając palcami. Kilka razy podchodziła do stołu, na którym Nowicki



położył kartki z notatkami, wertując je. Trwało to niemal kwadrans. Kolejną godzinę spędziła samotnie w kuchni, rozmawiając niemal bez przerwy przez telefon, dzwoniąc do Zielnickiego i innych policjantów. Stawska, Piecuch i Nowicki co rusz słyszeli jej podniesiony głos. Kiedy Bielska wróciła do pokoju, znów w milczeniu siadła do lektury notatek dziennikarza. Ciszę po trzydziestu minutach przerwała dopiero Stawska.

228

- Nic pani nie powie? - niemal warknęła.

Funkcjonariuszka nie zareagowała.

- Więc...? - mruknęła Stawska nagłaco.

- A co? - odezwała się nagle Bielska. - Właśnie się dowiedziałam, że być może pomogłam wsadzić do więzienia niewinnego człowieka - podeszła do Stawskiej i spojrzała jej głęboko w oczy. - Co mam zrobić? Może z radości skakać pod sufit?

- Nie - Stawska zimno to powiedziała, lodowato. - Teraz ma nam pani pomóc go stamtąd wydostać.

Rozdział 26

Dzień 18 (sobota)

- Żartujesz? - komendant był zaskoczony tym, co powiedziała mu nadkomisarz. Gdy tylko skończyła rozmawiać z Piecuch, Stawską i Nowickim, pojechała do komendy, wcześniej zadzwoniwszy do szefa, by umówić się z nim na rozmowę.

- Nie mam nastroju do żartów - Bielska pokiwała smutno głową.

- Jeśli to się okaże prawdą... Media nas zjedzą żywcem. I jeszcze posypią solą! - złapał się za głowę.

- Prym w tej grupie wiedzie Nowicki z „Głosu Naszego Miasta”.

- Co? - komendant wybałuszył oczy. - Ten pismak? To teraz już po nas!

- Szefie, szczerze mówiąc, mało mnie obchodzi, co będą o policji wypisywały gazety, jeśli się okaże, iż przedstawione przez nas dowody były warte funta kłaków. Bardziej przejmuję się tym, że wsadzamy do więzienia niewinnego człowieka i to oskarżając go o takie potworne czyny. Facet jest w tej chwili najbardziej znieawidzonym obywatelem tego kraju, a może i świata...

- Chwila, chwila - zaoponował. - Jeszcze nikt nie udowodnił, że on jest niewinny.

- A to wszystko, o czym panu właśnie powiedziałam? - spytała z naciskiem, zdziwiona.

- To tylko hipoteza...

- Hipoteza? - przerwała mu zdenerwowana. - Hipoteza to jest ta wersja, którą prokuratura przedstawiła w sądzie.

230

W porównaniu do naszych dowodów te - pomachała wy-

mownie teczką z dokumentami otrzymanymi od Nowickiego - są o wiele bardziej wiarygodne.

- To trzeba najpierw sprawdzić - rzekł, zaciskając zęby.

Bielska po wyrazie jego twarzy widziała, że komendant podjął już decyzję. - A to będzie oznaczać mnóstwo roboty.

- Nowicki poradził sobie z tym wszystkim w jeden dzień.

My do poniedziałkowej rozprawy mamy dwa dni. Jeśli dostanę kilku ludzi, uporam się z tym bez problemu.

- Nie - wychrypiął komendant. - Jeśli będzie przy tym pracować za dużo osób, ktoś puści farbę i zanim zweryfikujemy nowe dane prasa dowie się o wszystkim.
- Przecież jeśli sami dojdziemy do tego, że ksiądz Sambor jest niewinny, też to opublikujemy - podniosła brwi w geście zdziwienia.
- Ale wtedy przedstawimy to jako swój sukces - po raz pierwszy podczas tej rozmowy się uśmiechnął. - Mimo dowodów wskazujących na winę oskarżonego policjanci nie ustawali w staraniach o rzetelne sprawdzenie wszystkich możliwych dowodów i wersji wydarzeń...
- Jak pięknie powiedziane.
- Prawda? - komendant nie zauważył ironicznego tonu Bielskiej. - Dlatego zajmiesz się tym sama, z Zielnickim.
- To potrwa o wiele dłużej - sprzeciwiła się.
- Wasza dwójka i nikt więcej - oświadczył. - Nikt więcej!

Wikary obudził się nagle. Otworzył oczy, w celi było ciemno. Ostre, przejmujące aż do bólu światło żarówki zawieszanej na suficie zastąpiła nieprzenikniona czerń. Wtem wyczuł czyjąś obecność, jakby ktoś stał przy drzwiach. Wyteżył wzrok, próbując ogarnąć przestrzeń przed sobą, ale to nie pomogło.

231

- Jest tu kto? - spytał cicho.

Odpowiedziała mu cisza.

- Jest tu kto? - powtórzył głośnie.

Nagle wyczuł ruch w tym samym miejscu, w które się bezskutecznie wpatrywał. Ułamek sekundy później coś lub ktoś ruszyło w jego stronę, krzycząc przeraźliwie. Sam też krzyknął, śmiertelnie przestraszony, ale z ust wydobył się tylko cichy syk powietrza. Zanim zdążył się tym zdziwić, poczuł, jak czarna postać rzuca się na niego, oplatając czymś w rodzaju dużego płaszcza. Instynktownie osłonił twarz, szamocąc się z napastnikiem. Raptem poczuł jego oddech tuż przy swojej twarzy, oddech tak potwornie śmierdzący jak z wnętrza kloaki. Zebrało mu się na wymioty, za wszelką cenę próbował skoncentrować się na tym, żeby nie wdychać powietrza nosem, gdy na szyi poczuł ręce śliskie niczym macki ośmiornicy. Natychmiast za nie chwycił, próbując rozluźnić uchwyt, ale to było tak, jakby kijem chciał przebić stalowy pancerz czołgu. Zaczęło mu brakować tchu, czuł, jak słabnie z sekun-

dy na sekundę. Resztką sił spróbował odepchnąć napastnika, bez rezultatu. Czuł, jak palą go płuca, oszalałe brakiem tlenu, próbujące za wszelką cenę zdobyć choć malutki łyżeczek cennego powietrza. Bliski utraty świadomości, spiął obolałe mięśnie do ostatniego ataku. Podciągnął nogi, kolanami dotykając niemal brody, by wypchnąć je nagłym ruchem przed siebie. Razem z ubraną na czarno postacią zwałił się na posadzkę.

Otworzył oczy. W celi było jasno, przejmujące światło żarówki rozświetlało nawet najdalsze zakamarki pomieszczenia. Rozejrzał się wokół, wewnątrz nie było nikogo. Dotknął dłonią czoła, było złane potem.

- To tylko zły sen - szepnął, wzdychając głęboko. - To był tylko zły sen.

232

Ledwie wikaremu udało się zasnąć, obudziło go głośne przekręcanie klucza w drzwiach.

- Rewizja - syknął strażnik. Skuł księdza Sambora i przypiął do drzwi sąsiedniej celi, podczas gdy sam, centymetr po centymetrze, sprawdził dokładnie pomieszczenie. Wynik przeszukania musiał być zadowolający, bo klawisz wyszedł uśmiechnięty.

- Sprawdzam, czy nie ukryłeś gdzieś, księżulku, żyletki, żeby sobie podciąć żyły i oszczędzić wstydu, kiedy wszystkie telewizje będą pokazywać twoją mordę. Nie, nie. Tak łatwo się nie wymigasz - strażnik złapał aresztanta za ramię, próbując podciągnąć go do góry. Wikary wzdrygnął się, zrzucając uścisk, sam wstał z krzesła. Spojrzał na strażnika, ale nie odezwał się słowem. - No, chyba że któregoś wieczora zapomnimy zamknąć na klucz kilka cel, w tym twoją. Chłopcy z bloku B chętnie by się tobą zajęli. Gwarantuję, że miałbyś niezapomniane doznania. Utkwiłyby ci w pamięci aż do śmierci. O, zrymowało się - zarechotał.

Ksiądz obrócił się powoli i spojrzał na klawisza.

- Nie sądźcie, żebyście nie byli sądzeni - wyszeptał.

- Zachowaj te gadki dla siebie, klecho - warknął strażnik i pchnął wikarego. Ten zrobił krok naprzód, ale ponieważ obie ręce miał wykręcone do tyłu, stracił równowagę i uderzył głową w ścianę. Leżąc na podłodze, okręcił się, spoglądając na klawisza. Z rozbitego nosa leciała krew.

- O, krewka poleciała... Tylko mi teraz nie mów, że jesteś męczennikiem za wiarę - zaśmiał się strażnik. Niespodziewanie podszedł do księdza, który wciąż leżał na posadzce, i z całej siły kopnął go prawą nogą w brzuch. - Może sprawdzimy, czy otworzyła ci się rana w boku? To dopiero byłaby sensacja - wycedził przez zęby, patrząc, jak wikary bezsku-

233

tecznie próbuje złapać powietrze. Z zalanych krwią ust wydobywały się czerwone pęcherzyki powietrza.

Tuż przed południem przyszedł Marcinkowski. Zaczął od

pytania o rozbity nos, ale że jedyną reakcją wikarego było niemal niewidoczne wzruszenie ramion, nie naciskał więcej.

- Chcę księdzu coś pokazać - oznajmił adwokat bezbarwnym tonem. - Na wideo. Musimy przejść do świetlicy, już o tym rozmawiałem z naczelnikiem, zgodził się - dodał wyjaśniająco. - Uprzedzam, że to nie będzie przyjemne.  
- Wie pan co, mecenasie? - westchnął ksiądz Sambor. - Ja już chyba przestałem wierzyć w to, że spotka mnie tutaj coś dobrego.

Pięć minut później obaj zajęli miejsca w świetlicy. Adwokat, pod czujnym okiem strażnika zajmującego pozycję „na baczność” w kącie pomieszczenia, włożył kasetę do odtwarzacza. Projekcję rozpoczęła seria reklam, potem ukazał się budynek prokuratury okręgowej.

- Dzień dobry, witam wszystkich państwa na specjalnej konferencji prasowej poświęconej sprawie seryjnego mordercy - na ekranie ukazała się postać prokuratora Brodnickiego w nienagannie skrojonym garniturze i idealnie wyprasowanej, jasnoniebieskiej koszuli. - Zdecydowaliśmy się zwołać ją w dzień wolny od pracy, ponieważ postanowiliśmy przekazać państwu bardzo istotne informacje, z których upublicznieniem nie chcemy czekać do poniedziałku. Zresztą na ten dzień zaplanowane jest wznowienie rozprawy, tak więc emocji nam nie zabraknie - uśmiechnął się. W tle można było usłyszeć cichy wybuch śmiechu zgromadzonych w sali dziennikarzy.

- Konferencja była dziś rano - wtrącił Marcinkowski szeptem.

234

- Chciałbym zaprezentować państwu elektroniczną mapę naszego miasta - Brodnicki nacisnął guziczek na trzymanym w dłoni urządzeniu. Na ścianie, za jego plecami, ukazała się pajęczyna ulic. Przy niektórych pulsowały czerwone, ponumerowane światełka. - Te punkty - prokurator wskazał na mapę - to nic innego, jak miejsca, w których aparat oskarżonego logował się do sieci telefonii komórkowej. W materiałach poglądowych, które właśnie rozdaje państwu mój zastępca, znajdziecie dokładne wyliczenia czasu i miejsca, w których przebywał oskarżony. Tuż obok przy niektórych punktach znajdują się informacje o miejscach, w których w tym samym czasie znajdował się Maciej Bięda. Także w tym przypadku do określenia dokładnych lokalizacji wykorzystaliśmy logowania się telefonu komórkowego w poszczególnych stacjach bazowych znajdujących się na terenie miasta. Jak wynika z tych materiałów, obaj mężczyźni kilkakrotnie przebywali w tym samym miejscu i w tym samym czasie.

- Mam pytanie - padło nagle z sali. - Z tych danych wynika, że po opuszczeniu komendy policji ksiądz Sambor pojechał do domu Macieja Biędy, podczas gdy ten znajdował

się w tym czasie w zupełnie innym miejscu. To by przeczyło wersji prokuratury, że w tym czasie umawiali się, jak zatrzeć po sobie ślady. Jak pan to skomentuje?

- Tak, bardzo dziękuję za tę cenną uwagę - rzucił bez przekonania Brodnicki.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - wtrącił zastępca prokuratora okręgowego Marcin Wojciechowski. - Możliwe jest, że obaj mężczyźni plan działania ustalili wcześniej.

- To co w takim razie ksiądz robił w domu Biędzy? - spytał ktoś.

- Być może udał się tam po jakąś rzecz, której zapomniał wcześniej zabrać - odparł Wojciechowski.

235

W tym momencie Marcinkowski wyłączył nagranie.

- Dalej nic ciekawego nie ma - stwierdził adwokat. - Skomentuje to ksiądz?

- Co mam skomentować?

- Przebywanie w tym samym miejscu i czasie z Maciejem Biędą - rzucił niecierpliwie.

- Samo przebywanie w tym samym miejscu i czasie z kimkolwiek jeszcze o niczym nie świadczy.

Marcinkowski podniósł rękę, jakby chciał coś powiedzieć, ale wikary go uprzedził.

- Wiem, wiem, zaraz mi pan powie, iż akurat w tej sprawie to świadczy o mojej winie. I że takie tłumaczenie niczego nie wyjaśnia. I pewnie jeszcze, że za dużo w tym wszystkim jest znaków zapytania. Mam rację?

- Ująłbym to nieco inaczej, ale chodzi mniej więcej o to samo - potwierdził adwokat. - Dalej chce ksiądz milczeć?

- To nie jest kwestia mego chcenia.

- Więc czego?

- Już panu mówiłem: nie mogę powiedzieć.

- Znowu to samo! - Marcinkowski walnął teczką w stół.

- Czy ksiądz nie zdaje sobie sprawy, że jest w opłakanej sytuacji i każda kolejna godzina milczenia tylko ją pogarsza?

Wikary spojrział na niego, ale nic nie powiedział.

- Człowieku! Za dwa dni sędzia wznowi proces. Jeśli dalej będziesz tak się zachowywał, prokuratura do spółki z opinią publiczną cię ukrzyżuje! - krzyknął adwokat. - Wczoraj oglądałem film „Zawód szpieg”. Robert Redford mówi tam coś takiego: „Wiesz, kiedy Noe zbudował Arkę? Zanim nastąpił potop.” Jeśli ksiądz nie zacznie mówić, i to teraz, a nie za jakiś czas, będzie kiepsko.

- Nie mogę nic powiedzieć - wikary spuścił wzrok.

236

Marcinkowski podszedł do niego, delikatnie chwycił go za brodę, uniósł nieco głowę i spojrział prosto w oczy.

- A może ksiądz trzyma wszystkie informacje na koniec procesu? Na mowę końcową? - spytał adwokat.

Wikary popatrzył na niego przeciągle.

- Nie. W mowie końcowej też będę musiał milczeć - powiedział ze łzami w oczach.

- Ale dlaczego, na Boga?

- W tym jednym ma pan rację, mecenasie - po tych słowach Marcinkowski spojrział na wikarego pytającym wzrokiem. - Tylko Pan Bóg może mi teraz pomóc - po policzkach księdza spłynęły wielkie łzy. - Trzeba jednak postawić pytanie: czy Bóg to zrobi?

Stawska z Piecuch siedziały na kanapie przed telewizorem, czekając na telefon od Nowickiego, gdy zadzwoniła Bielska. Rozmowa była krótka, policjantka stwierdziła z żalem - Stawska słysząc ton jej głosu była gotowa się założyć, że jest autentyczny, nie udawany - że śledztwo stanęło w miejscu. Prokuratura nie zgodziła się bowiem na powtórne wejście do domu Biędzy. A tylko tam na twardym dysku komputera zmarłego można było sprawdzić najistotniejsze dowody.

- A gdyby tak ktoś niespodziewanie podrzucił policji ten twardy dysk? - wypaliła Stawska bez namysłu.

- Robota ruszyłaby z kopyta - odpowiedziała natychmiast policjantka. - Coś pani planuje?

- Ja? - Stawska udała zdziwioną. - Nic szczególnego.

- Co ty znowu wymyśliłaś? - spytała Piecuch koleżankę, gdy tylko skończyła rozmawiać z Bielską.

237

- Chcesz pomóc księdzu Samborowi? - odpowiedziała Stawska pytaniem na pytanie.

- Przecież wiesz.

- W takim razie szykuj się na swój pierwszy raz.

- Pierwszy raz? - powtórzyła zdziwiona.

- Każdy ma swój pierwszy raz. Włamywacze też - uśmiechnęła się szelmowsko.

Chwilę później dzwoniła już do Nowickiego, prosząc go o namierzenie adresu domu Macieja Biędzy.

Rozdział 27

Dzień 19 (niedziela)

Wieczorem dziennikarz jednak nie zadzwonił. Piecuch pożegnała Stawską, obiecawszy skontaktować się z nią, jeśli tylko kuzyn przekaże adres.

W niedzielę historyczka wstała z samego rana, wybrała się na mszę o 7.00, prosto z kościoła poszła do aresztu. Dłuższą chwilę wyklócała się z dowódcą zmiany, który o tak wczesnej porze nie chciał się zgodzić na widzenie, w końcu ustąpił.

W tym samym czasie, w którym Piecuch - sama zdziwiona swoją czelnością - sprzeczała się z dowódcą zmiany, wikary leżał na kocu wpatrzony w sufit. Wtem poczuł ruch przy drzwiach, podniósł się i rozejrzał po pomieszczeniu. Chwilę wpatrywał się w skrzydło, by w końcu ujrzeć w szparze między nim a podłogą coś białego. Podeszedł bliżej, próbując

paznokciami złapać tę rzecz, bezskutecznie. Położył się na posadzce, zerkając w szparę: to była kartka papieru, zgięta w kostkę. Jeszcze raz spróbował wyciągnąć ją palcami, tym razem z powodzeniem.

Rozprostował zawiniątko na kolanie, niecierpliwie wyglądając zagięcia. Z wierzchu kartka była pusta, szybko ją odwrócił. U góry zobaczył namalowany długopisem krzyż, poniżej zaś wypisane drukowanymi literami swoje imię. Sambor. Na widok tego słowa poczuł przebiegający po plecach dreszcz. Zsunął wzrok niżej, zaczął czytać pod nosem to, co było tam napisane. - Sambor, staropolskie imię męskie, złożone z członów „Sam”, czyli „samotny”

239  
oraz „bor” czyli „walczyć”, „zмагаć się”. Oznacza „walczącego samotnie”.

Zacisnął dłoń trzymającą kartkę tak mocno, że ta aż się pogięła. Ponownie ją rozprostował, przeczytał jeszcze raz. Zamknął oczy, wciąż trzymając niespodziewany prezent w dłoni, tym razem jednak o wiele ostrożniej. Stał nieruchomo, z kącików oczu poleciały łzy. Najpierw jedna, potem druga, trzecia, aż po chwili zaczęły spadać na posadzkę jedna za drugą. Otworzył oczy, by spojrzeć raz jeszcze na tekst. Usiadłszy na pryczy, zaczął bezgłośnie szlochać.

Piecuch po krótkiej, ale bardzo burzliwej sprzeczce ze strażnikiem udało się uzyskać zgodę na widzenie.

- Boże, co się księdzu stało? - spytała, patrząc na napuchnięty nos, który, wielki niemal jak pięść, wyglądał o wiele gorzej niż poprzedniego dnia.

- Uderzyła mnie podłoga - wikary próbował się uśmiechnąć, ale tylko syknął z bólu, gdy naciągnięte mięśnie twarzy uraziły bolące miejsce.

- Pobili księdza - szepnęła z niedowierzaniem. - Kto?

Więźniowie? Strażnicy? Kto to zrobił? - rzucała pytaniami z prędkością karabinu maszynowego.

- Pani Mario - zaczął dobrotliwie. - W takim miejscu jak to ktoś taki jak ja, oskarżony o takie rzeczy, nie ma łatwego życia. Szczerze mówiąc, to swego rodzaju cud, iż jeszcze żyję - efektem kolejnej próby uśmiechnięcia się był następny bolesny skurcz twarzy.

- Przecież ksiądz tego nie zrobił.

- Oni wszyscy tutaj - zatoczył ręką koło - wierzą w moją winę, więc... - przerwał nagle, zrozumiałwszy sens wypowiedzianych przez nią słów. - Co pani powiedziała? - spytał. Jego rozbiegane oczy zalśniły niczym słońce zachodzące nad morskimi falami.

240

- Powiedziała, że ksiądz tego nie zrobił - powtórzyła spokojnie, uśmiechając się szeroko. - Tych potwornych czynów, które się księdzu przypisuje.

- Boże drogi! - złapał się za głowę, nie zwracając uwagi na

ból promieniujący od nosa. - Jest pani pierwszą osobą, która wierzy, że ja tego nie zrobiłem. Pierwszą! No, jeszcze pani kuzyn...

- Od samego początku nie mogłam w to uwierzyć. Ale wiara to jedno, w tym przypadku o wiele istotniejsza jest wiedza.

- Wiedza?

- Wiedza - powtórzyła jak echo. - Mamy pewność, że ksiądz nie jest zbrodniarzem. Wręcz przeciwnie, przez cały ten czas próbował ksiądz powstrzymać mordercę.

- Wiecie o tym? Skąd? - pytał oszołomiony. - I jacy „my”? To jest ktoś jeszcze?!

- Mój kuzyn dziennikarz, o którym ksiądz przed chwilą wspominał, i nasza koleżanka z pracy, Beatrycze Stawska.

- Beatrycze? - oznajmił z widocznym niedowierzaniem.

-Ona?

-Ona.

- Ale jak... Skąd wiecie? - pytał dalej. - I właściwie, to co dokładnie wiecie?

- To właściwie zasługa kuzyna - pokiwała głową z uznaniem. - Poszukał trochę, podzwonił do swoich informatyków, poszperał gdzie trzeba, sprawdził parę danych, porównał pewne fakty, zweryfikował wersję policji i prokuratury. I wszystko wyszło jak czarne na białym - w skrócie opowiedział o ustaleniach Nowickiego. - Policja już to sprawdza. W oczach wikarego pierwszy raz od wielu dni pojawił się błysk nadziei.

- Ile im to zajmie? - spytał niecierpliwie.

- Bielska, ta nadkomisarz, napotkała trudności - zaczęła  
241

tłumaczyć. - Prokuratura nie chce jej wpuścić do domu Macieja Biędy żeby sprawdziła zawartość jego komputera.

- Jestem wykończony całą tą sytuacją. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam - szepnął zawiedziony.

- Musi się ksiądz trzymać. Nie poddawać się wątpliwości...

- Niech mi pani nie mówi, co mam robić - przerwał jej nagle. Po iskierkach w oczach nie było już śladu. - Niech mi pani nie mówi, jak to jest, bo pani tego nie wie. Ktoś, kto nie szedł w śnieżycę pod wiatr, kilkanaście godzin bez jedzenia i ciepłego picia, ten nie wie, jak to jest całym wysiłkiem woli zmuszać się do zrobienia każdego kolejnego kroku. Jak ciężko jest nie usiąść i nie zasnąć - mówił ze łzami w oczach.

- Jeśli nie spędziła pani choćby dnia w więzieniu, oskarżona o takie potworne zbrodnie, nie może pani wiedzieć, jak wtedy traktują cię strażnicy i inni więźniowie. Tu nie ma nikogo, kto podałyby mi rękę, pomógł w czymkolwiek - powiedział chrapliwie. - Odkąd tu jestem, nie zjadłem nawet jednego pełnego posiłku. Pierwsze dwa zostały wrzucone do celi i rozbryzgały się o podłogę. W kolejnej porcji zupy pływał ogon szczura. Karaluchy, pająki i inne żyjątka znajdowane



w jedzeniu przestałem już nawet liczyć. Nie jestem w stanie tknąć niczego, co mi tu dają. Piję tylko wodę.

- Pójdę do naczelnika więzienia i mu powiem, że...

- Co mu pani powie? - znowu jej przerwał.

Spojrzała na niego w milczeniu.

- Kilkoro uczniów i uczennic z klas, które ksiądz uczy, przyszło do mnie. Pytali, czy mogą księdzu jakoś pomóc

- wymieniła nazwiska.

- Oni do pani przyszli? - zdziwił się niepomiernie.

- Wiem, że to ci, którzy zawsze na księdza najbardziej narzekali i sprawiali największe kłopoty wychowawcze. Sama też nigdy nie podejrzewałabym ich o taką dojrzałość. Powiedzieli, że nie potrafią uwierzyć, iż ksiądz byłby zdolny do  
242

czegoś takiego. Że owszem, nieraz się z księdzem kłócili na różne tematy, czasem nawet dyskusje były ostre i nie przebiegali w słowach, ale ksiądz zawsze szanował ich poglądy mimo że są tak odmienne od poglądów księdza. Jak to się księdzu udało?

- Co? - spytał zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Zdobyć szacunek tych młodych ludzi - wytłumaczyła.

- Żadnemu z pedagogów w naszej szkole to się nie udało.

- Z młodzieżą trzeba postępować inaczej. Nie można jej wszystkiego narzucać i mówić „Bo tak ma być i już”. Młodzi ludzie, tak samo zresztą jak wielu starszych, a w dzisiejszych czasach jest ich szczególnie dużo, chcą myśleć samodzielnie, samemu dochodzić do pewnych rzeczy. Zresztą zawsze uważałem, że Stwórcy nie zależy na produkowaniu owieczek podążających ślepo za swoim pasterzem, tylko tworzeniu istot myślących, szukających Boga, zastanawiających się nad Jego potęgą, miłością i miłosierdziem - uśmiechnął się delikatnie.

- Kto pyta, ten przynajmniej się nad czymś zastanawia, sam dochodzi do wniosków. A że to trwa czasami bardzo długo, bywa że i całe życie? Co z tego, skoro wiara urodzona w taki sposób, zazwyczaj bardzo bolesny, jest znacznie silniejsza od tej ślepo przyjętej?

Chwilę później Piecuch rozstała się z wikarym, powtarzając mu, żeby się trzymał, bo wkrótce wszystko się wyjaśni i zostanie oczyszczony z zarzutów. Prosto z aresztu poszła do Stawskiej, by tu czekać na informacje od kuchni. Dziennikarz zadzwonił w południe, podając adres domu Macieja Biędy. Kobiety wsiadły do auta Stawskiej, krwiście czerwonego garbuska, pojechały po Nowickiego, by razem omówić plan włamania. Cała trójka poszła następnie na niewielkie wzniesienie, skąd niepostrzeżenie  
243

dla innych mogła obserwować dom mordercy. Po godzinnym rekonesansie, gdy wszystkie szczegóły topograficzne widoczne z drogi były już sfotografowane, spiskowcy podjechali pod samą furtkę, Stawska sprawdziła, czy jest za-

mknięta - była - i wrócili do mieszkania Nowickiego. Tam sporządzili w miarę dokładny szkic i kolejny raz omówili plan. Potem pozostało tylko czekać, aż zajdzie słońce. Choć żadne z nich się do tego nie przyznało, te godziny nicnierobienia w oczekiwaniu na występki, którego mieli się wkrótce dopuścić, były najbardziej męczącymi i stresującymi w ich życiu. No, może poza tym czasem, który mieli spędzić, włamując się do domu Macieja Biędzy. Plan był genialnie prosty, przynajmniej w założeniach. Stawskiej, jako jedynej z kobiet posiadającej prawo jazdy i umiejącej jeździć autem, przypadło w udziale czekanie w samochodzie przed posesją. W tym czasie Nowicki z kuzynką mieli wejść do środka, znaleźć jednostkę napędową komputera, wziąć ją pod pachę i czym prędzej wrócić do auta. Cała operacja miała potrwać góra kilkanaście minut. Ale, jak to w życiu bywa, rzeczywistość sprawę skomplikowała. I to zanim domorośli włamywacze pokonali ogrodzenie.

Płot z metalowymi, ozdobnie kutymi przesłami był wysoki, dlatego dziennikarzowi przypadło w udziale jako pierwszemu przejście go. Złapał się prętów, podciągnął, przełożył lewą nogę na drugą stronę i już miał podać kuzynce rękę, by pomóc jej przeskoczyć ogrodzenie, gdy straciwszy równowagę, zsunął się na dół, tłumiąc siłą woli krzyk, jaki wydarł mu się z ust tuż po tym, gdy było słychać głośne chrupnięcie. To lewa kostka, zaklinowana między szczelkami, została zwichnięta albo nawet złamana. Piecuch, przy udziale Stawskiej, która całe zdarzenie obserwowała przez szybę auta i przybiegła natychmiast ze wsparciem, pomogła Nowickiemu wyciągnąć poturbowaną kończynę i zejść na ziemię. Dzień-244

nikarz, podtrzymywany pod rękę, dokuśtykał w pobliże samochodu, usiadł na chodniku.

- I co teraz? - spytał, zaciskając zęby z bólu.

- My pójdziemy - odparła Stawska bez chwili zastanowienia.

- Damy radę? - Piecuch rozglądała się nerwowo na boki.

- Ogrodzenie jest wysokie.

- Chwila - rzekła Stawska.

Wsiadła do auta, przekreśliła kluczyk w stacyjce, cofnęła kawałek i rozpędziwszy samochód, uderzyła przodem, nieco po skosie, w bramkę. Hałas, o dziwo, nie był duży, za to skuteczność takiego działania, i owszem. Furtka wyleciała z zawiasów i wylądowała na trawniku. Stawska ponownie cofnęła i zaparkowała jednym kołami na ulicy, drugimi na chodniku w taki sposób, aby autem maksymalnie zasłaniać wejście na posesję.

- Idziemy, szybko - rzuciła do koleżanki, gdy wysiadła z samochodu.

- A on? - odpowiedziała Piecuch, zerkając na kuzyna.

- Schowam się w aucie. Jakoś dokuśtykam - rzucił Nowicki,

obejmując obiema dłońmi bolącą kostkę. - No, idźcie już!  
Po wejściu na posesję od razu skierowały się na tyły domu.  
Podeszły do drzwi prowadzących na taras. Wybita przez wikarego szyba została już wymieniona, a samych drzwi dodatkowo strzegły policyjne plomby.

- Co teraz? - spytała Piecuch.

- Wejdziemy - odpowiedziała ze spokojem Stawska.

- Włamiemy się?

- A po co tu przyjechałyśmy? Taki mamy plan od samego początku.

- To jednak jest włamanie - Piecuch najwyraźniej dopadły wyrzuty sumienia.

- Ale w słusznej sprawie - stwierdziła autorytatywnie Stawska.

245  
ska. - Słuchaj, kochana, inaczej się do tego domu nie dostaniemy. A jeżeli nie wejdziemy do środka, nie będziemy mogły znaleźć dowodów, które pomogą w uwolnieniu księdza - powiedziała, mocując się z drzwiami. Naparła na nie całym ciężarem ciała, ale te ani drgnęły. Odwróciła się. - Jeśli to dla ciebie zbyt trudne, wróć do auta - powiedziała, przechodząc obok. Zeszła z tarasu na alejkę prowadzącą do basenu, przyglądając się kamieniom, które leżały, starannie ułożone, po obu jej stronach. Wybrała największy, ze szpiczastym końcem. Zwążyła go w dłoni, zadowolona cmoknęła pod nosem.

- To jak? - spytała, mijając ponownie Piecuch. Podeszła do drzwi, kucnęła, wzięła zamach celując w dolną część okna, odwróciła głowę, uderzając ostrym końcem kamienia w szybę. Na szkłe pojawiła się rysa. Stawska złapała kamień, tym razem obiema dłońmi, wzięła zamach i uderzyła drugi raz. Szyba rozbiła się w drobny mak. Tym samym kamieniem oczyściła ramy drzwi z resztek szkła. Schyliła się, już miała wejść do środka, gdy o czymś sobie przypomniała. - Więc? - spojrzała na koleżankę, wchodząc do wewnątrz.

- Idę z tobą - odpowiedziała Piecuch. Westchnęła głęboko, podeszła do drzwi, podciągnęła spódnicę i weszła do środka. Znalezienie gabinetu zabrało im zaledwie minutę. Włączenie komputera kolejną. Stawska zalogowała się do systemu bez problemu, zaczęła przeglądać zawartość twardego dysku.

- Zachowujesz się jak haker - sapnęła z podziwem Piecuch. - Może jednak lepiej zabrać sprzęt i sprawdzić go w domu?

- Jeśli nic w nim nie znajdziemy, nie ma sensu go kraść. Znaczą się, pożyczają - poprawiła się.

- Nie podoba mi się to - Piecuch znów zaczęły targać wątpliwości.

246

- Kochana, mi się w życiu wiele rzeczy nie podoba, ale jakoś sobie muszę z nimi radzić, chcę czy nie - stwierdziła filo-

zoficznym tonem, cały czas buszując w systemie.

- To za długo trwa - powiedziała niepewnie. - A czego ty właściwie szukasz?

- Śmieci.

- Czego?

- Plików, które Bięda skasował. Laicy są święcie przekonani, że wyrzucając niepotrzebne dokumenty do komputerowego kosza, pozbywają się ich raz na zawsze. Nic bardziej mylnego. One wciąż są na twardym dysku, tylko niewidoczne dla użytkownika. Skasowana zostaje tylko informacja o nazwie pliku, zaś same dane pozostają nadal w systemie. Wystarczy je w odpowiedni sposób odzyskać. Dla fachowca to żaden problem.

- Brzmi to nieco skomplikowanie - prychnęła Piecuch.

- Ale nie jest - odcięła się Stawska, nie odrywając oczu od ekranu monitora. - Mam!

- Pokaż!

- To są pliki zdjęciowe. Chwilę potrwa, zanim je odzyskam. Spróbuj w tym czasie poszukać aparatu cyfrowego albo kart pamięci.

- Gdzie?

- Wszędzie. Ale zacznij od takich miejsc, o których nigdy byś nie pomyślała, że można w nich cokolwiek schować. I pamiętaj: najciemniej jest pod latarnią - poleciła. - Tylko w pierw załóż to - z kieszeni kurtki wyciągnęła parę gumowych rękawiczek.

Piecuch, założywszy je, zaczęła się rozglądać dookoła. Nagle jak gdyby nigdy nic podeszła do potężnego fikusa stojącego w kącie. Sapiąc z wysiłku przewróciła kwiat i wyciągnęła roślinę z donicy, otrząsając ją z ziemi.

- O to ci chodziło? - spytała, biorąc ostrożnie w dwa palce, 247

mały foliowy woreczek. Podeszła do komputera, podkładając zawiniątko pod ekran, aby je oświetlić. - Dwie karty pamięci. Mam jeszcze szukać aparatu?

- Nie. Dobra robota - pochwaliła Stawska. - Jak na to wpadłaś?

- Nieco zmodyfikowałam twoje zalecenia i zaczęłam szukać w miejscach tak oczywistych, że aż banalnych. I się udało. Boże! - krzyknęła nagle, zobaczywszy zdjęcie, które ukazało się na ekranie. - To potworne! - zwymiotowała na podłogę.

Ułamek sekundy później tak samo zareagował żołądek Stawskiej.

- Ta obrzydliwa fotografia będzie mi się pewnie śnić po nocach, ale przynajmniej wiemy, że mamy to, po co tutaj przyszliśmy - wymamrotała ze wstrętem Stawska. - Zbieramy się.

- A dokąd, jeśli można wiedzieć? - na dźwięk tych słów Stawska prawie spadła z krzesła, zaś Piecuch krzyknęła

gardłowo.

W drzwiach gabinetu stała nadkomisarz Bielska z pistoletem w dłoni.

- Wstań - rzuciła w stronę Stawskiej, ani na chwilę nie przestawszy w nią celować.

Stawska wstała, zerknąwszy przelotem na metalową figurkę stojącą na stoliku, tuż przy monitorze.

- Niech ci to nawet przez myśl nie przejdzie - oświadczyła Bielska. - Ręce do góry. Obie.

Posłusznie podniosły ręce. Bielska zrobiła krok w ich stronę.

- A mam to gdzieś - wypaliła Stawska, opuszczając ręce.

- Co ty robisz? - spytała niepewnie Piecuch, cały czas trzymając ręce w górze.

248

- Przecież ona nas nie zastrzeli, zwariowałaś? - oznajmiła Stawska.

- Twoja koleżanka ma rację, co ty robisz? - stwierdziła nerwowo policjantka. - Powiedziałam: ręce do góry.

- Ani mi się śni - odcięła się Stawska. - Dobrze wiesz, że jesteśmy po tej samej stronie. Chyba że... - zawiesiła głos.

- Chyba że co? - spytała niepewnie Bielska.

- Chyba że twoje wcześniejsze wyrzuty sumienia były tylko świetną grą aktorską. Jeśli tak, zasłużyłaś na Oskara - sarkazm w głosie Stawskiej ciął jak brzytwa.

- Jestem po tej samej stronie co wy i chcę pomóc księdzu oczyścić się z zarzutów, ale muszę przestrzegać prawa. Jestem policjantką, pamiętasz? - skontrowała Bielska. - A to jest włamanie.

- Masz rację, to jest włamanie. Złamaliśmy prawo - przyznała Stawska. - Ale w takim razie jak nazwiesz postępowanie policji, także twoje, w całej tej sprawie? Nie złamaliście prawa, preparując dowody przeciwko księdzu Samborowi? - podniosła głos.

- Nikt niczego nie preparował! - stwierdziła z naciskiem Bielska.

- Nie preparowaliście dowodów - Piecuch włączyła się do rozmowy. - Ale wychodzi na to samo, bo szukaliście prawdy tak, żeby jej nie znaleźć.

- Celną uwagę - syknęła Stawska. - Podpisuję się pod nią obiema rękoma. A mogę się nawet podpisać nogami.

Bielska przez kilkanaście sekund patrzyła to na jedną, to na drugą kobietę, po czym opuściła broń, zabezpieczyła ją i schowała do kabury.

- Co znalazłyście? - spytała.

- Nie uwierzysz - powiedziały jednocześnie Stawska i Piecuch, głośno wzdychając.

249

Rozdział 28

Dzień 20 (poniedziałek)

Na drugi dzień z samego rana, gdy tylko Bielska przyszła do pracy, poszła do sekretariatu komendanta. Ponieważ szefa nie było jeszcze w komendzie, zostawiła sekretarce wiadomość z prośbą o kontakt. Kwadrans później Przybylski oddzwonił i poprosił o przyście do gabinetu, czekał tam już jego zastępca Albert Jakubski, jak zwykle ocierający spocone czoło chusteczką.

- Rozumiem, że to coś ważnego? - spytał komendant na wstępie. Po jego wczorajszym entuzjazmie nie pozostał nawet drobny ślad.

- Inaczej nie zawracałabym panu głowy - odparła zaniepokojona złym humorem przełożonego.

- Do rzeczy - ponaglił. - Zaraz mam spotkanie z komendantem wojewódzkim. Przyjechał osobiście wziąć udział w dzisiejszej rozprawie.

- To nawet dobrze się składa - stwierdziła tajemniczo.

- Co masz na myśli? - spytał Jakubski podejrzliwie.

- Będziecie mogli mu od razu, tu na miejscu, wytłumaczyć, że wsadziliśmy do więzienia nie tego człowieka, co trzeba - oznajmiła prosto z mostu.

- Co? - zdziwił się komendant.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - dodał Jakubski, marszcząc brwi. - Przecież dowody winy księdza są mocne.

- Niepodważalne! - powtórzył komendant, zerkając kątem oka na swojego zastępcę.

- Nic z tych rzeczy - pokiwała przecząco głową. - Dowody

250  
jego niewinności są sto razy mocniejsze - podeszła do biurka i położyła na blacie teczkę.

Obaj zwierzchnicy przez dłuższą chwilę przeglądali zgromadzone w niej dokumenty.

- Cóż... - zaczęła niepewnie komendant, znów patrząc na Jakubskiego.

- Ma pan jeszcze jakieś wątpliwości? - spytała zaniepokojona. - W co oni grają? - pomyślała.

- Mnóstwo - wtrącił Jakubski, zerkając na szefa.

- Miałaś zaledwie dwa dni na weryfikację dowodów... - komendant wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć, wyglądało to tak, jakby za chwilę miał się zacząć jąkać. - Mnóstwo pracy, mało czasu... Możliwe, że, oczywiście nie kwestionuję twoich kompetencji, ale mogłaś pewne rzeczy nie do końca dobrze zweryfikować. Na to potrzeba czasu, żeby...

- Dobrze pan wie, że każda z tych informacji została dokładnie sprawdzona - przerwała mu bez ogródek. - A jeśli coś nie zostało zweryfikowane, to te dowody, które przedstawiliśmy prokuraturze i na podstawie których postawiono księdza przed sądem.

- A jeśli tym razem też coś przeoczyliśmy? - odciął się Jakubski. - Jeżeli kolejny raz popełniliśmy błąd? A gdyby się

potem jednak okazało, że ksiądz jest winny? Następny raz odwoływalibyśmy naszą wersję?

- Ksiądz jest niewinny - warknęła. - Macie to czarno na białym - wskazała palcem na rozrzucone na biurku papiery.

- Szefie? - Jakubski zwrócił się do komendanta. - Myślę, że pani nadkomisarz przydałoby się trochę urlopu, nieco ochłonie, nabierze dystansu do sprawy i gdy wróci, jeszcze raz sprawdzi wszystkie zgromadzone dane. Co szef na to?

- Całkiem dobry... - zaczął komendant.

- Co? - weszła mu w zdanie. - Chcecie sprawie ukręcić łeb!

251

- Nie! - zaprzeczył komendant. - Tylko...

- Pani nadkomisarz - wtrącił się Jakubski, nie pozwalając Przybylskiemu dojść do słowa. - Chyba się nie zrozumieliśmy. Sprawa na tym etapie jest zakończona, a panią komendant właśnie wysłał na krótki odpoczynek.

- Wiecie dobrze, gdzie sobie możecie wsadzić ten odpoczynek - prychnęła. - Nie pójdę na żaden urlop.

- Odbieram ci tę sprawę - warknął komendant.

- Nie może pan! - zaoponowała.

- Mogę. I robię to - Przybylski uśmiechnął się bezczelnie.

- Jeżeli nie chcesz iść na urlop, twoja sprawa. Zawieszam cię na miesiąc. Oddaj odznakę i broń.

Stała w milczeniu, wpatrując się w przełożonych.

- Odznaka i broń - powtórzył komendant.

Podeszła do biurka, wyjęła pistolet z kabury, wyciągnęła magazynek, położyła na blacie. Chwilę później rzuciła na stół odznakę, gdyby komendant nie uchwycił jej w ostatnim momencie, jak nic spadłaby na podłogę.

- Wysyłacie niewinnego człowieka na stracenie - szepnęła, zacisnąwszy zęby. - Gdzie tu sprawiedliwość? - spytała napiętym głosem.

- Sprawiedliwość? - powtórzył jak echo Jakubski. - Sprawiedliwość zajmuje się obecnie czymś innym.

Tuż po wyjściu z gabinetu komendanta Bielska zadzwoniła do Nowickiego i, nie wdając się w szczegóły, powiedziała mu, że dochodzenie zostało wstrzymane. Ten zdziwił się niepomiernie, był jednak na tyle doświadczonym dziennikarzem śledczym, aby z tonu jej głosu wyczuć, że sprawa rozbiła się o przełożonych.

Po rozmowie z policjantką Nowicki zadzwonił do kuzynki. Nie miał do przekazania dobrych wieści.

252

Kolejna rozprawa rozpoczęła się punktualnie co do minuty o 9.00. Tego dnia w pierwszej części mieli zeznawać mniej ważni świadkowie, później zaś policjanci prowadzący dochodzenie.

W sali panował skwar jak w szklarni, pomieszczenie nie miało klimatyzacji, a mieszacz powietrza zwisający z sufitu

nie był w stanie powstrzymać rosnącej z minuty na minutę temperatury.

- Czy ja dobrze rozumiem? - sędzia Waza popatrzył srogim wzrokiem na księdza. - Oskarżony kolejny raz odmawia odpowiedzi na pytanie sądu?

- Tak - westchnął wikary, rozglądając się niecierpliwie po sali w poszukiwaniu Marii Piecuch. Od momentu, gdy tylko się obudził tego dnia, nie mógł doczekać się dobrych wieści.

- Tak, Wysoki Sądzie - wycedził przez zęby sędzia.

- Tak, Wysoki Sądzie - powtórzył ksiądz Sambor mechanicznie, patrząc tępo w okno. Uśmiechnął się na widok ptaszka skaczącego po zewnętrznym parapecie.

- Pana ta sytuacja śmieszy? - mówiąc to, sędzia Waza oparł się rękoma o blat i podniósł nieco z krzesła, jakby w ten sposób próbując zbliżyć się do oskarżonego.

- Judasz! - padło nagle.

- Na szubienicę z nim! - krzyknął ktoś z głębi sali.

- Cisza! - wrzasnął sędzia. - Cisza!!! Bo każę publiczności wyjść z sali! Cisza! - wychrypiał, ale zgromadzonych w sali widzów nie można już było uspokoić. Coraz więcej osób krzychało, niektórzy gniewnie mrużeli, w ten sposób okazując niezadowolenie.

- Hańba! - ktoś wrzasnął.

- Dajcie go nam! - ktoś inny.

- Zlinczować go! Zlinczować!!!

- Cisza! Cisza!!! - krzychał sędzia, lecz w pojedynkę nie

253  
miał szans przebić się przez hałas, jaki zapanował. - Zarządzam opuszczenie sali przez publiczność!

W tym momencie jeden z mężczyzn wstał i podszedł do drzwiczek oddzielających część dla widzów od reszty sali.

- Pan w jakiej sprawie? - zatrzymał go woźny sądowy, krzyżąc do ucha.

- Ja do Wysokiego Sądu - mężczyzna wskazał palcem na sędziego.

- Teraz nie można, sąd jest zajęty - woźny odwrócił się na ułamek sekundy w stronę sędziego. Gdy obrócił się z powrotem, w dłoni mężczyzny zobaczył przedmiot przypominający broń. Mężczyzna wymierzył w księdza.

- Co pan robi? - krzyknął woźny, machinalnie wyciągając rękę, aby przeszkodzić napastnikowi. Zabrakło mu zaledwie ułamka sekundy, podbił co prawda rękę, w której mężczyzna trzymał broń, ale ten wcześniej zdążył dwukrotnie strzelić. Odgłos strzałów wywołał panikę. Ludzie zaczęli wrzeszczeć, próbując wydostać się z sali. Ktoś uderzył krzesłem w szklane drzwi prowadzące na taras, rozbijając je, chwilę potem w tę stronę rzucił się przerażony tłum.

Efekt zamachu był imponujący, biorąc pod uwagę fakt, że kule nikogo poważnie nie raniły. Za to trzy osoby zostały niemal zdeptane na śmierć: mocno poturbowane, z liczny-



mi obrażeniami wewnętrznymi w ciężkim stanie trafiły do szpitala. Złamanych rąk i nóg nikt nawet nie liczył. Wikary miał dużo szczęścia, pierwsza kula wbiła się bowiem w ławkę, na której siedział, druga zaś drasnęła go w lewe ramię, tak że po opatrzeniu mógł wrócić do celi. Zamachowca zatrzymała policja, okazał się nim ojciec Adrianka, pierwszego z porwanych i zamordowanych chłopców.

Sędzia Waza po naradzie z oskarżycielami i obrońcą zdecydował o odroczeniu rozprawy do czwartku, postanowił też dalszy tok postępowania prowadzić bez udziału publiczności.

Chciał nawet zamknąć posiedzenia przed dziennikarzami, ale dał się przekonać prokuratorowi Brodnickiemu, że mogłoby to źle wpłynąć na wizerunek sądu. Otrzymał przy tym solenne zapewnienie komendanta wojewódzkiego policji, także obecnego na naradzie, że środki bezpieczeństwa zostaną maksymalnie zaostrzone.

Po południu Piecuch chciała uzyskać zgodę na widzenie z księdzem, ale naczelnik aresztu odmówił, tłumacząc to potrzebą odpoczynku przez wikarego. Jedyne, co udało się jej uzyskać podczas tej rozmowy, to zgodę na odwiedzinę następnego dnia.

Dzień 21 (wtorek)

Kiedy nazajutrz Piecuch weszła do sali widzeń, w pierwszym momencie nie poznała księdza. Wręcz tryskał energią, w oczach błyskały iskierki.

- Zdobyliście już te dowody? - spytał, nawet się nie przywitawszy.

- Proszę księdza... Ta policjantka... - Piecuch zaczęła się jąkać. - Ona weszła w posiadanie komputera Macieja Biędy, nawet dostała od nas karty pamięci z jego aparatu fotograficznego...

- Od was? - przerwał jej.

- Włamałyśmy się z Beatrycze do jego domu - spuściła wzrok.

- Zupełnie jak ja - uśmiechnął się. - Zupełnie jak ja. I co?

- przebierał nerwowo palcami.

- Chciałam to księdzu powiedzieć już wczoraj, ale przez tę strzelaninę mi się nie udało...

- Niech pani wreszcie to powie! - ponaglił niecierpliwie.

255

- Nic z tego - szepnęła, zagryzłszy wargi. - Wczoraj rano Bielska zadzwoniła do mojego kuzyna, żeby przekazać, że nie udało się nic wskórać, mimo niezbitych, jej zdaniem, dowodów księdza niewinności.

- Co?... Jak?... Dlaczego? - pytał zaskoczony.

- Jarek podejrzewa, że jej przełożeni próbują kogoś kryć.

- Boże... - zakrył twarz w dłoniach.

- Zawiesili ją na miesiąc - powiedziała cicho. - Policjantkę
- dodała wyjaśniająco.
- To kto mi teraz pomoże? - spytał, podniósłszy głowę.
- Kto mi teraz pomoże?

Piecuch spojrzała mu w oczy. Widoczne jeszcze chwilę wcześniej iskierki znikły bezpowrotnie, zobaczyła tylko smutek i ból cierpiącego człowieka. Wciąż patrzyła na wikarego, wydawał się jakiś taki dziwnie mały, mocno przygarbiony, wyglądał na starszego o dziesięć lat niż jeszcze przed kilkoma minutami.

- Kto mi teraz pomoże? - powtórzył cicho. - Kto...

Wróciwszy do domu, Piecuch długo nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie zjadła nawet obiadu, po porannej rozmowie z wikarym straciła apetyt, usiadła na kanapie i wpatrywała się w ekran telewizora, bez celu przełączając co chwilę kanały. Tuż po 21.00 trafiła na program publicystyczny z udziałem publiczności. Już miała przełączyć dalej, gdy zorientowała się, że tematem debaty jest proces księdza Sambora.

- W każdym cywilizowanym państwie, a do takich zalicza się nasz kraj, oskarżony ma prawo do uczciwego procesu - stwierdził zakonnik, w którym rozpoznała ojca Jana Słowika.

- O ile nasz kraj można nazwać cywilizowanym, o tyle tego księdza nie - skontrował polityk opozycji Ryszard Kolasz.

- Wyjątkowo zgadzam się z panem posłem - wtrącił pro-

256  
wadzący program Jerzy Kuna. - Ksiądz jest oskarżony o potworne zbrodnie.

- Ale to chyba nie ma wpływu na to, że należy mu się sprawiedliwy proces? Musi być sprawiedliwość - ripostował ojciec Słowik. Jego uwaga spotkała się z dezaprobatą znacznej części widowni, niektórzy zaczęli demonstracyjnie bucząć.

- Odnoszę nieodparte wrażenie, że ci państwo najchętniej wymierziliby tę sprawiedliwość księdzu Samborowi własnymi rękoma - rzucił poseł Kolasz.

- A domniemanie niewinności?... Należy się każdemu - uniósł się ojciec Słowik.

Przez widownię przetoczyła się fala pomrukiwania.

- Nawet takiemu zbrodniarzowi? - wtrącił Kuna prowokacyjnie.

- Jakiemu zbrodniarzowi? - ojciec Słowik załamał ręce.

- Przecież ksiądz Sambor jest na razie tylko oskarżonym.

I wcale nie jest powiedziane, że jest winny.

- O, widzę, że ojciec broni kolegę po fachu - stwierdził poseł Kolasz kpiąco. - Ręka rękę myje. Wracając jeszcze do poprzedniej myśli ojca. Jeśli mnie pamięć nie myli, to w Starym Testamencie możemy znaleźć wzmiankę o sprawiedliwej karze. „Oko za oko, ząb za ząb”, jakoś tak to szło, prawda?

- Proszę państwa, nie można kogoś uznać za winnego bez procesu - westchnął ojciec Słowik. - Media w tym zakresie

zawłaszczają sobie prawo do wydawania przedwczesnych wyroków, co jest całkowicie niedopuszczalne. Powtórzę: tylko proces przed niezawisłym sądem daje podstawy do uznania kogoś za winnego lub oczyszczenia go z zarzutów. Ksiądz Sambor jest na razie tylko oskarżonym...

Zakonnik nie dokończył myśli, jego słowa utonęły w hałasie spowodowanym buczeniem i pokrzykiwaniem widzów. Wtem z widowni w stronę foteli, na których siedzieli rozmówcy, poleciał but. Nim prowadzący Kuna zdążył zareago-

257  
wać, obok jego nogi uderzył kolejny, chwilę później następny i jeszcze jeden. Nagle na gości programu spadł grad butów. Większość rzucających mierzyła w ojca Słowika i trzeba przyznać, celność była spora, ale niektóre przedmioty trafiły zarówno w posła Kolasza, jak i w prowadzącego Kunę. Mężczyźni zasłaniali się rękoma jak mogli, jednak nie byli w stanie sparować wszystkich uderzeń. Dopiero po dłuższej chwili, gdy siła obuwicznych pocisków zmalała, udało im się uciec na zaplecze.

Lekarz pogotowia kończył właśnie nakładanie szwów na prawy policzek ojca Słowika, gdy pacjent pierwszy raz się odezwał.

- Przez myśl mi nie przeszło, że ludzie mogą się tak zachować - stwierdził zakonnik rozgoryczony.

- Proszę ojca - lekarz spojrzął na pacjenta. - Oglądałem program i z jednej strony się z ojcem zgadzam: każdy ma prawo do obrony i domniemania niewinności. Ale jakbym tego księdza dorwał, to chyba zabiłbym go gołymi rękoma - powiedział przez zęby, zaciągawszy mocniej nić, aż Słowik syknął z bólu.

- To gdzie tu prawo do obrony? - spytał zakonnik.

- Więc ojciec wciąż uważa, że taki potwór ma prawo do obrony? - wtrącił się Kuna, siedzący na sąsiednim łóżku.

Jemu z kolei szwy na czole zakładała młoda lekarka.

- Każdy ma prawo do obrony. Zgadzam się z ojcem - rzuciła cicho. Mężczyźni spojrzeli na nią jak jeden mąż. - Dopóki się komuś nie udowodni winy, w świetle prawa jest niewinny.

- Takich jak on prawo nie powinno chronić - zachnął się Kuna.

- Już mieliśmy taki system, który nie liczył się z prawa-

258  
mi jednostki. Jednego faceta w aferze mięsnej oskarżono o sprzedawanie towaru na lewo. Sąd skazał go na śmierć - odparł ojciec Słowik.

- Poważnie? Kara śmierci za przekręt z mielonym? Niesamowite - zaśmiał się Kuna.

- Wyrok wykonano - zauważył cicho zakonnik.

- Dopiero po dwudziestu latach, już w wolnej Polsce, jego rodzinie udało się uzyskać uznanie tamtego wyroku jako

wydanego z naruszeniem prawa. Musiała o to walczyć przez długie lata - dopowiedziała lekarka.

- Ale i tak nikt nie cofnął cierpień, jakich doznawali przez cały ten czas, żyjąc z piętnem rodziny aferzysty. Nie mówiąc już o bólu żony oraz dzieci z powodu straty męża i ojca - tłumaczył ojciec Słowik. - W tamtej sprawie też wszyscy byli pewni, że ten człowiek jest winny - zrobił krótką pauzę. - Nadal uważacie panowie, iż księdzu Samborowi nie należy się uczciwy proces i traktowanie z godnością przypisaną każdemu człowiekowi? - zwrócił się z tym pytaniem do lekarza i Kuny.

Medyk przeciął nić, zawiązał supeł i bez słowa odłożył narzędzia.

- Macie tutaj coś mocniejszego do picia? - rzekł Kuna, ignorując pytanie. - Może być choćby spirytus salicylowy.

Rozdział 29

Dzień 23 (czwartek)

Czwartkowej rozprawie, mimo że miała odbyć się bez udziału publiczności, towarzyszyły potężne środki ostrożności. Wejścia do budynku strzegły uzbrojone po zęby oddziały specjalnej jednostki prewencji sprawdzone w bojach z pseudokibicami piłkarskimi. Dziennikarze musieli poddać się szczegółowej kontroli dwukrotnie, pierwszy raz przed wejściem do budynku, drugi przed samą salą rozpraw. Naprędce zamontowana bramka z wykrywaczem metali co rusz popiskiwała, budząc nerwowość wśród stojących obok policjantów. Każdy z żurnalistów musiał też złożyć w specjalnym pudełku telefon komórkowy, a ściągnięty pośpiesznie spec od elektroniki sprawdzał nawet, czy nikt niczego nie przemyca wewnątrz kamer telewizyjnych.

W efekcie na minutę przed planowanym rozpoczęciem rozprawy kolejka dziennikarzy i operatorów kamer czekająca przed drugą bramką nadal liczyła kilkanaście osób. Co chwilę słychać było głosy niezadowolenia żurnalistów, obawiających się spóźnienia na rozprawę. Aby nie potęgować i tak już napiętej atmosfery, sędzia Waza zdecydował się opóźnić rozpoczęcie posiedzenia o pół godziny.

Tym razem księdza Sambora przewieziono do urzędu marszałkowskiego w długim konwoju opancerzonych aut, a tył budynku oddzielono szczelnym kordonem od tłumy gapiów, wykrzykującego z nienawiścią znane już z wcześniejszych rozpraw hasła. Z samochodu do gmachu urzędu było zaledwie kilka metrów, jednak dla bezpieczeństwa aresztanta przeprowadzono go przez ten odcinek pod silną eskortą an-

260

tyterrorystów. Wprawny obserwator bez trudu dostrzegłby snajperów rozlokowanych na sąsiednich dachach, których zadaniem było reagowanie na ewentualne zagrożenie. A była to misja niełatwa, wokół urzędu zgromadziło się co najmniej kilka tysięcy osób.

Niektóre ogólnopolskie stacje telewizyjne przyjechały na rozprawę w sile kilku kamer, stąd część reporterów została na zewnątrz, aby rejestrować zachowanie tłumu. Jedna z dziennikarek stanęła na schodach w taki sposób, aby w tle było widać ludzi z transparentami. Sprawdziła, czy słuchawka dobrze leży w uchu i zaczęła mówić.

- Takich środków ostrożności, jakie zastosowano dzisiaj w tymczasowej sali rozpraw mieszczącej się w sali kolumnowej urzędu marszałkowskiego, nie było chyba nawet podczas procesu gangu pruszkowskiego. Wejścia do środka bronią między innymi dwie bramki do wykrywania metali - przerwała na moment, aby dać operatorowi chwilę na skadrowanie bramki przed głównym wejściem. - Na salę rozpraw wpuszczono tylko tych dziennikarzy, których redakcje wcześniej się akredytowały, przesyłając sądowi aktualne zdjęcia reporterów i kserokopie dowodów tożsamości. Pracownicy techniczni rozkręcili nawet kilka kamer, żeby sprawdzić, czy wewnątrz nie znajduje się broń lub materiały wybuchowe. Jeśli więc obraz z sali rozpraw, jaki państwu przekazemy, będzie złej jakości, proszę nas za to nie winić - uśmiechnęła się, pokazując równy rząd zębów lśniących nienaturalną bielą. - Te środki bezpieczeństwa, jak to ujął ojciec jednego z zamordowanych chłopców, są zupełnie zbędne. Posłuchajmy, co jeszcze nam powiedział - na wizji pojawił się nagrany wcześniej obraz.

- Tego potwora nie należy przed nami bronić, tylko wydać. Sami wymierzmy mu sprawiedliwość, przy okazji oszczędzimy pracy sądowi, a budżetowi państwa niepotrzebnych wydatków. A tak ta farsa będzie trwała dalej. To dla nas, ro-  
261

dziców, którzy stracili dzieci, ogromnie ciężkie i traumatyczne przeżycie - mężczyzna pociągnął nosem. - Moja żona od początku procesu nie przespala ani jednej nocy, wciąż łyka środki na uspokojenie. Ile to jeszcze będzie trwało? - podniósł głos. - Dajcie go nam, my się nim zajmiemy. Słyszycie? Dajcie go nam!

Obraz znikł, na wizji ponownie pojawiła się reporterka.

- Podobnie wypowiadali się inni rodzice, z którymi rozmawialiśmy na chwilę przed dzisiejszą rozprawą. Wszyscy zgodnie powtarzali, że najchętniej sami wymierziliby sprawiedliwość mordercy. Trudno się dziwić ich emocjonalnym wystąpieniom. Miejmy nadzieję, że dziś nie dojdzie już do takich wypadków jak podczas ostatniej rozprawy, kiedy do księdza strzelano. Choć z drugiej strony, gdyby ktoś go zastrzelił - zawiesiła głos, jakby zastanawiając się, co powiedzieć - to faktycznie, można tak to metaforycznie ująć, sprawiedliwości stałoby się zadość. To na razie tyle. Mówiła Łucja Szczypińska.

Rozprawa nie przyniosła niczego nowego. Przez kilka godzin sąd przesłuchiwał policjantów prowadzących śledztwo, z wyjątkiem nadkomisarz Bielskiej, której na-

zwisko dziwnym trafem znikło z listy świadków, a także całą rzeszę biegłych: specjalistów od zabezpieczania śladów, patologów, psychologów. Ponieważ większość z nich posługiwała się specjalistycznym językiem, laikowi trudno było zrozumieć, o czym mówią. Nic więc dziwnego, że po kilku godzinach nieustannych przesłuchań obecni na sali dziennikarze zaczęli się najzwyczajniej w świecie nudzić. Nieco ożywienia wniosło dopiero pojawienie się biegłego z zakresu informatyki.

262

A kiedy autorytatywnie stwierdził, że zdjęcie księdza Sambora trafiło na ową stronę internetową zawierającą fotografie ofiar właśnie z komputera oskarżonego - co zresztą spotkało się z głośnym sprzeciwem wikarego - żurnaliści rzucili się do notowania i nagrywania.

- Żadnego swojego zdjęcia nie umieszczałem na żadnej stronie internetowej z pornografią dziecięcą! - krzyczał ksiądz Sambor.

- Proszę o spokój! Oskarżonemu nie wolno się odzywać bez pytania - skarcił go sędzia Waza. - Ponieważ to nie pierwszy przypadek naganego zachowania się podsądnego na sali rozpraw, sąd postanowił ukarać go karą porządkową w wysokości 200 złotych.

- Wysoki Sądzie... - zaczął adwokat.

- Tak, panie mecenasie? Słucham - rzekł krótko sędzia.

- Chcę wnieść sprzeciw wobec dowodu przeprowadzonego przez prokuraturę, opartego na zeznaniu przesłuchiwanego właśnie świadka, biegłego z zakresu informatyki.

- Bardzo proszę - sędzia Waza potaknął głową.

- Strona, o której mówił biegły, została uaktywniona na dwa tygodnie przed pierwszym morderstwem. Zdjęcie mojego klienta trafiło na nią dopiero po trzecim morderstwie. Tak więc sam fakt znalezienia się tam jego zdjęcia nie może być dowodem, że mój klient brał udział w tym procederze.

- Mam pytanie do świadka - wtrącił się prokurator Brodnicki.

- Proszę - zezwolił sędzia.

- Czy istnieje techniczna możliwość, aby oskarżony w jakiś sposób ukrył swoje wcześniejsze wejścia na tę stronę? - spytał prokurator.

- To jest trudne do przeprowadzenia dla przeciętnego użyt-

263  
kownika komputera i Internetu, ale przy pomocy specjalisty da się zrobić - odparł biegły po chwili namysłu.

- W taki sposób, że śladu po takim wejściu nie uda się już nigdy wykryć? - upewnił się Brodnicki.

- Tak - odpowiedział krótko biegły.

- Wysoki Sądzie, mam pytanie - powiedział adwokat.

Sędzia Waza nic nie odpowiedział, tylko nieznacznie ski-

nał głową.

- Czy oskarżony mógłby też ukryć operację, jaką było wrzucenie na stronę tego zdjęcia? - spytał obrońca.

- Tak, jest to możliwe, z tym samym zastrzeżeniem, o którym mówiłem wcześniej - stwierdził biegły. - Przy pomocy fachowca jest to wykonalne.

- W takim razie skoro mój klient miałby, według oskarżenia, ukryć przy pomocy specja od komputerów swoje wcześniejsze wejścia na stronę internetową, o której tu mowa, to przecież równie dobrze mógł zamaskować operację wrzucenia na tę stronę swojego zdjęcia - perorował Marcinkowski. - Tak więc, zdaniem obrony, ten dowód przedstawiony przez oskarżenie nie może świadczyć przeciwko mojemu klientowi.

- Wysoki Sądzie - zaczął prokurator. - Oskarżony mógł nie zdążyć ukryć tej ostatniej operacji, przypomnijmy bowiem, że policja deptała mu już wtedy po piętach. Możliwe jest też inne wyjaśnienie. Może oskarżony czuł się na tyle pewnie, iż zlekceważył środki ostrożności? A może po prostu popełnił błąd? Tego się już chyba nie dowiemy. Jedno jednak jest pewne, zdaniem oskarżenia: umieszczenie przy pomocy swojego własnego komputera zdjęcia na stronie internetowej dokumentującej tę odrażającą zbrodnię jest niepodważalnym dowodem na uczestnictwo w przestępstwie.

264

Po przesłuchaniu biegłego informatyka sąd orzekł kilkunastominutową przerwę. Po niej na krótko wznowił rozprawę po to tylko, aby odroczyć ją do dnia następnego, zapowiadając jednocześnie ogłoszenie wyroku.

Tego samego dnia wieczorem niemal we wszystkich kanałach telewizyjnych wiodącym tematem serwisów informacyjnych były relacje z sali sądowej. Kilka stacji pokusiło się też o wykonanie sondażu. Wyniki różniły się w zależności od pracowni, która przeprowadzała badanie, niemniej jednak zdecydowana większość respondentów wybrała odpowiedź „Winny”, zaznaczyło ją od 74 do 76 procent. Od 12 do 14 procent ankietowanych zdecydowało się na opcję: „Nie wypowiadam się do czasu zapadnięcia wyroku przed sądem”. Odpowiedzi „Jest niewinny” nie zaznaczył nikt. Jeden z sondaży rozszerzył badanie o pytania dotyczące odpowiedniej kary dla oskarżonego. 16 procent ankietowanych wskazało na dożywocie. W tym samym badaniu do wyboru była też odpowiedź „Należy przywrócić karę śmierci i skazać na nią księdza”. Wybrało ją 68 procent badanych.

§

Tego dnia wikarego nikt już nie odwiedził, spędził go samotnie w celi. Kolacji nie dostał, a że był już tak przemęczony, iż nie miał siły walić w drzwi, by dopominać się o posiłek,

przyjął to w spokoju. Jedyne żołądek buntował się przeciwko przymusowej głodówce, dając temu wyraz poprzez głośnie burczenie.

Czuł mdłości, co chwilę ogarniały go też zawroty głowy, od kilku godzin odczuwał pragnienie, dach bowiem przestał

265  
przeciekać i po powrocie z sali sądowej w kubku znalazł zaledwie kapkę wody. Gdzieś około 20.00, porę szacował po ciszy, jaka zapanowała na korytarzu, zaczęły nim targać dreszcze. Zwinął się w kłębek i położył na kocu, licząc, że to sprawi, iż zrobi mu się nieco cieplej. Nie zrobiło.

Nadkomisarz Bielska, mimo że zawieszona, nie przestała działać. Wykonawszy kilka telefonów i otrzymawszy przesyłkę z laboratorium kryminalistyki w Poznaniu, poszła do mieszkania Marii Piecuch. Jak się spodziewała, zastała tam Stawską i Nowickiego, którzy w minorowych nastrojach siedzieli przy stole.

- To jest ekspertyza naszych fachowców dotycząca twardego dysku komputera Macieja Biędy i karty pamięci aparatu cyfrowego - zaczęła mówić nadkomisarz.

- Tego komputera i tych kart, które nieznani sprawcy wynieśli z jego domu i zostawili na chodniku przed posesją?

- spytała Stawska, uśmiechając się znacząco.

- Dokładnie tych - potwierdziła policjantka.

-1...? - Nowicki wstał zdenerwowany.

- Karty pamięci zostały wykasowane... - mówiła dalej Bielska

- Nie - jęknęła Piecuch.

- Zostały wykasowane, ale na szczęście dla nas nie zostały sformatowane. Zachowały się w nich resztki informacji o wykonanych zdjęciach. Innymi słowy: samych fotografii tu nie znajdziemy, są natomiast numery ostatnio robionych zdjęć, a także ich wielkość. Pasują idealnie do tych, jakie znaleźliśmy w systemie komputera.

- Skąd pewność, że to Bięda je zrobił? - dziennikarz spojrział pytająco na policjantkę.

266

- Przed włożeniem do woreczka karty zostały dokładnie wytarte, nie znaleźliśmy tam żadnych odcisków palców.

Ale... - Bielska zawiesiła na moment głos. - To są karty starego typu, których już się nie produkuje. Są dosyć grube, z obu stron zamknięte specjalną blaszką. Jedna z kart była lekko uszkodzona, mianowicie wierzchnia blaszka się ruszała. Pod nią technicy znaleźli ludzki włos. Badanie DNA potwierdziło, że należał do Biędy.

Piecuch aż klasnęła w ręce z radości.

- To nie wszystko - nadkomisarz uśmiechnęła się szeroko.

- Coś mi mówi, że masz asa w rękawie - Nowicki też się uśmiechnął.

- Chyba jokera - zaśmiała się policjantka.



- Czy z łaski swojej mogłabyś wreszcie powiedzieć, o co chodzi? Bo za chwilę tu chyba jajko zniosę - rzekła niecierpliwie Stawska.

- Już mówię - Bielska wykonała uspokajający gest dłońmi. - Jak już wiecie, w systemie znaleziono mnóstwo zdjęć, które jednoznacznie obciążają Bieldę. To te fotografie, które on wykasował, ale które mimo tego zachowały się gdzieś na twardym dysku. O szczegóły techniczne mnie nie pytajcie, nie znam się na tym. W każdym bądź razie, w połączeniu z kartami pamięci, zdobyliśmy dowód, że to Bielda wykonywał zdjęcia.

- Co wcale nie pomaga księdzu Samborowi - wtrącił Nowicki.

- Właśnie - potwierdziła policjantka. - To są dowody obciążające Bieldę, ale, jak sami pamiętacie z sali sądowej, prokuratura twardo trzyma się wersji, która uznaje księdza za współnika Biedy. Gdybyśmy przedstawili ten materiał dowodowy, prokuratorzy stwierdzą po prostu, iż świadczy on tylko o tym, że to Bielda robił zdjęcia, co natomiast nie wyklucza udziału wikarego w samej zbrodni.

267

- Więc?... Co z tym jokerem? - ponagliła Stawska z coraz większym zniecierpliwieniem.

- Na szczęście technicy nie zadowolili się odnalezionymi zdjęciami i dosłownie przekopali cały twardy dysk - odparła Bielska. - Ich uwagę przykuł fakt, iż na dysku były tysiące katalogów. Dosłownie tysiące. Gdyby chcieli sprawdzać kolejno każdy z nich, zajęłoby im to kilka dni, może nawet tygodni. Wpadli na pewien pomysł: skoncentrowali się na folderach i plikach, do których dostępu broniły hasła. Takich znaleźli zaledwie kilka. Poszli tym tropem, próbując po kolei włamać się do nich, co nie było łatwe. Ale dali radę. Najciekawszy jest jeden z plików głosowych. Ma pani wieżę? - zwróciła się do właścicielki mieszkania.

- Co? - spytała Piecuch, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Wieżę?

- Chcę, żebyśmy przesłuchali pewną płytę - wytłumaczyła policjantka, machając przed oczami płytą CD.

- Mam „jamnika”, może być? - powiedziała Piecuch.

- Odtwarza płyty? - rzuciła Bielska.

- Tak - padła szybka odpowiedź.

- To się nada - policjantka się uśmiechnęła.

Piecuch przyniosła sprzęt z drugiego pokoju, podłączyła do gniazdka. Bielska włożyła płytę do kieszeni, włączyła odtwarzanie.

- „Już myśleliśmy, że nie przyjedziesz” - usłyszeli niewyraźny głos mężczyzny.

- Nie wiemy jeszcze, kto to jest - szepnęła wyjaśniająco policjantka.

- „Tylko nie zaczynaj znowu wykładu o punktualności”

- ten głos należał z pewnością do kogoś innego.
- To Bięda - stwierdziła Bięska.
- „Ludzie o naszym statusie...” - to był znów głos nr 1.

268

Nagranie trwało niespełna dziesięć minut, słuchali go w milczeniu, przerywanym jedynie tłumionymi okrzykami zdumienia.

- Nagrał ich na ukrytym dyktafonie? - Nowicki skierował to pytanie do policjantki.
- Na odtwarzaczu mp3 z funkcją nagrywania - odpowiedziała Bięska. - Najprawdopodobniej przyszedł z nim na to spotkanie i potem gdzieś ukrył, bo jak słyszeliście, szybko opuścił to zebranie. Ale to, w jaki sposób je zarejestrował, jest mniej istotne. Liczy się to, co nagrał.
- Do kogo należą te głosy? - pytał dalej dziennikarz.
- Ach ta zawodowa ciekawość - mruknęła policjantka.
- Zidentyfikowaliśmy Biędę...
- W jaki sposób? - tym razem spytała Stawska.
- Facetowi wydawało się chyba, że ma głos do śpiewania. W komputerze były setki jego prób wokalnych - wytłumaczyła Bięska. - Jak na razie oprócz Biędy rozpoznaliśmy jeszcze tylko jednego faceta, próbujemy namierzyć pozostałych dwóch.
- A ten rozpoznany, to kto? - wyszeptwała Piecuch.
- Powiem wam, o ile ten pan - skinęła głową na Nowickiego - da mi słowo, że na razie nie wykorzysta tej informacji w swoim artykule, który, jak podejrzewam, niedługo napisze.
- Stawska z Piecuch spojrzwały na niego znacząco.
- Obiecuję - podniósł prawą dłoń jak do przysięgi.
- Ten, który mówił o czarnym neserze zdeponowanym w jednym z banków, zawierającym kompromitujące materiały, to policjant - Bięska nabrała powietrza. - Zastępca komendanta miejskiego.
- Jakubski? - dziennikarz aż gwizdnął. - Pani przełożony.
- Mój przełożony - potwierdziła policjantka. - Teraz już

269

wiem, dlaczego nie chciał puścić dalej materiałów, które pokazałam jemu i komendantowi głównemu w poniedziałek rano.

- Co teraz? - spytała energicznie Stawska, wstając z krzesła.
- Zadzwonimy do znajomego prokuratora - odrzekła Bięska. - Nie, nie do Brodnickiego ani żadnego innego prokuratora z naszego miasta - dodała, spostrzegłszy, że Nowicki chce coś powiedzieć. - Zadzwonimy do mojego znajomego prokuratora w Poznaniu z prokuratury apelacyjnej. Nie ma szans, żeby był w to zamieszany.

Rozdział 30

Dzień 24 (piątek)

Bięska rozmawiała przez telefon kilkanaście minut, cho-

dząc po pokoju. Reszta towarzystwa przyglądała się jej w skupieniu, chłonąc każde wypowiedziane przez nią zdanie, samemu nie odzywając się ani słowem.

- Mam szczęście, mój kolega ma dziś dyżur nocny, dlatego się dodzwoniłam. Dał mi namiary na sędziego, który jest w porządku. Mam nadzieję, że zgodzi się przejrzeć nasze dokumenty - powiedziała policjantka, skończywszy rozmawiać przez komórkę. - Prokurator już do niego dzwoni i uprzedzi, że niedługo przyjedziemy. Zbieramy się.

- Teraz? - zdziwiła się Piecuch. - Jest już po północy.

- Chcesz czekać do rana? - zganiała ją Stawska.

- Nie, oczywiście że nie - zapewniła Piecuch.

- W dwie strony będzie ze trzysta kilometrów - liczył na głos Nowicki. - Trzy godzinki na jazdę, godzinka na rozmowę z sędzią. Do piątej powinniśmy się wyrobić.

- Moglibyśmy wziąć policyjny wóz i pojechać na sygnale

- zasugerowała nieśmiało Stawska. - Byłoby szybciej.

- Nie dadzą mi samochodu. Jestem zawieszona - przypomniała Bielska. - Moim autem też nie będziemy się ślimaczyć.

I miała rację, ale tylko częściowo. O ile na trasie gnała 120-130 km/h, o tyle przez teren zabudowany - a co chwilę przejeżdżali przez miasta, miasteczka i wsie - jechała z prędkością przepisową, tak więc do Poznania dotarli dopiero o 2.30.

Żeby nie błądzić po mieście, wynajęli pierwszego napotkanego taksówkarza, który pilotował ich pod wskazany adres.

- Państwu się chyba wydaje, że jesteście w Stanach Zjed-  
271

noczonych? W Polsce takie rozwiązania nie są praktykowane

- sędzia Barański przywitał ich, przecierając palcami zaspasane oczy, po czym gestem dłoni zaprosił do swego domku.

- Pan prokurator trochę mnie już wtajemniczył w sprawę i, szczerze mówiąc, targają mną duże wątpliwości. Nawet jeśli macie koronne dowody niewinności oskarżonego, należy zachować drogę proceduralną. Trzeba się z tym zgłosić do prokuratury...

- Już się zgłosiliśmy - przerwała mu Stawska. - Do prokuratora apelacyjnego, bo nasz okręgowy jest za bardzo zaangażowany w promocję swojej osoby. Trudno liczyć na jego bezstronność.

- Proszę mi nie przerywać - zachnął się sędzia. - Należy złożyć dowód w prokuraturze, która przeprowadzi stosowne postępowanie dowodowe. A właściwie kim pani jest?

- Beatrycze Stawska, koleżanka oskarżonego z pracy

- Stawska podała sędziemu dłoń. Ten machinalnie nieco ją podniósł i schyliwszy się, pocałował.

- Z pracy? Znaczy się, ze szkoły? - zmitygował się Barański. - Jeśli pani nie jest policjantką...

- Ja jestem - wtrąciła Bielska.

- To akurat pani powinna doskonale znać procedury

- rzekł z naciskiem sędzia. - Jeśli mnie pamięć nie myli, to

wyroek w tej sprawie ma zapaść jutro, przepraszam - zerknął na zegar wiszący na ścianie - dzisiaj. Może więc pani śmiało przekazać ten dowód podczas porannej rozprawy.

- Panie sędzio - policjantka niemal się zaśmiała. - Do-  
brze pan wie, że dzisiejsza rozprawa równie dobrze może się odbyć, jak i nie. Obrona może zgłosić nowe wnioski dowodowe, tak samo zresztą jak prokuratura... Któryś z sędziów może się rozchorować...

- Oskarżony na porannym spacerze znów może zostać pobity do nieprzytomności, jak to już miało miejsce - wtrąciła Stawska.  
272

- Krótko mówiąc: nie mamy żadnej pewności, że przekazanie sądowi naszych dowodów sprawi, że jeszcze dziś ksiądz Sambor wyjdzie z aresztu - Bielska pstryknęła palcami. - Doskonale zdaje pan sobie sprawę, jak w więzieniach traktuje się pedofilów. Jeśli dzisiejsza rozprawa zostanie odroczone, ksiądz Sambor może kolejnej nie dożyć.

- Ale ja go nie mogę zwolnić z aresztu, nawet gdybym chciał - sędzia Barański rozłożył ręce w geście bezradności.

- Chyba że...

- Chyba że co? - Piecuch aż rozdziawiła usta.

- Chyba że te rewelacje, które państwo mi właśnie pokazaliście, przedstawicie sędziemu prowadzącemu rozprawę, jeszcze przed dzisiejszym posiedzeniem - tłumaczył Barański.

- Tyle że ksiądz Sambor wciąż będzie tkwił za kratkami

- zauważyła Piecuch. - Nie mógłby pan, panie sędzio, zamienić areszt tymczasowy na areszt domowy?

- Czegoś takiego nasz kodeks karny nie przewiduje - odparł sędzia bez namysłu. - Ale jest inne wyjście.

- Jakie? - spytały kobiety jednocześnie.

- Jednocześnie z przedstawieniem sądowi nowych dowodów należałoby zgłosić wniosek obrony o uchylenie aresztu tymczasowego i zamianę go na dozór policyjny - odpowiedział Barański. - Tyle mogę państwu doradzić.

- Jest pan cudowny! - Stawska rzuciła się sędziemu na szyję i uściskała go.

- Nie ma czasu na pieśczoć - syknął Nowicki, do tej pory nie zabierający głosu. - Musimy się spieszyć.

- Jeśli się uwiniemy, zdążymy przekazać księdzu dobrą informację tuż po pobudce - powiedziała z uśmiechem Bielska, wsiadając do auta.

-I śniadanie zje z nami w domu - uśmiechnęła się Stawska.  
273

- Prawdziwe śniadanie, a nie bliżej niezidentyfikowane paskudztwo - dodał Nowicki.

- Nie gadajcie tyle, jedziemy - ponagliła Piecuch. - Dochodzi czwarta. Pośpieszmy się.

Bielskiej nie trzeba było dwa razy mówić, włączyła silnik i ruszyła z piskiem opon.

- W schowku jest „kogut”, wystaw go na dach - policjantka

spojrzała na siedzącego obok dziennikarza.

- Przecież mówiłaś, że nie wolno ci tego robić? - zdziwił się, ale wykonał polecenie.

- Przecież drugi raz mnie nie zawieszą - Bielska wyszczerzyła zęby w uśmiechu, dodając ostro gazu. - Proponuję już teraz zadzwonić do adwokata, żeby przygotował wniosek o zwolnienie z aresztu.

- Ja się tym zajmę - powiedział Nowicki, sięgając po telefon komórkowy.

### Rozdział 31

- Nie wyjdziemy stąd dopóki nie podpisze pan tego dokumentu - Stawska machała pod nosem sędziego Wazy kartką papieru. Od godziny stali w jego gabinecie, podczas gdy on wertował przedstawione przez nich dokumenty.

- Powiedziałem, że muszę to uważnie przeczytać - sędzia zasłonił twarz dłonią, jakby w obawie, że Stawska mu tym papierkiem wybije oczy. - Jeśli będzie mnie pani wciąż tak popędzać, czas się tylko wydłuży.

- Przecież już je pan przeczytał - prychnęła Stawska.

- Przejrzałem - poprawił ją sędzia Waza. - Teraz je dokładnie weryfikuję.

- Zwracam tylko uwagę panu sędziemu, że w przypadku, gdyby księdzu Samborowi coś się stało w więzieniu, to będzie tylko i wyłącznie pana wina - stwierdziła Stawska.

- To brzmi jak szantaż, droga pani - odparł sędzia, patrząc na nią groźnym wzrokiem.

- Jaki tam znowu szantaż - Stawska machnęła lekceważąco ręką.

- Dowody niewinności księdza są niepodważalne - cisnęła Bielska.

- I jak znam życie, jeszcze dziś te nagrania, oczywiście dziwnym zbiegiem okoliczności, trafią do mediów. Razem z informacją, że pan nie zechciał podpisać tego dokumentu - Nowicki mrugnął znacząco okiem. - Jarosław Nowicki, jestem dziennikarzem - dodał wyjaśniająco.

- Czy państwu znany jest termin: niezawisły sąd? - wycedził sędzia Waza bliski wybuchu.

- A czy panu sędziemu znane jest pojęcie sprawiedliwości?  
275

- wypaliła Stawska. - Komu, jak komu, ale sędziemu powinno być znane.

Sędzia Waza wstrzymał oddech, zrobił się czerwony na twarzy.

- Panie sędzio, ten człowiek nie zasługuje na to, by nawet minutę dłużej przebywać w tym miejscu, w którym się obecnie znajduje - wtrąciła cicho Bielska.

Sędzia, wciąż milcząc, zaczął po kolei patrzeć swoim rozmówcom w oczy. Trwało to dłuższą chwilę. Przerwała ją Stawska.

- Przez cały ten czas, gdy trwał proces, wystarczyło tylko

jedno słowo księdza Sambora, a z największego, najbardziej znienawidzonego zbrodniarza i degenerata w tym kraju, opluwanego niemal przez wszystkich, stałby się bohaterem

- Stawska mówiąc to, płakała.

- Jedno słowo, panie sędzio - powtórzyła jak echo policjantka. - Wystarczyłoby, aby wskazał nam jeden z tropów, na które sam wpadł. Ale on milczał, bo wiedział, że złamałby tym samym tajemnicę spowiedzi. Zgodził się przyjąć na siebie odium nienawiści milionów rodaków, pogardę przyjaciół, którzy się od niego odwrócili. Po co? Żeby dotrzymać przysięgi. Spotkał pan kiedykolwiek człowieka, który byłby gotów do takiego poświęcenia? Pan znalazłby w sobie tyle siły?

Sędzia Waza pociągnął nosem.

- Gdzie mam podpisać? - spytał po chwili.

- Tutaj. I tutaj - pokazała Bielska, podając długopis.

Rozdział 32

Pół godziny zmitrężyli na próbie dostania się do naczelnika aresztu. Pełniący wartę przy wejściu strażnik początkowo nie chciał nawet słyszeć o rozmowie z szefem, tłumacząc się wyznaczonymi godzinami przyjmowania interesantów. Pomogło dopiero wymowne wyciągnięcie legitymacji przez Bielską, która, nawiasem mówiąc, modliła się w duchu, aby klawisz nie był zbyt szorstki i nie zadzwonił na komendę. Tam od razu by mu powiedzieli, że jest zawieszona. Na szczęście strażnik nigdzie nie zatelefonował, kazał im tylko czekać na przybycie szefa. Gdy to nastąpiło, musieli jeszcze zostawić wszystkie potencjalnie niebezpieczne przedmioty na wartowni i w końcu po długim oczekiwaniu, które w ich oczach przeciągało się w nieskończoność, mogli wejść. Kiedy już wszelkie procedury zostały dopełnione, jeden ze strażników odprowadził całą czwórkę do gabinetu naczelnika.

- Proszę natychmiast zaprowadzić nas do księdza Sambora

- wypaliła Stawska już w progu. - Mamy mu do przekazania bardzo ważną wiadomość.

- To nie jest takie proste... - zaczął naczelnik.

- Co?! - krzyknęła Stawska.

- Musi pan nas tam zaprowadzić - Piecuch tupnęła nogą.

- Żądamy widzenia z księdzem! - wtórował jej Nowicki, wymownie trzymając w dłoni dyktafon.

Tylko Bielska stała cicho, nic nie mówiąc.

- Cisza! - warknął naczelnik. - Nie wszyscy naraz!

- Ma pan zaprowadzić nas do księdza Sambora. Chcemy mu przekazać wiadomość o tym, iż decyzją sądu został zwolniony z aresztu - oznajmiła Stawska.

277

- Areszt tymczasowy zamieniono mu na dozór policyjny

- wyjaśnił dziennikarz.

- To nie jest takie proste - powtórzył naczelnik.

- To jest banalnie proste - odcięła się policjantka. - Tu-

taj jest pismo od sędziego Wazy - machnęła kartką papieru przed nosem naczelnika.

Ten zaledwie rzucił na nie pobieżnie wzrokiem, jakby zastanawiając się, czy wziąć go do ręki. Wziął, szybko przeczytał.

- Obawiam się, że ten świstek papieru nie ma już żadnego znaczenia - naczelnik zacisnął wargi.

- Świstek?... Nie ma żadnego znaczenia? - zdziwiła się Piecuch.

- Słuchaj, pan. Albo zaprowadzisz nas do księdza Sambora, a potem grzecznie odprowadzisz nas razem z nim do bramy, albo przefasonuję ci tę ładną buźkę - mówiąc to, Stawska podeszła do naczelnika, podstawiwszy mu pod oczy zaciśniętą prawą pięść.

- Nie wątpię, że byłaby pani do tego zdolna - burknął naczelnik. - Niestety, proszę państwa... Sęk w tym, że ksiądz Sambor nie opuści murów tego budynku razem z wami...

- zawiesił głos.

Cała czwórka spojrzała na niego w milczeniu. Stawska zrobiła pół kroku w tył, spięła się w sobie, przygotowując do wyprowadzenia ciosu.

- Proszę państwa - naczelnik znów zagryzł wargi, nabrał głęboko powietrza w płuca i wypuścił je z sykiem. - Ksiądz Sambor nie żyje.

Rozdział 33

- Jak to nie żyje? - pierwsza oprzytomniała Bielska.

- Co wyście mu zrobili?! - krzyknęła Stawska, zadając cios naczelnikowi prosto w szczękę.

- Nic mu nie zrobiliśmy - odparł naczelnik, pocierając dłonią miejsce, w które dostał. - Nieco ponad godzinę temu, tuż po pobudce, strażnik znalazł ciało księdza leżące na pryczy. Dokładną przyczynę śmierci potwierdzi sekcja zwłok, ale lekarz, który niezwłocznie przybył na miejsce, stwierdził naturalną przyczynę śmierci i wykluczył udział osób trzecich.

- Tak? - zdziwiła się policjantka. - Cóż to za naturalna przyczyna śmierci?

- To bardzo rzadko spotykana rzecz - naczelnik podniósł obie dłonie do góry i bezwiednie złożywszy je jak do modlitwy, przyłożył do ust.

- Czekamy - ponagliła Stawska.

- Księdzu Samborowi... - zawahał się naczelnik. - Jemu... Jemu pękło serce.

Naczelnik zaprowadził ich do pustej celi, ciało wikarego zostało już zabrane. Weszli do środka, Piecuch podeszła do rozłożonego na podłodze Pisma Świętego. Podniosła je, wzrok padł na fragment podkreślony kopiającym ołówkiem. Przeczytała go powoli, przez zamglone oczy spojrzała na Stawską, Bielską i Nowickiego.

Wszyscy mieli łzy w oczach.

## Epilog

Rankiem, gdy tylko rozniosła się wieść o tym, że ksiądz Sambor nie popełnił przypisywanych mu zbrodni, przed aresztem zebrała się pokaźna grupa mieszkańców. Ktoś przyniósł wykonany naprędce na kawałku kartonu transparent z napisem: „Ksiądz Sambor, męczennik za wiarę”. Ktoś inny zaintonował „Boże, coś Polskę”, chwilę później przejmujący głos setek gardeł rozlał się dookoła.

Gdyby dobrze przyjrzeć się twarzom zgromadzonych, można by wśród nich znaleźć wielu tych, którzy tydzień wcześniej przed budynkiem urzędu marszałkowskiego skandowali „Dajcie go nam! Dajcie go nam!”

§

Tego samego dnia, w którym ksiądz Sambor zmarł, wszystkie dzienniki telewizji ogólnokrajowych i lokalnych umieściły tę wiadomość w głównych serwisach informacyjnych jako pierwszą. Wszystkie, bez wyjątku.

Relacje były obszernie, w kilku stacjach zajęły niemal połowę czasu antenowego przewidzianego dla wieczornego serwisu. Jedna, TVM, poświęciła księdzu Samborowi cały dziennik. Znalazło się w nim miejsce na obszerną relację z konferencji prasowej komendanta miejskiego policji, wspieranego przez prokuratora okręgowego. Komendant poinformował, iż dowody wskazujące niezbitcie na niewinność księdza Sambora zgromadziła specjalnie powołana - w tajemnicy - grupa policjantów. Brodnicki nie omieszkał w tym miejscu zaznaczyć, że funkcjonariusze

280  
pracowali pod nadzorem prokuratury. Jednak na pytanie dziennikarza, co prokurator czuje teraz, zaledwie tydzień po tym, jak w tym samym miejscu odsadzał księdza od czci i wiary, nazywając go najpotworniejszym zbrodniarzem świata od czasów doktora Mengele, Brodnicki nie odpowiedział.

Dzień po śmierci wikarego, w sobotę, „Głos Naszego Miasta” piórem Jarosława Nowickiego opublikował kilkustronicowy reportaż. Była to próba rekonstrukcji zdarzeń od pierwszej wizyty Macieja Biełdy w konfesjonale - w tej części większość odtworzonych danych przyjęto za domyślne ze względu na brak dostępnych źródeł - do ostatniej nocy spędzonej w areszcie. Tekst był pozbawiony jakichkolwiek emocji, był to jedynie zlepek podanych na sucho faktów. Tym bardziej jednak przejmujące było wrażenie, jakie odniósł niemal każdy, kto czytał ten reportaż.

Tego samego dnia, także w sobotnim wydaniu, tabloid „Super Fakt” na pierwszej stronie zamieścił wielkie zdjęcie księdza Sambora, jedno z tych, które wykorzystał już wcześniej. Tym razem jednak tytuł „To ja zabiłem wasze dzieci!” zastąpiły słowa „Wydaliście na mnie wyrok, a ja byłem



niewinny". Artykuł, porównany do tego z początku procesu, został skrytykowany przez niemal wszystkie liczące się osobistości świata mediów. Jeden z prowadzących program publicystyczny w telewizji publicznej nazwał gazetę „Hipokrytą wszech czasów”. Podobne zdanie musieli mieć czytelnicy „Super Faktu”, przynajmniej niektórzy, bowiem w nocy z soboty na niedzielę nieznani sprawcy na frontowej ścianie biurowca mieszczącego redakcję tabloidu czarną farbą wielkimi na metr literami namalowali napis „Obłudnicy”.

281

W niedzielę, dwa dni po śmierci księdza Sambora, tuż po 6.00 do domów zastępcy naczelnika aresztu śledczego Ferdynanda Brzozy, sędziego Stanisława Pięknego i zastępcy komendanta miejskiego policji Alberta Jakubskiego weszli uzbrojeni po zęby antyterrorystycznie. Wszystkich trzech aresztowano pod zarzutem współudziału w porwaniu, torturowaniu i wykorzystaniu seksualnym dzieci. U Jakubskiego i Pięknego - któremu wcześniej w błyskawicznym tempie uchylono immunitet sędziowski - policjanci znaleźli kompletnie zniszczone twarde dyski komputerów, jednak w komputerze Brzozy natrafili na setki zdjęć pornograficznych z udziałem całej trójki aresztowanych.

Żaden z nich nie dożył początku rozprawy. Wszyscy zginęli w areszcie w tajemniczych okolicznościach.

W poniedziałek opinii publicznej udostępniono wyniki sekcji zwłok księdza Sambora. Wykazała ona, iż zgon nastąpił w wyniku skumulowania się kilku czynników: stresu, którego wynikiem było poważne zatrucie organizmu; zmęczenia spowodowanego chronicznym brakiem snu; urazów wewnętrznych odniesionych podczas dwukrotnego pobicia w więzieniu oraz uderzenia twarzą w ławkę na sali rozpraw. Jednak jako główną przyczynę śmierci biegli - a sekcję przeprowadzało aż czworo patologów z długoletnim stażem - uznali zatrzymanie akcji serca.

Nadkomisarz Bielska wróciła do pracy, zakazano jej jednak upubliczniania zebranych na temat księdza Sambora informacji. W geście sprzeciwu policjantka złożyła rezygnację,

282

tego samego dnia udzielając telewizyjnego wywiadu, co stało się przyczyną kontroli wewnętrznej w policji i prokuraturze. W efekcie w obu tych instytucjach pracę straciło kilka wysoko postawionych osób. Komendanta miejskiego - nie udało się udowodnić mu próby tuszowania sprawy pod wpływem swojego zastępcy, który podobno był w posiadaniu materiałów kompromitujących swojego szefa - zmuszono do odejścia na wcześniejszą emeryturę. Prokuratora Brodnickiego przeniesiono karnie do prokuratury rejonowej na południu województwa na podrzędne stanowisko.

Bielska po odejściu z czynnej służby założyła agencję detektywistyczną.

Od Autora:

Wszystkie wydarzenia opisane w tej książce są co prawda fikcyjne, ale w każdej chwili mogą się wydarzyć...

Przez Anin.

Krzysztof Koziółek

PREMIER

MUSI ZGINAĆ

Ktoś zatruwa wodociągi w miastach zachodniej Polski.

Następnego dnia przestaje działać sygnalizacja świetlna we Wrocławiu i Warszawie, oba miasta ogarnia komunikacyjny chaos. Nieznani sprawcy paraliżują ruch pociągów w całym kraju. Milkną sieci telefonii komórkowych, przestaje działać Internet. Hakerzy niszczą systemy rozliczeń międzybankowych i terminali płatniczych, w obliczu braku papierowego pieniądza miliony Polaków z dnia na dzień zostają bez środków do życia. Kraj staje na skraju przepaści.

Do aktów terroru przyznaje się organizacja pod nazwą „Gniew Boży”. Kto za nią stoi? Komu zależy na tym, aby w Polsce wybuchła wojna domowa? I jaki związek te wydarzenia mają z zamordowaniem żony i córki Tomasza Miki?

Mężczyzna, niezadowolony z tempa policyjnego dochodzenia, rozpoczyna własne śledztwo. To, czego się dowie, przyspieszy go o przyspieszone bicie serca.

Krzysztof Koziółek

CZWARTA

ŚMIERĆ

Wiesław Fidler, tajniak głęboko zakonspirowany w strukturach mafijnych, zostaje zdradzony. Mafia wydaje wyrok śmierci na niego i jego żonę. Cudem udaje mu się wyjść cało z zamachu, zostaje jednak ciężko ranny, a zabójcza kula dosięga jego ukochaną. Ledwie Fidler rozpoczyna rehabilitację, gdy dostaje propozycję udziału w kolejnej tajnej akcji. Tym razem ma doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości morderców swojej żony. Aby tego dokonać, musi trafić do celi więzienia w Wołowie.

W tym czasie do tego samego więzienia trafia pewien pedofil, który rozpoczyna kampanię społeczną mającą przywrócić w Polsce karę śmierci za najcięższe zbrodnie.

Wkrótce tajniaka szukającego zemsty oraz pedofila-recydywistę połączy wspólny cel. Spróbują go osiągnąć, bez względu na cenę, jaką przyjdzie im za to zapłacić.

Krzysztof Koziółek

Rocznik 1978, zielonogórzanin

z urodzenia, obecnie mieszka

w Nowej Soli. Absolwent polito-

logii na Uniwersytecie Zielono-

górskim. Przez pięć lat pracował

w Gazecie Lubuskiej jako dzien-  
nikarz, obecnie pracuje w nowo-  
solskim Tygodniku KRAG.

Pasjonat górskich wędrówek i zapalony kibic żuźla.

W 2007 r. zadebiutował „Drogą bez powrotu”.

Kontakt: drogabezpowrotu@poczta.onet.pl

Podziękowania

Alfredowi Siateckiemu dziękuję za ocenę pierwszej wersji,

Wojciechowi Olszewskiemu za cenne rady,

za uwagi dziękuję także Eugeniuszowi Kurzawie, Katarzynie Polak  
i Karolinie Kaczmarskiej.

Za to, że przez gotowy maszynopis przebrnęli

słowa uznania należą się Danucie Urbańczyk,

Tomaszowi Bruderowi, Danielowi Lesiewiczowi i mojemu Tacie

oraz bratu Łukaszowi. To ich opinie sprawiły,

że nabrałem wiatru w żagle

i znalazłem w sobie siły do wydania tej książki.

Poczynione uwagi skrzętnie wykorzystałem, ale nie wszystkie,

tak więc tylko i wyłącznie ja odpowiadam za ewentualne błędy.

Dziękuję też Magdalenie Rózcze,

za udział w radiowej promocji książki.

Na koniec słowa wdzięczności kieruję w stronę mojego Wydawcy,

Janusza Klimenko, bez jego pomocy „Świętej tajemnicy”

nie udałoby się wydać.